



PAWEŁ STALMACH.

E. GRIM.

PAWEŁ STALMACH.

Jego życie i działalność
w świetle prawdy.

44.

Cieszyn 1910.

Nakładem »Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra dla ludu polskiego na Śląsku«.



Drukiem Kutzera i Sp, c i k. nadwornych dostawców w Cieszyńie.



ND 526

943.8.073:929]A/Z

ND 526

Już za życia i zaraz po śmierci ś. p. Stalmacha pojawiło się wiele broszur i artykułów w gazetach i czasopismach, które rozpisują się albo wprost o Stalmachu, albo o ruchu narodowym na Śląsku, przyczem naturalnie potrącają także o jego osobę. Ponieważ w tych broszurach i artykułach znajdujemy, z małymi wyjątkami, już to świadome i celowe, już też nieświadome i bezwiedne przekręcanie wypadków i różnych okoliczności, bo autorzy ich albo mieli na oku własny interes, albo pisali o Stalmachu i Śląsku bez dokładnego poznania naszych stosunków, — przeto piszemy tych parę słów o Stalmachu, korzystając przedewszystkiem z jego dotychczas niewydanych, a więc nieznanych jeszcze pamiętników, uwzględniając przytem i inne prace. Dalekimi jesteśmy od tego, by tą broszurką jątrzyć i zaostczać już i tak naprężone stosunki wyznaniowe na Śląsku, — piszemy zaś tych parę słów jedynie dlatego, by rzucić choć trochę światła prawdy na tę szlachetną postać Stalmacha i na niejasne ów-

D 157/95
8,00

czesne stosunki śląskie, wśród których on żył i pracował. Książka ta przeznaczona jest dla naszego ludu śląskiego, a więc jest napisana stylem zupełnie prostym, by była łatwiej zrozumianą i trafiła do przekonania tego ludu.

Rychwałd, w styczniu 1910.

Autor.

Treść.

A. Paweł Stalmach. — Jego życie i działalność w świetle prawdy.

	Strona
I. Wstęp	1
II. Młodość i studia Pawła Stalmacha.	
1. Stalmach w domu rodzicielskim i w szkole ludowej	2
2. Paweł Stalmach w gimnazjum	5
3. Paweł Stalmach na „filozofii“ w Preszburgu	15
a) Życie studentów w Preszburgu	17
b) Pierwsza myśl założenia pisma polskiego na Śląsku	22
4. P. Stalmach na teologii protestanckiej w Wiedniu	26
5. Rok 1848.	35
a) Powstanie „Tygodnika Cieszyńskiego“	37
b) „Związek austriackich Ślązaków“ w Wiedniu	39
c) Stalmach na zjeździe słowiańskim w Pradze	41
III. Działalność publiczna P. Stalmacha.	
1. Stalmach jako redaktor „Tygodnika Cieszyńskiego“	45
2. Walka Stalmacha z renegatami	48
3. Stalmach jako organizator towarzystw narodowych na Śląsku	55
a) „Czytelnia Polska“	56
b) „Biblioteka polska dla ludu kraju Cieszyńskiego“	57
c) Projekt założenia Towarzystwa gospodarczego	63
d) Powstanie „Gwiazdki Cieszyńskiej“	69
e) Stalmach jako organizator przedstawień amatorskich	72
4. Praca Stalmacha wobec zmiany w stosunkach społecznych, narodowych i wyznaniowych	74
5. Małżeństwo Stalmacha	79

IV. Dalsza działalność Stalmacha na polu towarzyskim, społecznym, dziennikarskim, politycznym, ekonomicznym i oświatowym.

1. Wydawnictwo kalendarzy 82
2. Przestroga Stalmacha przed emigracją ze Śląska do Ameryki i innych krajów 84
3. Założenie „Kasy” 85
4. Losy „Gwiazdki Cieszyńskiej” od r. 1861. . . . 90
5. Założenie „Czytelni Ludowej” w r. 1861. . . . 91
6. Założenie polskiego towarzystwa rolniczego w r. 1869. 96
7. Procesy prasowe przeciw Stalmachowi 97
8. Założenie „Bazaru Cieszyńskiego” w r. 1873 . 100
9. Założenie „Towarzystwa Naukowej Pomocy dla Księstwa Cieszyńskiego” w r. 1872. . . . 103
10. Stalmach wobec wrogów i zwolenników . . . 105
11. Powstanie „Związku śląskich katolików” w r. 1883. 108
12. Założenie „Macierzy szkolnej” w r. 1885. . . 118

V. Przejęcie Stalmacha na łono Kościoła katolickiego. — Śmierć Stalmacha . . 121

VI. Zakończenie.

Droga życia, pełna cierni, pracy i zasług 125

B. Pamiętniki Pawła Stalmacha . 131

A.

Paweł Stalmach.

Jego życie i działalność w świetle prawdy.





I. Wstęp.

Jest powinnością i obowiązkiem każdego narodu i każdego ludu szanować i czcić swoich wielkich ludzi; — a który naród lub który lud nie czyni tej powinności i nie spełnia tego obowiązku, nie jest godzien zwać się narodem, zwać się ludem. I my Polacy na Śląsku mamy kilku takich wielkich ludzi, między którymi pierwsze bezsprzecznie miejsce zajmuje Paweł Stalmach.

...., kiedy burze jak najwięcej szalały i pochłonać już miały cały naród, wtedy Jehowa wzbudzał mężów natchnionych duchem Bożym, wysyłał każdego z nich do ludu i mówił: „Idź do ludu mego i powiedz mu wszystkie te słowa, które do ciebie mówić będę.” A na słowa proroków pierzchały ciemności i uciszały się burze, a naród oświecony światłem Boga przedwiecznego budził się i rozpoczynał nowe życie.“*) W te słowa odezwał się ś. p. ks. Ignacy Świeży nad grobem P. Stalmacha, odnosząc je do zmarłego. I słusznie; — bo Stalmach był takim prorokiem ludu śląskiego.

*) Gwiazdka C. 2. stycz. 1892 (str. 2).

Nie wiadomo bowiem, czyby ten lud nasz śląski był przetrwał one gwałtowne przewroty roku 1848., gdyby na jego czele nie był stanął Paweł Stalmach, który całe życie poświęcił dla tego ludu i wszystkie swoje prace niósł w ofierze ziemi, która go wydała. — Przypatrzmy się życiu i pracy tego wielkiego człowieka.

II. Młodość i studia Pawła Stalmacha.

1. Stalmach w domu rodzicielskim i w szkole ludowej.

Paweł Stalmach urodził się 13. sierpnia 1824. w Bażanowicach przy Cieszynie we dworcu arcyksiążęcym pod numerem 13.*), gdzie ojciec jego był sprawcą. O pierwszej swojej młodości i o początku nauki w domu ojcowskim pisze on w pamiętniku: „W szóstym roku mego życia zaczął ojciec uczyć mię czytania w wolnych chwilach lub wieczorami, a matka przez dzień powtarzała ze mną zadanie. Do tego służył czeski ślabikarz (elementarz) z kogutkiem na ostatniej stronicy, który za dobre spanięcie zadania dziennego zniósł przez noc krajcar dla ucznia. Po ślabikarzu „czeskim“

*) W pamiętniku pisze sam: „Liczyby, dwie trzynastki, uchodzą w kabalistyce za nieszczęśliwe; snąc dlatego i mnie życie nie miało być różami wysłane.“ Nie przeczuwał, że jeszcze jedna trzynastka, dzień śmierci, związane się z jego życiem.

nastąpił „polski“ Nowy Testament, zamiast książki do czytania. Był to zapewne skok wielki według zasad pedagogicznych, ale tak bywało wogóle. Przytem ojciec nauczył mnie pisania na tabliczce liter szwabaskich, bo też tak był nauczony.“ — A więc pierwszymi nauczycielami młodego Stalmacha byli ojciec i matka, a przygotowali go tak, by nauczyciel nie miał z nim wiele pracy. A trud to był nie mały, zważywszy to, jaki był sposób nauczania. Ojciec pokazywał chłopcu kilka liter, a on musiał powtarzać: a a a, be be be, ce ce ce, i t. d., aż spamiętał ich znaki i nazwy. Potem następowało zgłoskowanie w czeskim ślabikarzu, przy czem powstawała podwójna trudność: przy składaniu głosek i wskutek niezrozumienia wyrazów czeskich.

Rok później, kiedy ojciec jego przeniósł się z Bażanowic do Pogwizdowa, był już na tyle rozwinięty, że uczył sam inne dzieci czytać i pisać.*). Wspominał on często z przyjemnością, że jeden z tych jego uczniów oświadczył, jako presbyter zboru cieszyńskiego, po trzydziestu latach, że on był pierwszym jego nauczycielem.**)

„Skoro nauczyłem się czytać,“ opowiada dalej w pamiętniku, „brał mnie ojciec zawsze ku sobie, kiedy sam czytał z biblii lub postylli***), albo śpiewał z kancjonału; przy tem często

*) Widocznie dlatego nazywają go jego przeciwnicy polityczni pogardliwie: „biednym nauczycielem“.

**) Pamiętnik.

***) Postylla: objaśnienie Pisma św., kazania.

pytał mnie, abym pokazał, gdzie stanął w czytaniu, a to dla przekonania się, czyli uważam; nadto starał się objaśnić trudniejsze miejsca.“ Takie nabożeństwa domowe odbywały się w rodzinie Stalmacha nie tylko w niedzielę, ale prawie codziennie wieczorami. „Inni domownicy posłuchali czytania albo śpiewali razem. Modlenie się poranne, objawowe i wieczorne było świętem przykazaniem.“*) I o innych pięknych zwyczajach wspomina Stalmach; tak n. p.: „stół, ustawiony w głównym rogu izby, uważany był za święte miejsce i nie wolno było nań coś mniej czystego położyć. Okruszynę chleba lub innego jedzenia upuścić, było grzechem, bo mogła jeszcze domowemu zwierzęciu być na pożywienie. Ogień był w poszanowaniu prawie zabobonem, bo go miano za jakąś nadprzyrodzoną istotę, i obchodzono się z nim z wielką ostrożnością.“***) To pożycie domowe wszczepiło się głęboko w jego młodą duszę, a pobożność wyniesiona z domu rodzicielskiego była później osłodą jego wielu ciężkich chwil.

Po krótkim pobycie w Pogwizdowie przeniósł się ojciec Stalmacha do Cieszyna, przyjął służbę posła miejskiego, by razem z żoną, która zarabiała „praniem bielizny“, umożliwić młodemu Pawłowi i reszcie rodzeństwa lepsze wykształcenie.

Tu, w Cieszynie, uczył się dalej młody Stalmach w ewangelickiej szkole ludowej.

*) Pamiętnik.

**) Pamiętnik.

Szkola ta stała pod względem nauki dosyć wysoko.

To też szkoła ta rozwinęła i wykształciła bystry umysł Stalmacha.

2. Paweł Stalmach w gimnazjum.

Po ukończeniu szkoły ludowej wstąpił Stalmach do ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie. Gimnazjum to razem ze szkołą ludową mieściło się naprzeciw kościoła ewangelickiego i dzieliło się na dziesięć klas, z czego cztery klasy przypadały na szkołę ludową, a sześć na gimnazjum. Podział nauki w niem zaprowadzony był bardzo zbliżony do podziału naukowego w dzisiejszych gimnazyjach, a więc stało to gimnazjum na ówczesne stosunki bardzo wysoko, zwłaszcza, że pielęgnowano w niem język polski. Wadą jednak jego było to, że czasem brakowało mu funduszków potrzebnych i dobrych profesorów.

Ale ten pomyślny stan tego gimnazjum nie trwał długo, bo gdy rząd zaczął udzielać mu zapomóg, wtedy ograniczył w niem naukę języka polskiego do dwóch godzin tygodniowo.

Już w niższych klasach tego gimnazjum rozwinął się młody Stalmach tak dalece, iż zaczął układać wierszyki polskie, „które,“ jak w pamiętniku wspomina, „starsi studenci pochwytywali“; ale w wyższych klasach niemieczyzna przygłuszyła w nim to zamięłowanie.

I tu w gimnazjum schodził mu czas szybko na nauce i zabawie. Był on przedewszystkiem

wielkim i zapalonym zwolennikiem gry w piłkę nożną, o której mówi, że uważa ją za daleko pożyteczniejszą dla zdrowia uczącej się młodzieży, aniżeli gimnastykę. Drugą jego ulubioną rozrywką było kąpanie się w Olzie; jak sam wspomina, kąpał się trzy i cztery razy dziennie z kolegami; — w zimie zaś główną jego rozrywką była ślizgawka na łyżwach. Z domowych „uciech“ wymienia, jako zajmujące, grę w młynek i damę (warcaby). „O rozpustnych wybrykach,“ pisze on,^{*)} „jakie się między dzisiejszymi studencikami zdarzają, nie było słyszeć.“

Ale oprócz nauki i zabaw musiał się brać i do pracy w domu. Wieczorami, zwłaszcza w zimie, zasiadali wszyscy członkowie rodziny do „prządków“. Często schodzili się także sąsiedzi i sąsiadki i przy prądce opowiadali różne klechdy i śpiewali swojskie pieśni ludowe.^{**)} Młody Stalmach wsłuchiwał się w te pieśni i klechdy i one ogrzewały jego duszę i rzucały w nią pierwsze ziarna tej wielkiej miłości wszystkiego, co swojskie.

Tym prądkom poświęca Stalmach miłe wspomnienie. „Taka zabawa na prądkach,“ wspomina w pamiętniku, „miała prawdziwie coś poetycznego w sobie, czego dzisiejsi nie znają. Przędły nie same kobiety, ale i ojciec,

^{*)} Pamiętnik.

^{**) Te „prądky“ przypominają nam rozpowszechnione w niektórych okolicach Śląska „szkubaczki“, na które zbierają się młode dziewczyny i młodzienicy, by skubać pierze i zabawić się śpiewem i opowiadaniem „bojek“.}

kiedy nie miał innego zatrudnienia, i ja musiałem zadaną liczbę pasm uprząść... Siedziało się do 10. godziny wieczór i dłużej, a rano już o godzinie 4. wszyscy wstali znowu do przędzenia.“

W ten sposób przyzwyczaił się młody Stalmach na całe życie do pięciogodzinnego tylko snu.

„Nieraz,“ opowiada on dalej w pamiętniku, „gdy matka była bardzo zajęta, musiałem zaopatrzyć młodsze rodzeństwo i obiad ugotować, i tu z książką w rękę przystawiałem i odstawiałem garnki na ognisku. Gdy rodzice wyszli na zagon najęty, by sadzić, okopywać i kopać ziemniaki, pomagałem także motyką, i od innej pomocy nie usuwałem się.“

Z tych słów widzimy, że jego lata gimnazjalne nie płynęły w rozkoszach i zbytkach, lecz w pracy, nieraz ciężkiej; lata te hartowały już jego siły do przyszłej walki i mocowania się z losem. Niejedną gorzką chwilę słodziła mu miłość rodziców i rodzeństwa, przyjaźń kolegów i uznania, jakie go spotykały ze strony profesorów.

Kiedy Stalmach w wyższych latach gimnazjalnych pomagał słabszym współpracownikom w nauce, zwalniali go rodzice od pracy w domu, „wtedy,“ pisze on,^{*)} „podczas lata już o 3. godzinie z rana wychodziłem z książką na poblizki pagórek; a było kilku pilniejszych kolegów, którzyśmy w tak wczesnem wstawaniu spółzawodniczyli; powróciwszy do domu siadałem do piśmiennych opracowań.“

^{*)} Pamiętnik.

By ulżyć rodzicom w utrzymaniu rodziny, zaprzęgał się do różnych ubocznych prac i zatrudnień; tak n. p. był chóralistą, t. j. śpiewakiem na chórze w kościele ewangelickim. Ale do jednej pracy nie zdołał go nikt nakłonić, a mianowicie do czyszczenia butów i odzienia profesorom lub bogatszym studentom, chociaż się o to jego koledzy, nawet z wyższych klas, ubiegali.

Wśród tej ciągłej pracy naukowej osłabił swój wzrok tak, że przez całe gimnazjum musiał siedzieć w pierwszej ławie, a jeszcze i z niej musiał wychodzić, by odpisać z tablicy zadania; przyczyną tak słabego wzroku było, jak sam wyznaje, zbytne nachylanie się przy pisaniu i czytaniu.

Wspomnieć tu wypada, że w ciągu nauk w niższym gimnazjum stracił brata, który zmarł na cholerę. Z żalu za nim rozchorował się, a matka, bojąc się, czy to znów nie cholera, zaprowadziła go do lekarza. „Ale mnie,” wspomina o tem Stalmach,*), „na rynku zamówiały ogórki, proszę matkę i ona kupiła mi ogórek i wody ogórkowej, a zostałem zdrow.” I kończy słuszną uwagą: „Powiadają, gdy się czegoś zachce, jest ku zdrowiu. Jest to jednak zagadką dla lekarzy.”

Kiedy Stalmach doszedł do piątej klasy, powstał w ewangelickim gimnazjum żywszy ruch umysłowy. Pod wpływem wykładów pastorów Żlika i Kłapsi zabrali się bardziej umysłowo rozwinięci uczniowie do pracy nad

*) Pamiętnik.

samodzielnem kształceniem; zawiązali oni t. zw. „Gelehrten-Verein“ (towarzystwo uczonych). Schodzili się wieczorami i bawili się czytaniem i omawianiem różnych utworów niemieckich. „Ja wówczas,” wspomina Stalmach,*), „umiałem Szyllera**) niemal na pamięć, i na zapytanie mogłem zacytować, gdzie które słowa Szyller powiedział.” Z tego możemy poznać, jak obszerną i wyćwiczoną pamięć posiadał już w tych czasach młody Stalmach. Oprócz czytania i omawiania dzieł zajmowała się jeszcze ta żądna wiedzy młodzież śpiewem i muzyką; ale to wszystko działało się, niestety, w duchu niemieckim. I tak wśród tego ruchu i krzątania przeszedł im rok cały i nadeszły wakacje.

Warto tu wspomnieć, dlaczego ta młodzież właśnie wówczas wzięła się do tej pracy umysłowej. Jedną z przyczyn były, jak już wspomnieliśmy, wykłady pastorów Żlika i Kłapsi, o których Stalmach wspomina***): „Tu tyle dodać mogę, że głównie wymienionym pastorom wszyscy ówcześni koledzy zawdzięczamy, że się nam głowy lepiej otworzyły.” Drugą i to właściwą przyczyną powstania „Gelehrtenvereinu“ byli nieodpowiedni profesorowie, u których cała nauka polegała jedynie na pamięciowych ćwiczeniach, podczas gdy młodzież pragnęła być choć trochę samodzielną. Typem takiego profesora był prof. Kajzar. „Zazwyczaj,”

*) Pamiętnik.

**) Schiller jest jednym z najslawniejszych piewców niemieckich, napisał bardzo dużo dzieł.

***) Pamiętnik.

pisze o nim Stalmach,^{*)} „przybywał do klasy mało co przed trzecim kwadranssem, wtedy jeszcze kazał: „Leset euch einmal durch“ (przeczytajcie sobie zadaną lekcję), na co zgola nie było czasu, gdyż zadane były 2 lub 3 stronice; tymczasem przeszedł się parę razy koło ławek, nawołując schylających się uczniów „grad sitzen!“ (siedzieć prosto), co jedynie było od niego dobrem. Potem wsiadł do katedry i wywołał czterech lub pięciu, i szczęściem było dla nich, gdy umieli powiedzieć lekcję, jak z młynka; który nie umiał, ten musiał słyszeć: „apage nequissime!“ (idź do ławy durniu) i już wiedział, co go czeka. Dochodziła też godzina, więc zadał tylko znowu 2 lub 3 stronice. Wykładu nie było i gdy sam mało jeszcze po niemiecku rozumiałem, trudno mi dziś pojąć, jak mogliśmy się po 2 i 3 stronice na każdą godzinę nauczyć. Było to tylko ćwiczenie pamięci, bez wielkiej korzyści dla wiedzy.^{***)} Ten prof. Kajzar był nadto bardzo nie lubiany między młodzieżą, bo wymierzał bardzo ostre kary cielesne i wielkie kary pieniężne, zwłaszcza za „sygnę“, t. j. za przemówienie po polsku.

Podczas wakacji, przed ostatnim rokiem szkolnym, rozmyślał Stalmach nad wyborem zawodu. Chciał się dalej uczyć, bo czuł w sobie pociąg do nauki, ale nie miał środków.

^{*)} Pamiętnik.

^{**) Przetoczyliśmy ten dłuższy ustęp, by wykazać, jak wielką plagą dla szkoły są tacy nauczyciele, którzy zamiast rozwijać rozum młodzieży, przytępiają go samą nauką pamięciową.}

Jedynym wyjściem z tego trudnego położenia była teologia; więc chociaż nie czuł w sobie potrzebnego powołania, postanowił obrać zawód kaznodziejski. Zabrał się też zaraz do czytania biblij polskiej, z której go ojciec uczył, jako sześciolatek dziecko, czytać. Jakież było jednak jego zdziwienie, a zarazem i przerażenie, kiedy spostrzegł, że nie potrafi już dobrze po polsku czytać, nie mówiąc już o tem, że bardzo dużo wyrazów nie rozumie. Tyle sprawiła niemiecka szkoła.

Powziął on zaraz wtedy myśl uczenia się wspólnie z kolegami gimnazjalnymi języka i gramatyki polskiej.

Przeto zaraz po wakacjach, korzystając z pierwszej sposobności, kiedy się wszyscy koledzy zebrali na zabawę, przemówił do nich w gorących słowach o potrzebie znajomości języka polskiego w dalszym życiu, a gdy zakończył swą przemowę słowami: „Mamy się uczyć, aby być księżmi, profesorami, nauczycielami i urzędnikami, a jakże będziemy do ludu przemawiali, kiedy zapominamy język polski,^{**)} podzielał tak na kolegów, że zaraz (1842 r.) zawiązali „kółko młodzieży polskiej“.

„Zrobiliśmy więc,“ pisze Stalmach o tem „Kółku“,^{**)} „stowarzyszenie polskie, i składając tygodniowo po „czeskim“^{***)}, zakupiliśmy rychło gramatykę Suhowrowskiego, opatrzoną w znaczny wybór wypisów z różnych autorów i

^{*)} „Światło prawdy“... Stalmacha. 2 str

^{**)} Pamiętnik

^{***)} Czeski: moneta.

słownik kieszonkowy, a pastor Kłapsia nawet darował nam zawadające mu w jego bibliotece „Satyry“ Naruszewicza i „Maryę“ Malczewskiego, które nas zajmowały, aczkolwiek mało strawne dla nas były. Uczyliśmy się więc gramatyki, deklamowali wiersze, przynosili wypracowania, któreśmy sobie poprawiali, jakieśmy umieli.“ Oprócz tego pożyczali sobie od Czechów i Morawian, którzy mieli także własne „Kółka“, czasopism, z których dowiadywali się bardzo wiele o słowiańskich narodach, co po-krzepiało w nich ducha narodowego.

By pomnożyć skromną biblioteczkę „Kółka“, zwrócił się Stalmach do dawniejszego współuczniwa Andrzeja Cieñciały, który był wówczas uczniem w księgarni Friedleina, prosząc go, by tam w Krakowie pośredniczył i zbierał książki dla „Kółka“. Ale Cieñciała nawet nie odpisał, a gdy wrócił po paru miesiącach z Krakowa, to tylko wyzywał na Polaków, czem wzbudzał w młodzieży, budzącej się do życia narodowego, uprzedzenie do rodaków.*)

To jednak nie zraziło tych młodych szermierzy, więc próbowali dalej szczęścia. Wiedzieli, że pastor Karol Kotschy z Ustronia wydał książkę o sadownictwie i trzymał „Przyjaciela ludu“, wydawanego w Lesznie, więc sądzili z tego, że jest Polakiem. W tej myśli wysłali uczniowie do niego Stalmacha i Jana Bujaka, by ci przedstawili mu cele „Kółka“ i poprosili o wsparcie tegoż przynajmniej paru broszurami. Oto jak Stalmach opisuje w pa-

*) Pamiętnik.

miętniku wynik tej wyprawy: „Ja z kolegą Janem Bujakiem wybraliśmy się w sobotę popołudniu do niego (t. j. pastora Kotschego) i zastawszy go na placu przed kościołem, wynurzyliśmy mu nasze życzenie; ale on wysłuchawszy nas, odbył nas krótko z niczem. W poniedziałek przyjechał do Cieszyna ze skargami na nas do pastorów, mówiąc: „Die treiben es ärger, wie die Polen in Paris“ (ci robią gorzej, niż Polacy w Paryżu). Niestety, my jeszcze o Polakach w Paryżu nic nie wiedzieli i dopiero zaczęliśmy się dowiadywać, co to znaczy.“

Ale pastory i profesorowie nie przeszkadzali kształcącej się młodzieży. Raz tylko, jak opowiada Stalmach,*) profesor Kajzar, gdy spostrzegł ich na przechadzce z książką polską, powiedział: „Lernet lieber französisch“ (ucźcie się lepiej po francusku).

Jedynym, który wspierał to „Kółko młodzieży polskiej“ przynajmniej zachętą, był Jan Winkler, pastor z Nawsia. On uczył wychowanków ewangelickiego gimnazjum cieszyńskiego śpiewu chóralnego i dowiedziawszy się o ich pracy, pochwalał dobre chęci i pieczę koło uświadamienia narodowego.

Najwięcej jednak przyczyniły się do rozbudzenia poczucia narodowego wśród młodzieży „Slavische Jahrbücher“ (Słowiańskie roczniki), wychodzące w Lipsku, które zajmowały się sprawami słowiańskimi, a więc i polskimi. Tych „roczników słowiańskich“ pożyczali sobie

*) Pamiętnik.

od Czechów, którzy je w darze otrzymywali dla swego „Kółka“.

A więc nieprawdą jest, jak niektóre broszury i artykuły podają, że „Kółko młodzieży polskiej“ w ewangelickim gimnazjum utworzył dr. Ludwik Klucki, albo że Stalmach, jako student, założył to „Kółko“ „przy pomocy Kluckiego“, ale prawdą jest, jak poznaliśmy z opowiadania o założeniu tego „Kółka“, że Stalmach pierwszy podniósł myśl takiego stowarzyszenia młodzieży i założył je przy pomocy Bujaka. Jego więc jest zasługą, że w ewangelickim gimnazjum w Cieszynie tak wcześnie zaczęło się życie narodowe.

Ale to pierwsze „Kółko młodzieży polskiej“ nie długo się utrzymało. Kiedy zabrakło Stalmacha, słabnął powoli zapał, a wreszcie członkowie „Kółka“ za namową Jana Śliwki*) sprzedali książki, a pieniędzmi się podzielili.***) Oto, co pisze Stalmach o przyczynie rozwiązania tego „Kółka“ w „Przeglądzie Poznańskim“ (1849): „Po naszym wyjściu z gimnazjum na wyższe cudze szkoły, co gorliwsi następcy nasi tyle byli od profesorów prześladowani, że musieli opuścić szkoły; inni podzielili książki między siebie; tak pierwsze usiłowania spełży na niczym.“****)

„Jaką boleść,“ pisze Stalmach w „Świecie prawdy“†) „sprawił nam taki koniec owego

*) Pamiętnik.

**) „Światło prawdy“ Stalmacha 2.

***)) Przez wzgląd na zagranicę nie wspomina, że książki sprzedali, a pieniędzmi się podzielili.

†) „Światło prawdy“ str. 2.

pierwszego kółka polskiego i jego biblioteczki, gdyśmy się o tem w Preszburgu dowiedzieli, łatwo można pojąć. Prawdać, biblioteczka ta wartała ledwo kilkanaście złotych, i pomyśli sobie kto: cóż to znaczy kilkanaście reńskich, — ale moralna wartość tego zaczątku, oszczędzonymi ofiarami ubogiej młodzieży założonego i jego przeznaczenie jest tu do ocenienia.“

3. Paweł Stalmach na „filozofii“ w Preszburgu.

Gimnazjum cieszyńskie ukończył Stalmach z bardzo dobrym postępem i udał się na studia filozoficzne do Preszburga. Te studia filozoficzne, zwane pospolicie „filozofią“, nie były wyższymi studiami, ale uzupełnieniem nauk gimnazjalnych; zastępywały one dzisiejszą 7. i 8. klasę. Studenci katolicy udawali się podówczas na „filozofię“ do Ołomuńca, Berna lub Wiednia, a ewangelicy studenci do Preszburga, Kežmarku, Preszowa albo do Lewoczy. Najstańniejszym z pomiędzy tych węgierskich zakładów filozoficznych był zakład w Preszburgu. Tam więc udał się Stalmach na „filozofię“.

Oto jak opisuje swą podróż do Preszburga: „Pragnąc wyższej nauki, odważyłem się jako ubogi student i, spuściwszy się na pomoc Bożą, w roku 1843. wybrałem się do Preszburga przez Morawy, gdzie miałem się spotkać z innymi kolegami. Ojciec, co mógł, to uczynił, wypożyczył 40 reńskich*) i dał mi na drogę.

*) 32 kor., bo to były dawne zlr, w walucie wiedeńskiej.

Od pastorów, którzy się zresztą dziwowali nad moim przedsięwzięciem, dostałem listy rekomandacyjne (polecające), mianowicie do profesora Schroera.... Zebrałem w końcu mój tłumoczek, składający się z trochy odzieży i kilku książek. Z ojcem wybraliśmy się przed godziną 4. z rana; ojciec niósł mi ten tłumoczek aż do Przybora (Freiberg), pięć mil i tu pożegnaliśmy się. Potem sam, z tłumoczkiem na plecach, zdążyłem przez Nowy Lcżyn do Hockławic do kolegi na nocleg. W pierwszym dniu zmogłem przeszło 9 mil, ale drugiego dnia musiałem za to często spoczywać i tu doznałem nawet strachu. Przed Walskim Mezerzyczem przysiadł ku mnie spoczywającemu jakiś mieszczuch z czerwono zaszłemi oczyma i zaczął wypytywać, skąd i kto jestem, czy mam pieniądze i t. d. Wymijającemi odpowiedziami przecież pozbyłem się go i na wieczór zdążyłem do Wsecina do kolegi.*

Tu w Wsecinie zabawił u kolegi dłuższy czas, zwłaszcza, że mu jeszcze pozostawało kilka dni do początku roku szkolnego; więc częścią wypoczywał po tak męczącej podróży, częścią zwiedzał z kolegą okolicę, zrobił także wycieczkę i na pamiętną górę Hostyn.

„Potem,“ opowiada dalej,*) „ojciec jednego z kolegów odwiózł nas do Preszburga, a właściwie tylko rzeczy nasze, bo po drodze przybierał jeszcze innych kolegów i musieliśmy większą częścią iść pieszo za wozem.“**)

*) Pamiętnik

**) Za to musiał zapłacić Stalmach kilka złr.

Na Węgrzech przed r. 1848 było inne życie, aniżeli obecne; panował tam silny duch wolnościowy i dlatego kwitnął też dobrobyt, a przedewszystkiem kwitnęły nauki, niekępowane żadnemi maziarskimi „ukazami“. Słusznie śpiewano wówczas: extra Hungariam non est vita, si est vita, non est ita (po za Węgrami nie masz życia, jest zaś jakie, to nie takie, jak we Węgrzech).

— Na Stalmachu wywarło to życie wolnościowe silne wrażenie i kilkadziesiąt lat później pisze z żalem: ówczesne, a dzisiejsze Węgry, to niebo i piekło.*)

Skoro przybył do Preszburga, udał się zaraz z listem polecającym do prof. Schroera, a ten wyszukał mu dobrą lekcję języka francuskiego, a nadto dawał mu przepisywać swoje prace naukowe, za co otrzymywał także, jakkolwiek skromne, wynagrodzenie. Pieniądzmi więc utrzymaniem za lekcje i za przepisywanie prac, oraz resztą gotówki, jaka mu została z pieniędzy, przywiezionych z domu, opędzał najpotrzebniejsze wydatki w pierwszym półroczu, w drugim zaś półroczu dostał się, jako uczeń celujący, do konwiktu, dzięki poparciu prof. Martiniego. W konwikcie miał utrzymanie bezpłatne, więc mógł się z swobodniejszą głową oddawać nauce i innej pracy.

a) Życie studentów w Preszburgu.

Preszburg był wówczas wprawdzie małym, ale to bardzo ożywionym miastem. Tam od-

*) Pamiętnik.



bywał się sejm, a więc zjeżdżali się posłowie wszystkich stanów i wszystkich ludów węgierskich; tam były sławne na całe Węgry szkoły: akademie katolicka i liceum ewangelickie, a w nich znów synowie wszystkich ludów węgierskich, a nawet pozawęgierskich. Mieszczanie, jakkolwiek należący do różnych narodowości, żyli w zgodzie. „Zwyczajem było,“ wspomina Stalmach,* „że Niemcy oddawali swych synów do Słowaków lub Madziarów, a ci znowu do Niemców i przez taką zamianę przywłaszczali sobie nawzajem obce języki od młodości.“ Wśród tej różnorodności języków i ludów znajdował się Stalmach w swoim żywiole.

Kolegami jego byli synowie wszystkich narodów słowiańskich z wyjątkiem Rosyan, a więc Słowacy, Serbowie, Chorwaci, Rusini, Słowienicy, Polacy (Ślązacy), Bułgarzy, Czesi, Morawianie i jeden Łużyczanin, a oprócz tego Madziarzy, Niemcy i Wołosi. Językiem towarzyskim, a także wykładowym w szkołach, musiał być wobec tej wielojęzyczności: język łaciński. Ten język łaciński sprawiał, jak pisze Stalmach,** z początku wiele trudności wychowankom cieszyńskiego gimnazjum, bo gimnazya węgierskie kładły większy nacisk na język łaciński, a gimnazya austriackie na język niemiecki. Ale po paru tygodniach tak opanowali ten język, że już władali nim biegle.

Zakład filozoficzny w Preszburgu wyszczególniał się doborem sił profesorskich, więc też

*) Pamiętnik.

**) Pamiętnik

ściągał do siebie całe masy słuchaczy. Do najczęściej uzdolnionych i lubianych profesorów należał według Stalmacha profesor Schroer, znawca klasyków łacińskich i. historii powszechnej i autor kilku naukowych dzieł. On pomimo tego, że był gorliwym Niemcem, był sprawiedliwym i bezstronnym tak dalece, iż otwarcie wykladał, „że Niemcy uczyli się od Słowian budować miasta, zaczęli Słowianie niegdyś wyprzedzali Niemców w oświecie.“*)

Oprócz dzielnych sił profesorskich miała młodzież w Preszburgu dużo środków do kształcenia się. Najpierw księgozbiór w zakładzie, w którym znajdowały się książki w różnych językach, między innymi wiele dzieł polskich, a dalej każde stowarzyszenie (słowiańskie, niemieckie i madziarskie) miało własny księgozbiór. Z tych wszystkich środków korzystał Stalmach, o ile mu tylko sił i czasu starczyło.

„Dotąd,“ pisze on w pamiętniku, „Ślązacy zapisywali się zwykle do niemieckiego stowarzyszenia i przesiąkali mocniej duchem niemieckim; ja z Bujakiem wstąpiliśmy także do tego towarzystwa, aby się obznajomić z literaturą niemiecką, którą wykladał profesor Schmidt, ale zarazem zgłosiliśmy się do stowarzyszenia słowiańskiego, jako Polacy,**) — i był to pierwszy i jedyny przykład, że Ślązacy zmanifestowali właściwą narodowość swoją.“

*) Pamiętnik.

**) Dodać trzeba, że ich Czesi chcieli przeciągnąć na swą stronę, udawadniając, że Śląsk jest czeski, a więc i oni są Czechami; przeciw temu zaprotestowali Stalmach i Bujak, a ich protest przyjęło stowarzyszenie słowiańskie.

To towarzystwo słowiańskie było właściwie słowackiem, a inni Słowianie przyłączyli się tylko do niego. Odtąd, jako członkowie tego towarzystwa, mogli Stalmach i Bujak korzystać z wykładów Ludowita Stura o literaturze słowiańskiej z poglądem na dzieje słowiańskie i mogli czerpać wiadomości z księgozbioru, gdzie były wszystkie dzieła nowszych autorów polskich, „bo Słowacy wielce lubowali w literaturze polskiej, a nadewszystko cenili Mickiewicza, Trentowskiego i Czajkowskiego.“*) Oprócz tego mogli korzystać jeszcze z różnych czasopism słowiańskich i tak zaznajomić się z ruchem piśmiennym wszystkich Słowian.

Za czasów pobytu Stalmacha w Preszburgu zaczęły się psuć zażyłe stosunki Madziarów do ludów słowiańskich, zamieszkujących Węgry, co się naturalnie odbijało i na wspólnym pożytku studentów. Wtedy to toczyły się w sejmie obrady, a raczej walka o zaprowadzenie języka węgierskiego, jako języka urzędowego, na miejsce dotychczas używanej łaciny. Najgorliwszym zwolennikiem języka węgierskiego, jako urzędowego, był wówczas Koszut, z pochodzenia Słowak.

Walka ta przybierała coraz ostrzejsze rysy i rozszerzała się na cały kraj, siejąc wszędzie nieprzyjaźń i nienawiść; ale pomimo swej żywiołowej potęgi nie mogła zerwać jednego węzła, który łączył wszystkie ludy węgierskie, a mianowicie węzła gościnności. O tej gościnności wspomina często Stalmach. „Mieszkalem,“

*) Pamiętnik.

pisze on,*) „w domu mieszczanina Niemca, posiadającego winograd, jak wogóle mieszczanie uprawą wina się zajmowali i w czasie winobrania obsypany byłem winogronami i owocami... Takiej szczodrości później u Niemców rakuskich w okolicy Wiednia nie widziałem.“ — „Między studentami węgierskimi, a zwłaszcza słowackimi znalazłem,“ pisze dalej,***) „szczyt gościnności, która zapewne była wrodzoną: dostawali oni często z domu różne pieczywa, pagacze, szynki, owoce, tytoń; wtedy był u nich przedziwny komunizm (wspólność); każdy miał także zupełną fajczarnię i między nimi przyzwyczaiłem się też niestety do nałogu palenia, bo nie podobna było odmówić.***)

Najwięcej ruchu i życia z pośród studentów węgierskich okazywali wówczas Słowacy. Zbierali się oni na pogadanki poważne, przepłatane śpiewem; urządzali liczniejsze zebrania, na które oprócz studentów przybywały znakomite osobistości, jak n. p. posłowie do sejmu, literaci i artyści słowaccy. Na te zebrania uczęszczał regularnie także Stalmach i tam poznał się i zaprzyjaźnił z różnymi później wielkimi ludźmi, n. p. z Janko Králem, Paulínym i innymi. Przedewszystkiem z Králem żył on w serdecznych stosunkach, bo ich natury i dusze były pokrewne. O nim to opowiada Stalmach w pamiętniku: „Janko Král, jako poeta, miał szczególną pasję: zwłaszcza zimo-

*) Pamiętnik.

**) Pamiętnik.

***) Pamiętnik.

wymi wieczorami, gdy wiatr szumiał i śniegiem prał, przychodził po mnie i chodziliśmy za Dunaj do gaju „Au“, a gdy drzewa od wichru nad nami się ugiwały, to było jego uciechą.“

Tak minął Stalmachowi pierwszy rok nauki wśród pracy i rozrywki studenckiej rażno i wesoło. Na drugi rok zaczęło się dla niego życie smutne i opuszczone, bo rząd madziarski, który wówczas już był górą, zaczął się srożyć: rozkazał rozwiązać studenckie stowarzyszenie słowiańskie i zakazał prof. Stuirowi wykładać literaturę i historię słowiańską, wskutek czego prawie połowa studentów słowiańskich opuściła Preszburg i udała się na nauki do Lewoczy.

Już od dłuższego czasu dowiadywał się Stalmach, czy w Preszburgu nie kształcą się jacy Polacy, bo chciał się z nimi poznać; ale długo bez skutku. Nareszcie po długich szukaniach powiedziano mu, że w akademii katolickiej jest jeden Polak. „Udałem się do niego,“ wspomina w pamiętniku, „ale był to potomek jakiegoś wychodźcy polskiego i już zupełny madziaron; polskie i wogóle słowiańskie rzeczy były mu obce.“ I to spotkanie bardzo go zabolalo.

b) Pierwsza myśl założenia pisma polskiego na Śląsku.

Ból jego zwiększył się jeszcze, kiedy, jakeśmy już o tem wspomnieli, z Cieszyna nadeszła wiadomość o rozwiązaniu „Kółka młodzieży polskiej“ w ewangelickiem gimnazjum.

Z pobytu Stalmacha w Preszburgu dodać jeszcze należy, że właśnie tam w Preszburgu pod wpływem Ludowita Sturą zaczęła w nim dojrzewać myśl założenia na Śląsku polskiego pisma.

Oto jak sam Stalmach wspomina o tym tak ważnym dla Śląska pomyśle: „Już w gimnazjum,“ pisze on w pamiętniku, „widząc u kolegów czeskich pisma czasowe czeskie dla ludu, rozmyślałem, jakby i dla ludu polskiego na Śląsku polskie czasopismo mogło być pożytecznem.“ — „W Preszburgu,“ pisze on dalej, „znalazłszy w stowarzyszeniu słowiańskiem tyle różnych czasopism słowiańskich, między niemi także kilka polskich, przeświadczyłem się jeszcze więcej o ich pożyteczności i o ich wpływie na naród i wtedy powziąłem myśl starania się, aby i w Cieszynie mogło wychodzić pismo polskie. Zachęcał mnie do tego także Ludowit Stur, który po rozwiązaniu stowarzyszenia studentów słowiańskich zaczął wydawać „Slovenske Noviny“.

Z tym Sturem żył wówczas Stalmach w przyjaźni i pomagał mu w pracy redaktorskiej; „pochwalał on,“ pisze o nim Stalmach,*) „moją myśl (wydawania na Śląsku polskiego pisma) i poradził mi udać się w tej sprawie do dra Kluckiego. Żeby mieć powód zaznajomienia się z dr. Kluckim, dał mi Stur dla niego prospekt i zaproszenie do przedpłaty swych „Novin“.

W ciągu dwóch lat skończył Stalmach nauki filozoficzne w Preszburgu i wybrał się

*) Pamiętnik.

w podróż z powrotem do Cieszyna; podróż tę odbył znowu piechotą.

„Podróż była,“ pisze on,*) „przyjemna: szliśmy nie prostą drogą, ale zygzakiem, wstępując do kolegów i znajomych, a tu znowu przekonałem się o gościnności i dobroduszości słowackiego ludu. Koło Trenczyna i llawy jednak spotkały nas awantury, bo były prawie wybory, kandydatami byli Csaky i Neuman, za oznaki miała jedna partya kolor czerwony, a druga zielony. My jako studenci rwaliśmy w zbożu kwiaty czerwone i niebieskie za kapelusze lub do dziurek guzikowych, a tu przy każdej gospodzie były gromady wyborców, którzy podług koloru kwiatów mając nas za stronników lub korteszów przeciwnej partyi, zaczepiali nas groźnie i ostro i ledwo zdołaliśmy się wytłumaczyć, żeśmy studenci ze Śląska i do ich spraw się nie mieszkamy. Dla zadosyćuczynienia im musieliśmy przynajmniej kwiaty zrzucić.“

Tak Stalmach i jego towarzysze poznali, wprawdzie niechęć, wybory węgierskie, a o mało, że ich także na swych grzbieciach nie odczuli. — Jeszcze o jednym charakterystycznym wypadku wspomina nam Stalmach z tej podróży: „Przybywszy... do Tuczówki, tu ściągął nas deszcz i nie mogliśmy przejść przez góry do Śląska, jak zamierzaliśmy; musieliśmy nająć chłopka, który nas odwiózł przez Czacę aż do Bystrzycy do pastora Raszki. Chcąc, aby nas chłopiek słowacki nie rozumiał, mówiliśmy po

*) Pamiętnik.

łacinie, ale chłopiek miesza się w to i odpowiada też po łacinie, rozumiał nawet trochę po niemiecku i po madziarsku. Dowód to, jak zdolny jest lud słowiański do przyswojenia sobie cudzych języków, co jednak często na jego szkodę wychodzi.“

Po powrocie do Cieszyna udał się Stalmach zaraz do dra Kluckiego, podzielił się z nim myślą wydawania polskiego pisma na Śląsku i prosił go, aby się zajął tą sprawą, przyrzekając, że sam podczas nauk we Wiedniu będzie zasilał to pismo artykułami. Dr. Klucki uznał po długiej rozwadze tę myśl za dobrą i przyrzekł, że będzie się starał o pozwolenie rządu na wydawanie tego pisma; ale tylko przyrzekł, bo czy to z powodu nadmiaru pracy, którą musiał sam załatwiać, czy też z powodu zapomnienia, pozostała sprawa w odwłocie.

U dra Kluckiego spotkał Stalmach dawniejszego kolegę gimnazjalnego Andrzeja Cieńciałę, który po powrocie z księgarni krakowskiej był z* razu pisarzem ekonomicznym, a później wstąpił do kancelaryi dra Kluckiego za pisarza. Stalmach nawiązał z nim znowu przyjazne stosunki i wybił mu z głowy niechęć do Polaków i uprzedzenie do narodowości polskiej, jaką czuł do niej po przyjeździe z Krakowa i skłonił go do wstąpienia na nowo do gimnazjum i odnowienia przed rokiem rozwiązanego „Kółka młodzieży polskiej.“ — A więc nie jest prawdą, jak niektóre broszury i czasopisma podają, że Andrzej Cieńciała był tym, który zapoczątkował ruch narodowościowy w ewange-

lickiem gimnazjum w Cieszynie; on go tylko wznowił, zachęcony do tego przez Stalmacha.

4. P. Stalmach na teologii protestanckiej w Wiedniu.

Tak uspokojony po części o mające powstać pismo polskie na Śląsku i o rozwój życia narodowego w ewangelickim gimnazjum w Cieszynie, puścił się Stalmach na wyższe nauki teologiczne do Wiednia. W dawniejszych czasach udawali się Ślązacy na studia teologiczne do Krakowa lub Pragi, a później także do Wrocławia, ale kiedy część Śląska z Wrocławiem dostała się pod rządy pruskie, to dla śląskich teologów katolickich przeznaczono wydział teologiczny w Ołomuńcu, a dla ewangelickich teologów urządzono (1821) wydział teologiczny we Wiedniu.

„Na ten fakultet (wydział teologiczny),“ wspomina Stalmach,*) „udałem się w roku 1845, znowu pieszo aż do Lipnika na Morawie, a potem koleją.“ Ale podróż tę musiał sam odbywać, bo Jan Bujak, kolega z czasów presburskich, poszedł na dalsze studia do Lwowa. We Wiedniu znalazł dużo Ślązaków, między nimi Andrzeja Kotulę, uświadomionego już narodowo.

Po presburskiej swobodzie wydawało się Stalmachowi życie wiedeńskie prawie więzieniem: były to czasy meternichowskie. Ludzie musieli się bać na każdym kroku, czy ich kto

*) Pamiętnik.

nie śledzi i dlatego liczyli się też z każdym słowem, co naturalnie nie wpływało dodatnio na wspólne życie; takie stosunki panowały i wśród młodzieży uniwersyteckiej.

Początkowe życie we Wiedniu nie bardzo się uśmiechało do Stalmacha. W kieszeni miał tylko 10 złr. i listy polecające. Z tymi listami udał się do dyrektora zakładu, spodziewając się, że ten da mu jakieś lekcyje, ale niestety, wszystkie lekcyje pozabierali już starsi teologowie. Dopiero po trzech miesiącach otrzymał małą lekcyę, a w drugim półroczu stypendyum w wysokości 80 złr., co było rzadkością, bo teolodzy pierwszego roku otrzymywali tylko 50 złr.

Oto jak Stalmach opisuje początkowe życie swoje we Wiedniu: „Przez trzy miesiące,“ pisze w pamiętniku, „żyłem prawie tylko o chlebie i wodzie: na rano była szklanka wody i bułka sucha, na obiad także bułka i czasem talerz zupy z taniej kuchni, a na wieczór znowu bułka.“ Na tak skromny wikt musiał sobie jeszcze pożyczać.

Pomimo tak trudnego położenia nie tracił on nadziei i pracował ze zdwojoną siłą. Godziny południowe przepędzał w nadwornej bibliotece, gdzie czytał kroniki Helmolda, Dytmara i Długosza, robiąc z nich wyciągi: wieczorami zbierał i układał materyały do powstającego pisma polskiego w Cieszynie i pracował równocześnie razem z Jerzym Heczką nad tłumaczeniem czeskiego kancjonalu Trza-

nowskiego na język polski. Oprócz tych prac pozostawał mu jeszcze czas na naukę i zabawę.

Miedzy teologami ewangelickimi było bowiem wówczas bardzo rozwinięte życie towarzyskie. Było ich wszystkich do 40 i tworzyli „Kółko“, składające się z Niemców, Czechów, Polaków, Słowaków i Węgrów, a ponieważ Niemcy wszystkich liczbą przewyższali, wzięli w swe ręce urządzenie zabaw i nadal im typ burszostwa. Stalmach należał do tego „Kółka“ i więcej przymusowo, aniżeli dobrowolnie, brał udział w jego zabawach. Przy ceremonii przyjmowania za bursza obrał sobie imię „Utiś“ (słowo greckie znaczy: nikt), jakby tem chciał zaznaczyć, że jest między burszami prawie żadnym. Nie ukrywał się z tem, że się mu to burszostwo nie podoba i kiedy znalazło się więcej podobnie myślących, założył z nimi „bractwo“ słowiańskie, którego godłem był kielich. „Bractwo“ to rozszerzało się prędko, zwłaszcza że do niego przyłączyli się słuchacze techniki i innych wydziałów uniwersytetu; za przykładem Wiednia poszły i inne miasta i tak rozszerzało się „bractwo“ słowiańskie wszędzie, gdzie kształciła się młodzież słowiańska.*)

I tu we Wiedniu, wśród tak licznych prac, nie zapomniał Stalmach o „Kółku młodzieży polskiej“ w ewangelickiem gimnazjum w Cieszynie: nie wstydził się prosić kolegów Ślązaków i Rodaków z poza Śląska o polskie książki

*) Za czasów Stalmacha znajdował się jeszcze w „Czytelni Ludowej“ drewniany kielich, godło „bractwa“; skąd się tam wziął, nie wiadomo.

dla budzącej się narodowo młodzieży. Nie zrażały go dosyć opryskliwe słowa, jakie często musiał słyszeć od Rodaków: „Ślązacy, to nie Polacy“... „nam na Śląsku nie zależy“. Później dopiero zrozumiał on tę niechęć i oziębłość; był to czas spisków, więc Polacy nikomu nie ufali, nawet Ślązakom.

Studenci czeszy już za czasów Stalmacha wodzili rej między swymi pobratymcami-Słowianami. Urządzali oni koncerty i bale, na które zapraszali i arystokrację słowiańską. Na tych balach poznał się Stalmach z różnymi magnatami polskimi jak n. p. z książętami Czartoryskimi i innymi; na tych balach nauczył się on także i dosyć poprawnie tańczyć. Pierwszy początek zrobił na „balu teologów“.

Oto jak Stalmach *) wspomina o swym pierwszym tańcu: „Nietylko nie umiałem tańcować, ale nie widziałem przedtem nigdy balu, ani zgoła muzyki chłopskiej. Tu znajoma panienka zachęcała mnie, nie pomogło wymawianie się: lecz próbując, zamiast obracać się w kole, wpadam na środek sali, gdzie stali profesorowie, a dyrektor wskazuje im na mnie po imieniu, jak się znam na sztuce Terpsichory**); usłyszawszy to, starałem się wejść znowu w koło i doprowadzić pannę na jej miejsce i przeprosić ją. Lecz ona zachęcała ponownie; próbując dalej, głowa się już nie zawracała, a bacząc na takt, do rana nauczyłem się zwyczajnych tańców.“ — „W późniejszych

*) Pamiętnik.

**) Tak Grecy nazywali swą boginię tanca (Muza).

latach w Cieszynie,“ wspomina dalej, „gdzie jeszcze polskość miała znaczenie i na balach polski mazur był niezbędny, z widzenia nauczyłem się tego tańca i uważam ten taniec narodowy nie tylko za najpiękniejszy, ale i za najłatwiejszy.“

Jak w Preszburgu, tak też i we Wiedniu słuchał Stalmach profesorów, posiadających głębokie wiadomości w wykładanych przedmiotach; ale podczas gdy w Preszburgu mieli studenci zupełną wolność i swobodę przyznawania się do tej lub owej narodowości, to we Wiedniu musieli się nieraz ze swą narodowością ukrywać, co źle wpływało na studentów i niektórzy pomimo polskiego pochodzenia uważali się sami za Niemców. Stalmach poznał tę wadę wyższych szkół wiedeńskich i dlatego później, już jako redaktor „Gwiazdki“, kiedy krzątano się koło założenia w Cieszynie zakładu filozoficznego („filozofii“*), starał się o to, by do Cieszyna sprowadzić także wydział teologiczny z Wiednia.

Drugą wadą wydziału teologii ewangelickiej we Wiedniu było bardzo swobodne i dowolne wykładanie Pisma św. (skeptycyzm), co zachwiało wiarę w niektórych teologach, a nawet w Stalmachu, choć w domu otrzymał tak religijne wychowanie; to było także powodem, że później porzucił zamiar zostania kaznodzieją.

„Bywszy wychowanym w mocnej wierze,“ wspomina później w pamiętniku, „i wyniółszy

*) Uzupełnienie gimnazjum; dzisiejsze 7. i 8. klasa.

ją z domu, dopiero w teologii skutkiem wykładów profesorskich zacząłem powątpiewać o prawdziwości zasad chrześcijańskich i o powadze biblij, jedynej podstawie kościoła ewangelickiego. Takie same uczucie ogarnęło kilku kolegów i trzech nas najwięcej wzruszonych: Wacław Szubert, Czech, Adolf Pileczka, Morawianin i ja zabraliśmy się do własnego wykładania ewangelii i listów apostoelskich. Pokrzepiliśmy w ten sposób nasze umysły przeciw skeptycznym zdaniom.“ — „Mnie jednak,“ wspomina dalej, „spowodowała ta okoliczność do marzenia tylko o profesurze przy ewangelickim gimnazjum w Cieszynie, gdzie często był brak profesorów,“ a więc porzucił już wtedy myśli o pastorstwie.

Jak daleko posunęła się ta swoboda i dowolność wykładania Pisma św. na wiedeńskim wydziale teologii ewangelickiej, można poznać z tego przykładu, że pewien ewangelicki teolog nazwał w kazaniu biblię „splęniałą księgą“:*)

Wskutek nadmiernej pracy nabawił się Stalmach we Wiedniu choroby piersiowej, która doszła do tego stopnia, iż on sam i lekarze zaczęli wątpić o jego powrocie do zdrowia. Na nic się zdały prószki i inne lekarstwa i, gdyby nie przypadek, musiałby uleść chorobie. — Raz podczas rannej przechadzki po plantach wiedeńskich wyprężył niechcąc zboląle piersi i uczył zrazu krótkie osłabienie, a później ulgę w boleści; odtąd

*) Pamiętnik.

powtarzał te ćwiczenia wyprężania piersi i tak pozbył się tej płucnej choroby.

Przez wakacje pozostał we Wiedniu, by wypocząć po chorobie i codziennie po skończonych lekcjach zwiadał okolice miasta. Podczas jednej z takich wycieczek na Kahlenberg*) zdarzył się wypadek, który go o mało nie kosztował życia.

„Wyszedłszy wcześniej rano,“ opowiada on w pamiętniku o tym wypadku, „a ponieważ właśnie dla owej kuracji samotnie chodziłem, żeby mi ani rozmowa nie przeszkadzała, gdy szedłem aleją przez las, nagle z gęstwiny wyskoczyło dwóch urwiszów i pobiegli wprost ku mnie; ale w tem okamgnieniu dał się słyszeć bęben na bliskim skraju lasu, gdzie ćwiczyło się wojsko. Łączęgi zmierzli mnie tylko groźnym wzrokiem i odeszli. Zwróciłem się za głosem bębna i tu spotkałem człowieka zbierającego zioła, który opowiadał, że takie niebezpieczeństwa zdarzają się tam często.“

Odtąd już Stalmach nie chodził sam na Kahlenberg.

Na drugie wakacje wrócił Stalmach do Cieszyna, by pomódz choć trochę rodzicom w biedzie. Rok bowiem 1847. był straszny; Śląsk i sąsiednią Galicję nawiedziła choroba tyfusowa, zaraza ziemniaków i głód. Stalmach, o ile tylko mógł, pomagał rodzicom w przetrwaniu tych ciężkich czasów.

*) Góra przy Wiedniu; na tej górze służył do Mszy św. król polski Jan III. przed pogromem Turków (1683, 12. września).

Podczas tych wakacji wygłosił on kilka kazań, z tych pierwsze w Ligotce i tak poznał się z pastorem Filipkiem, z którym go łączyły później bliższe stosunki, o czem jeszcze wspomnimy.

Ale pomoc niesiona rodzicom nie była jedyną przyczyną przyjazdu Stalmacha do Cieszyna. Ważniejszym powodem, dlaczego on opuścił w te wakacje Wiedeń, była sprawa wydawania polskiego pisma na Śląsku, o co już się przed wyjazdem do Wiednia układał z dr. Kluckim. Udał się więc do dra Kluckiego, który przez dwa lata nic w sprawie uzyskania pozwolenia na wydawnictwo nie uczynił; przedłożył mu już przygotowane artykuły do tego pisma i zachęcał go, by poczynił jak najspieszniej jakie kroki, a dr. Klucki przyrzekł znowu, że się zajmie tą sprawą.

W te wakacje przedłożył także pastorem zboru cieszyńskiego potrzebę wydania nowego kancjonału dla ludu ewangelickiego, wskazując na przykład Słowaków, którzy już porzucili czeski kancjonał Trzanowskiego, a przyjęli nowy w języku słowackim. Uzyskał tyle, że pastrowie już się nie sprzeciwiali i nie podnosili, że Trzanowski był Cieszyniakiem, więc dlatego z pietyzmu trzeba zatrzymać jego kancjonał, jak to uczynił pastor Kłapsia, gdy się Stalmach listownie zwrócił do niego z myślą tłómaczenia tego kancjonału.

Jedną z dalszych prac wakacyjnych Stalmacha było uruchomienie i ożywienie „Kółka

młodzieży polskiej". Książki przywiezione z Wiednia oddał Andrzejowi Cienciale i by pomnożyć jeszcze tę szczupłą biblioteczkę „Kółka“, namówił Cienciałę, by wybrał się z nim do Krakowa. Tam i z powrotem odbyli podróż piechotą i musieli się ze strachem przedzierać przez kordony wojska austriackiego, bo były to czasy, kiedy wolny Kraków zajęli Austriacy. Od profesora Muczkowskiego otrzymali sporo książek i na własnych plecach przenieśli je do Cieszyna.

W drodze z powrotem zwiedzili także Kalwaryę Zebrzydowską i tu „chciało się nam bardzo pić,“ opowiada Stalmach,*) „i pytamy żydka w gospódce, czy ma piwo. 'O gdzieby tu piwa dostać, ale wódka jest dobra,' odpowiada. 'Wódki nie pijemy.' 'Ej dam wam winą ku zdrowiu,' rzekł i po chwili przyniósł z piwnicy. Była to kapuśnianka z wódką, ale dobrze posłużyła i żydek wziął tylko kilka krajcarów.“

Ale i te trudy Stalmacha i Cienciały nie zostały uwiecznione pomyślnym skutkiem, bo i to drugie „Kółko młodzieży polskiej“ rozpadło się po krótkim czasie wskutek drwinek i szykan profesorów, a obojętności, bojaźni i niechęci do pracy narodowej niektórych członków „Kółka“. Książki tego drugiego „Kółka młodzieży polskiej“ oddano w r. 1850 do „Biblioteki polskiej dla ludu śląskiego“, która od roku 1849 istniała przy redakcyi „Tygodnika Cieszyńskiego“, o czym później będzie mowa.

*) Pamiętnik.

Po wakacyach wrócił Stalmach do Wiednia, by ukończyć trzeci rok teologii. Tu chciał się znowu zbliżyć do Polaków, kształcących się na wyższych wiedeńskich zakładach naukowych, ale napróżno, bo oni po rzezi galicyjskiej stali się więcej ostrożnymi i bardziej nieufnymi, niż przed rokiem 1846.

Odepchnięty przez młodzież polską, szukali on w innych kołach styczności z Polakami. Przy pomocy, znanego już z Preszburga, Ludowita Stura poznał się Stalmach z ks. Jerzym Lubomirskim, który się zajmował wielce sprawami śląskimi, i przedstawił mu ogólnie sprawy śląskie i tak pozyskał go dla Śląska.

Odtąd bywał Stalmach częstym gościem w domu ks. Lubomirskiego i tam też poznał się z innymi przedstawicielami arystokracji polskiej. Ta znajomość z ks. Lubomirskim, która się później zamieniła prawie w przyjaźń, pokierowała dalszymi losami Stalmacha; w tym bowiem roku spostrzegł, że stracił zupełnie powołanie do pastorstwa, zachwiane już wykładami teologicznymi; postanowił więc starać się o posadę profesora gimnazjalnego w Cieszynie, bo w tym zawodzie, jak sądził, będzie mógł skuteczniej działać dla Śląska. Inne jednak było jego przeznaczenie.

5. Rok 1848.

Nastal rok 1848., pamiętny w historii Austro-Węgier. Po rewolucyi we Francyi nastąpiło i w Austrii jakieś gorączkowe życie i

podobnie, jak we Francji w Paryżu, tak w Austrii we Wiedniu zaczęła się pierwsza ruchawka.

Oto jak Stalmach opisuje krytyczny dzień 13. marca: „I w dniu 13. marca, jak zwykle, po kolegiach poszedłem do cesarskiej nadwornej biblioteki przez południe i zająłem się czytaniem. Przysiadł ku mnie nieznajomy, tylko widywany także w tej bibliotece pan i szepnął mi do ucha: „es geht schon los“ (już się zaczyna). Była godzina druga, wyszedłszy napotkałem w Pańskiej ulicy około Domu stanowego tłum ludu, zapelniający całą ulicę. Jeszcze nie przyznawałem temu znaczenia, obszedłem inną ulicą, udając się na obiad. Koledzy przychodzili z coraz groźniejszymi wiadomościami. Idziemy na miejsce rozruchu, tu już wojsko konne i piesze rozpędza tłumy w ulicach i wyruszają armaty.“

Cesarz Ferdynand nie pragnął rozlewu krwi, więc wydał w następnym dniu manifest, przyrzekający konstytucję. We Wiedniu nastała ogólna radość; mieszczenie utworzyli gwardję narodową, a studenci legję akademicką. I Stalmach był w tej legji.

„Nosilem więc wtenczas,“ pisze on,*) „także strzelbę, ale odbywaliśmy tylko ćwiczenia zwyczajne, do strzelania nie przyszło; przeto jak tu, tak i później w życiu nigdy nie strzelałem.“

Szał radości ogarnął cały kraj. Do Wiednia zjeżdżały deputacye, z których, co na naszą

*) Pamiętnik.

chlubę możemy przytoczyć, tylko polska i czeska żądały wyraźnie zniesienia pańszczyzny; a więc nie Kudlich pierwszy to uczynił.

a) Powstanie „Tygodnika Cieszyńskiego“.

Wkrótce wprowadzono w życie, według przyrzeczenia cesarskiego, różne ustawy wolnościowe, między innymi i ustawę prasową o wolności druku. „Zaraz po ogłoszeniu wolności druku,“ pisze Stalmach w pamiętniku, „napisałem więc do dra Kluckiego, aby rozpoczął to wydawnictwo, że teraz koncesyi, czyli pozwolenia na to nie potrzeba i ja przygotowanym zapasem zaopatrzę czasopismo.“

Dr. Klucki przyjechał do Wiednia, a Stalmach oddał mu przygotowany zapas artykułów i przedstawił go księciu Jerzemu Lubomirskiemu, który zaraz zamówił dla gmin w swych dobrach kilkanaście egzemplarzy mającego powstać pisma; tam we Wiedniu ułożono się ostatecznie co do nazwy i co do czasu ukazania się tego nowego polskiego pisma w Cieszynie.

Zaraz też po powrocie z Wiednia ogłosił dr. Klucki, że zamierza wydawać polskie pismo, a kiedy liczba zgłaszających się odbiorców doszła do 200, wydał pierwszy numer „Tygodnika Cieszyńskiego“, który się ukazał z druku 6. maja 1848; jako wydawca podpisywał się: Dr. Klucki, a jako główny współpracownik: Andrzej Cienciala. „Nad podpisem współpracownika,“ pisze Stalmach,*) „zastanowiano się nie mało w Cieszynie i szkodziło to nawet

*) Pamiętnik.

„Tygodnikowi C.“, ponieważ Cienciąła po kilkoletniej przerwie dopiero znowu wstąpił do gimnazjum i odpowiednich nauk nie posiadał, by pismo redagować. Dr. Klucki widział się jednak zmuszonym dać podpis byłego pisarza swojej kancelarii za głównego współpracownika, ponieważ wiadomem było, że sam po polsku pisać nie umie, chociaż dość biegle tym językiem mówił.“

A więc nieprawdą jest, jak pisze „Pamiętnik“ jubileuszowy Czytelnicy ludowej w Cieszynie, wydany w roku 1887, że „jeden z członków tego Towarzystwa (mowa tu o wznowionem przez Cienciąłę „Kółku młodzieży polskiej“ w ewangelickiem gimnazjum w Cieszynie) umożliwił pracą swoją rozpoczęcie wydawnictwa pierwszego pisma ludowego na Śląsku, pisma politycznego i naukowego, którego pierwszy numer wyszedł dnia 6. maja 1848 r. w Cieszynie pod nazwą „Tygodnik Cieszyński“;“ bo jedynie Stalmach swą pracą we Wiedniu i Pradze (podczas zjazdu słowiańskiego) sprawił, że „Tygodnik C.“ miał przez cały rok dosyć wstępnych artykułów, o czem może każdy się przekonać, gdy czyta początkowe numera „Tygodnika C.“

Słusznie więc może Stalmach pisać w swym pamiętniku: „Od samego początku zaopatrywałem „Tygodnik“ z Wiednia i także z Pragi artykułami, aż do mego przybycia do Cieszyna“ — „i mogę powiedzieć, że od samego początku „Tygodnik“ redagowałem.“*)

*) „W obronie własnej“. — Stalmacha 42. str.

Nieprawdą są także słowa dra Bystronia, umieszczone w broszurce zatytułowanej: „Z Cieszyńskiego“, gdzie między innemi pisze: „Dr. Cienciąła.. jeszcze jak uczeń gimnazjalny zaczął za czasów metternichowskich w roku 1848 wydawać „Tygodnik Cieszyński“, pisemko z dobrą i złą tendencją;“ bo Cienciąła był podówczas tylko podpisany na „Tygodniku C.“ za współpracownika, a Stalmach starał się już od czasów pobytu w Preszburgu o uskutecznienie wydawnictwa „Tygodnika C.“ i sam wyłącznie, jak już wspomnieliśmy, zasilał go we wstępne artykuły. „I dziś“, pisze Stalmach w pamiętniku, „mogłbym się jeszcze poszczycić owymi artykułami; jedynie język polski w nich nie był dosyć poprawny, czemu się dziwić nie można, gdyż przez cały czas nauk w Preszburgu i Wiedniu obcowałem z różnymi innymi Słowianami, a z Polakami nie było możności.“

Redakcją „Tygodnika C.“ podczas pobytu Stalmacha we Wiedniu i w Pradze kierował dr. Roic, Słowieniec, koncypient u dra Kluckiego, który pomimo braku wprawy i biegłości w języku polskim wywiązywał się dosyć poprawnie ze swego zadania.

b) „Związek austriackich Ślązaków“ w Wiedniu.

We Wiedniu kipiło dalej ruchliwe życie. Po zniesieniu cenzury druku, po uwolnieniu chłopstwa i wypuszczeniu na wolność Polaków, uwiezionych za udział w powstaniu,*) zaczęli

*) Mowa tu o rozruchach w r. 1846.

wszyscy wierzyć w dotrzymanie obietnic cesarskich; świadectwo tego ruchu wolnościowego to liczne stowarzyszenia, które rosły, jak grzyby po deszczu.

Jednym z takich najbardziej nas obchodzących stowarzyszeń, to „Związek austriackich Ślązaków“, do którego należeli i studenci ze Śląska. Zaraz po utworzeniu tego „Związku“ wyszedł na jaw jego cel, bo już na jednym z pierwszych zgromadzeń podnieśli mówcy potrzebę wysłania także posłów ze Śląska do parlamentu frankfurckiego. Parlament frankfurcki dążył bowiem do tego, by Austryę przyłączyć do Rzeszy niemieckiej i tak złamać raz na zawsze Słowian austriackich. Dążność i cel tego parlamentu przewidzieli dobrze Polacy i Czesi i dlatego stali się największymi przeciwnikami wysłania posłów do Frankfurtu.

Otóż Niemcy austriaccy chcieli nakłonić i Ślązaków do obesłania tego parlamentu frankfurckiego i dlatego założyli „Związek“. Mówcy podawali za dowód potrzeby obesłania parlamentu frankfurckiego tę okoliczność, że pastorowie śląscy tego sobie życzą i że oni będą agitowali za wysłaniem posłów do Frankfurtu.

„Zabrałem także głos“, wspomina Stalmach,* „i powiedziałem, że Księstwo Cieszyńskie jest słowiańskie i pójdzie za innymi Słowianami, którzy nie chcą posyłać swych reprezentantów do Frankfurtu; a pastorowie nie mogą i nie powinni prowadzić agitacji przeciwnej ludowi. Zdania mojego nikt więcej nie

*), Pamiętnik.

poparł. Przemówienie moje jednak zwróciło uwagę obecnego ks. dra Prutka na mnie, który przystąpił do mnie i zrobiliśmy znajomość z sobą, która później zamieniła się w przyjaźń.“

Agitacya za obesłaniem parlamentu frankfurckiego dostała się i do Cieszyna i okolicy. W samym Cieszynie agitowali studenci wieśniacy, Ślązacy, polskiego pochodzenia i garstka niby-inteligencji, obiecując mieszczanom i ludowi różne swobody i wolności, jakie miał uchwalić parlament frankfurcki. Najwięcej agitował Jan Śliwka, nauczyciel z Końskiej, późniejszy „narodowiec“, który przodował tłumowi wyborców ewangelickich z chorągwią niemiecką. Mieszczanie i lud byli wówczas całkiem zbalamuceni, zwłaszcza, że agitatorowie, jak n. p. dr. Jan Demel przemawiali do niego po polsku: nie można się przeto dziwić, że jeden siedlak ewangelicki z Nieborów, kiedy uświadomiłsi namawiali lud, by nie wybierał posłów do Frankfurtu, zawołał łamaną niemczyzną: „Wir sprechen polnisch, aber wir sind doch Deutsche“ (mówimy po polsku, ale mimo to my Niemcami).

Owocem tych agitacji był wybór dra Kollacza, profesora ewangelickiego gimnazjum cieszyńskiego, Karola Kotschego, pastora w Ustroniu i dra Demla na posłów do Frankfurtu ze ziemi Cieszyńskiej.

c) Stalmach na zjeździe słowiańskim w Pradze.

Jak Niemcy do Frankfurtu, tak Słowianie zwołali w tym samym roku (1848) zjazd sło-

wiański*) do Pragi. Myśl tego zjazdu podali Czesi, a wszyscy Słowianie jej przyklasnęli. Cel zjazdu streszcza się w uchwałach, które miano przedłożyć cesarzowi. Oto jak Stalmach**) podaje cel tego zjazdu: „Żeby wszyscy Słowianie, jako dzieci jednej matki podali sobie ręce ku odpieraniu nieprzyjaciela; żeby żadna narodowość przez drugą nie była udręczana, jak tego wymaga równość i sprawiedliwość; żeby Słowianie utworzyli ściślejszy związek na podstawie piśmiennej wzajemności; żeby odeprzeć pangermańskie zachcianki Frankfurtu w celu obrony całości i niepodległości cesarstwa rakuskiego, a niedopuszczyć wcielenia Austrii do Niemiec, pod której opieką miałyby się skupiać zachodnie i południowe narody słowiańskie“...

Za namową ks. Lubomirskiego pojechał i Stalmach na ten zjazd słowiański. „Książę Jerzy Lubomirski,“ pisze on,***) „zachęcił mnie także, abym pojechał na ten zjazd. Wprzód napisałem do dra Kluckiego, aby z Cieszyna wysłano też mężów zaufania do Pragi. We Wiedniu właśnie zakończono wcześniej rok szkolny, bo nikt już o kolegia nie dbał; moje nauki teologiczne też się już ukończyły, więc była możność pojechania. Do tego zdecydował się także Andrzej Kotula, który również ukończył nauki prawnicze i kilku innych Ślązaków, którzy więcej z ciekawości do nas się przyłączyli.“

*) Zjazd ten przewano później „Lipą słowiańską“.

**) Pamiętnik.

***) Pamiętnik.

We Wiedniu zbierali się wysłańcy i mężowie zaufania różnych narodów słowiańskich i dnia 30. maja wyjechało więcej niż 160 ludzi do Pragi. „Wesoła to była jazda,“ wspomina Stalmach,*) „radosne potem powitanie w Pradze i serdeczne przyjęcie na wyspie zofijskiej, dokąd przybywających nas prowadziły tłumy studentów i ludności z chorągwiami słowiańskimi: niebiesko-czerwono-białymi i czerwono-białymi, wśród okrzyków: Sława! Sława!“

Dnia 1. czerwca podzielił się „sobór słowiański“**) na trzy sekcje (części): Czesko-słowiańską, polsko-rusińską i południowo-słowiańską. Ślązaków przydzielono do części czesko-słowiańskiej, na co się Stalmach nie zgodził i poszedł do ks. Lubomirskiego, który był „podstarościm“ zjazdu, oświadczając: „Że my Ślązacy, jako Polacy chcemy i możemy tylko do polskiej sekcji (części) należeć.“***) Napisał też zaraz za radą ks. Lubomirskiego oświadczenie z protestem przeciw zaliczeniu Ślązaków do grupy czeskiej; do tego protestu przyłączył się także Andrzej Kotula. Wkrótce nadeszła odpowiedź przewodnictwa zjazdu na ten protest, według którego przydzielono Ślązaków do grupy polskiej.

„Powyższe oświadczenie moje,“ pisze Stalmach w pamiętniku, „było naówczas pierwszą

*) Pamiętnik.

**) Tak brzmi nazwa ogólnosłowiańska tego zjazdu; „sobór“ znaczy: zgromadzenie, zebranie, zjazd.

***) Pamiętnik.

głośną *) manifestacją przynależności Śląska do narodu polskiego. Czesi zgadzali się wtedy nawet na przyłączenie Księstwa Cieszyńskiego do Galicji z powodu wspólnej narodowości.

Na tym zjeździe słowiańskim pełnił Stalmach ważną czynność; był bowiem przydzielony do pomocy sekretarzowi grupy polskoruskiej, p. Walewskiemu, bo umiał, jak sam powiada, szybko pochwycić główną treść mowców i wciągnąć ją do protokołów; trzeba dodać, że wówczas nie było jeszcze stenografii (skróconego pisma).

Obrady tego zjazdu odbywały się spokojnie i uchwalono manifest do Madziarów, by zaprzestali gnębić Słowaków i manifest do ludów Europy i do cesarza austriackiego. Dopiero pod koniec obrad zakłócił generał Windischgrätz spokój miasta prowokacjami, które skończyły się bombardowaniem Pragi; członkowie „zjazdu“ musieli ratować się ucieczką przed śmiercią lub więzieniem.

Stalmach powrócił wówczas do Cieszyna i odtąd zaczyna się nowy okres w jego życiu, okres pracy obywatelskiej, okres walki o byt własny i byt ludu śląskiego.

*) Już raz oświadczył w Preszburgu, że Ślązacy to Polacy, a nie Czesi; ale to było tylko w obecności studentów, a tu w Pradze w obecności przedstawicieli wszystkich narodów słowiańskich.

III. Działalność publiczna P. Stalmacha.

1. Stalmach jako redaktor „Tygodnika Cieszyńskiego“.

Po powrocie z Pragi zajął się młody Stalmach (liczył bowiem niespełna 24 lat) całkowicie „Tygodnikiem C.“ Wpływ jego pracy dał się już poznać zaraz po ukazaniu się pierwszych numerów „Tygodnika C.“, bo dzięki jego artykułom, podnoszącym narodowość polską w Księstwie Cieszyńskim i objaśniającym, czego ta narodowość wymaga, nadeszło do urzędu cyrkularnego w Cieszynie rozporządzenie, by do ludu wysłać wszystkie urzędowe dopisy w „języku narodowym“ t. j. polskim.

Zachęcony tem pierwszym powodzeniem, rzucił się Stalmach z ochotą do dalszej pracy dla swego ludu. Za hasło w tej pracy obrał sobie słowa: „narodowość i oświata“, a te słowa były myślą przewodnią całego jego życia. „Narodowość bez oświaty,“ pisze on, *) „nie może się rozwijać i żyć; oświata możliwa jest tylko w narodowej mowie i musi służyć dla dobra narodu. Lud bez oświaty, w duchu narodowym, musi zginąć.“

Ale ta praca narodowa nie szczędziła Stalmachowi kłopotów i starań. „Tygodnik C.“ nie mógł się sam utrzymać z powodu małej liczby, bo ledwo 200 odbiorców i było trzeba dokładać do przedpłaty, by pokryć kosztą druku i

*) Pamiętnik.

inne wydatki. Stalmach był sam ubogi, a na dra Kluckiego nie chciał zwać wszystkich kłopotów pieniężnych; więc, by skuteczniej poprzeć „Tygodnik C.“, podał się o posadę profesora ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie, ale „efor“*) tego gimnazjum, pastor Andrzej Żlik powiedział mu w oczy: „Aber Sie waren bei dem Slavenkongreß in Prag, so wird es nicht tunlich sein“ (Pan brał przecież udział w zjeździe słowiańskim, więc nie da się to zrobić). Później i Andrzej Kotula podawał się o tę posadę, ale otrzymał taką samą odpowiedź.

Ta odpowiedź nie zniechęciła Stalmacha, przygotował się dalej, bo chciał się dostać do któregośkolwiek gimnazjum, nawet marzył o katedrze języka polskiego przy uniwersytecie ołomunieckim. Za namową znajomych Serbów starał się także o posadę profesora gimnazjalnego w Serbii.***) „Gdy o tem,“ pisze on w pamiętniku, „dr. Klucki i Andrzej Cienciąla się dowiedzieli, aby mnie uwięzić przy redakcji „Tygodnika“ jakimś tytułem, podpisali mię bez mojej wiedzy za redaktora.“

Było to w 14. numerze „Tygodnika“ z dnia 5. sierpnia 1848.

Podstęp dra Kluckiego i Cienciąły nie podobał się Stalmachowi, a to dlatego, że go bez wiedzy podpisano jako redaktora, zwłaszcza że nie miał jeszcze do redaktorstwa wymaganej

*) Doradca, opiekun.

**) Przyrzekł, że z Serbii będzie dalej zasilal „Tygodnik C.“ artykułami i pieniędzmi.

***) Pamiętnik.

pełnoletności; więc im oświadczył*) wprost: „Pracowałem i pracuję bezinteresownie dla „Tygodnika“, jako dla dobrej sprawy, a nie żebym się chciał czemś nazywać, dlatego umieszczenie podpisu mego bez umówienia wszelkiego, jako igranie z moją osobą, jest dla mnie ubliżeniem.“

I ta okoliczność, że imię Stalmacha umieszczono jako redaktora „Tygodnika C.“, związała go stale z tem pismem i po latach pisze on**): „Przyznać muszę, że pragnąłem pracować nade wszystko we własnej krainie i widocznie Opatrzność tak zarządziła, że postanowiłem nie opuszczać Cieszyna. Skromne potrzeby swoje zdołałem zaopatrzyć z lekcji.“

Wtedy już agitacya frankfurcka, prowadzona przez studentów wiedeńskich, wydawała swoje owoce. „Mieszczaństwo cieszyńskie,“ wspomina Stalmach,***) „było jeszcze prawie całkiem polskie, bo pochodzenia polskiego i mimo szkół niemieckich mówiło w familiach powszechnie po polsku. I temu mieszczaństwu zdołała garstka przybyszów niemieckich i kilku studentów wiedeńskich głowy przewrócić.“ Agitatorzy wmawiali bowiem w to mieszczaństwo, że z Frankfurtu mogą spodziewać się różnych swobód, podczas gdy zjazd słowiański chce przyłączyć Śląsk do Czech. Mieszczanie nie chcieli o połączeniu Śląska z Czechami słyszeć i urządzali uczestnikom zjazdu hałaśliwe demonstracye i kocie muzyki. Tak dali się wywieść w pole i ośmieszili się. — Więcej jeszcze ośmie-

*) Pamiętnik.

**) Pamiętnik.

szyli się oni sporem o kolor, jaki mają nosić gwardziści na wyłogach, czy czerwony, jako kolor gwardyi morawskiej, za którym obstawał dr. Demel, czy zielony, jako kolor gwardyi narodowej galicyjskiej, który zachwalał dr. Klucki. Wtedy to po przemowie dra Demla przeszli wszyscy, z wyjątkiem dra Kluckiego, na prawą stronę, czem oświadczyli się za kolorem czerwonym, a po przemowie dra Kluckiego przeszli znów wszyscy, z wyjątkiem dra Demla, na lewą stronę, świadcząc tem, że są za kolorem żółtym. — „I dziś,“ pisze ironicznie*) Stalmach kilkadziesiąt lat później, „pomimo wielkiego postępu niemczyzny, możliwą byłaby podobna igraszka. Dziś mieszczaństwo cieszyńskie idzie za kiwnięciem dra Jana Demla. Gdyby jednak był odpowiedni następca dra Kluckiego, ocuciłoby się ono.“

2. Walka Stalmacha z renegatami.

Stronnicy Frankfurtu, przeważnie studenci wiedeńscy i pastory**), zwrócili zaraz uwagę na „Tygodnik C.“, bo ten im stał w drodze ich agitacji; dlatego zaraz skierowali przeciw niemu swe pociski. Pierwszym takim pociskiem było

*) Pamiętnik.

**) Stalmach pisze w pamiętniku: „Wolno tu już zwrócić uwagę, że wszelki opór przeciw usiłowaniom narodowym w Księstwie Cieszyńskim wychodził głównie od pastorów ewangelickich. I o tem usposobieniu ich przekonanie swe wyrazili już po dniach marcowych członkowie Towarzystwa austriackich Ślązaków w Wiedniu. Łatwo to sobie zresztą wytłumaczyć: wiara ewangelicka z Niemiec pochodzi.“

pismo ulotne pastora Kotschego z Ustronia, zatytułowane: „Na przestroagę tym, co czytają „Tygodnik C.““ wyszło ono dnia 17. czerwca 1848., a więc miesiąc później po ukazaniu się „Tygodnika C.“ Odpowiedź na to pismo ulotne nadesłał p. Stokowski ze Lwowa, bo dr. Klucki nie chciał osobno na nie odpowiadać, a Stalmach był jeszcze wówczas w Pradze.

Ale ta „przestroga“ Kotschego nie odniosła prawie żadnego skutku, bo ci, którzy czytali „Tygodnik C.“, przywiązali się już do niego i nie zwracali żadnej uwagi na ulotne paszkwile.

Frankfurciści spróbowali jeszcze raz, czy się im nie uda ubić „Tygodnika C.“ i wysunęli na czoło pastora Andrzeja Żlika. Ten, „by przeszkodzić dążeniom narodowym“, „Tygodnika C.“, zaczął wydawać „Nowiny dla ludu wieskiego“;*) pierwszy numer „Nowin“ wyszedł dnia 5. lipca 1848. — dwa miesiące po ukazaniu się „Tygodnika C.“, a miesiąc przed umieszczeniem podpisu Stalmacha na „Tygodniku“, jako jego redaktora.**) „Nowiny te,“ pisze Stalmach, „uwielbiały frankfurcki parlament i co z niego przychodziło, wystawiały Niemców, a występowały przeciw Słowianom, domagającym się

*) Hasłem, którem kierowały się „Nowiny“ były słowa ich redaktora pastora Żlika: „Nasza religia jest niemiecka, więc musimy iść z Niemcami — nasza oświata jest niemiecka, przeto jesteście też Niemcami“ (Światło prawdy Stalmacha, str. 25.)

**) A więc nieprawdą jest, jak pisał dawniej wychodzący w Krakowie „Kraj“, że „Tygodnik C.“ (późniejsza „Gwiazdka C.“) wzięła początek z przeciwnarodowych „Nowin“.

niezależności od Niemiec i równych praw dla swej narodowości i wogóle hasło „narodowość“ ze strony Słowian uważały za bunt.“ — To krótki program „Nowin“.

A więc buntem dla nich były „dążności narodowe Słowian — ich opór przeciwko Frankfurtowi — a na Śląsku żądanie polskiej nauki w szkołach“?!

To też wpływom „Nowin“ należy przypisać, że profesorowie w ewangelickim gimnazjum odrzucili polecenie ministeryjne względem wykładania języka „słowiańskiego“ w gimnazjum, oświadczając, „że Ślązacy radzi się uczyć po niemiecku.“*)

Stalmach nie odpowiadał zrazu na zaczepki „Nowin“, chociaż w każdym prawie numerze zaczepiały jego osobę i „Tygodnik C.“, ale kiedy zaczęły się rzucać na narodowość polską, napisał kilka artykułów w obronie tej narodowości, kładąc główny nacisk na potrzebę nauki polskiej w szkołach. Odpowiedź taka nie wystarczała „Nowinom“, bo pastor Żlik życzył sobie walki z „Tygodnikiem C.“, by przez tę walkę zniechęcić jego czytelników i tak spowodować upadek tego pisma. Podsuwano więc Stalmachowi różne myśli, przekręcano treść jego artykułów, a nawet nie cofano się przed kłamstwem, ale Stalmach nie odpowiadał już w „Tygodniku C.“, bo odgadł myśl i cel redaktora „Nowin“.

Wspomnieć tu należy, że na początkowych numerach „Nowin“ obok pastora Żlika był

*) Pamiętnik.

jeszcze podpis ks. Paducha, dziekana cieszyńskiego. Pastor Żlik dlatego tylko wciągnął do redakcji „Nowin“ ks. Paducha, by nadać pismu powagi i wzięcia, a przed samym ks. Paduchem oświadczył, by go nakłonić do wstąpienia do redakcji „Nowin“, że wydaje te „Nowiny“ dlatego, „aby w tych niespokojnych czasach powstrzymać lud od niepokoju i buntów“.*) Ale „Nowiny“ były pisane wyłącznie dla ewangelików, a nawet zaczęły wiarę katolicką, przez co dały powód do wycofania się ks. Paducha z redakcji.

W odezwie, wydanej po wystąpieniu z redakcji „Nowin“, podaje ks. Paduch powód, dla czego zgodził się na współpracownictwo w „Nowinach“; powodem tym: „Dobro ojczyzny naszej, pożytek bliźniego i chwała Boska i by lud wiejski tak katolickiego jak ewangelickiego wyznania w tychto burzliwych i niespokojnych czasach w porządku i zachowaniu ustaw krajowych zatrzymać i przeciwdziałać złym radom, buntowniczym podszeptom złośliwych ludzi.“ Więc „Nowiny“ musiały albo inaczej, albo wprost przeciwnie pisać, kiedy ks. Paduch poczuwał się zmuszony do wystąpienia z ich redakcji.

Odezwe z powodu wystąpienia z redakcji „Nowin“ wysłał ks. Paduch i do redakcji „Tygodnika C.“ i stał się odtąd jego czytelnikiem, aż do śmierci, czem kłam zadał oszczerstwom rzuconym na Stalmacha i „Tygodnik C.“ przez autora broszurki: „Ewangelicy i sprawa

*) Pamiętnik.

narodowa na Śląsku" (1883), w której „Tygodnik C.” przedstawiony jest jako pismo buntownicze, a sam Stalmach jako buntownik.*) Autor wyżej wspomnianej broszurki opiera swe oszczerstwa na przytoczonych słowach z odezwy ks. Paducha, upatrując w „buntowniczych podszeptach” pracę oświatową Stalmacha, a w „drukowanych pismach” „Tygodnik C.”. Ale ks. Paduch przez to, że wysłał tę odezwę także do „Tygodnika C.” i że ten „Tygodnik C.” sobie zamówił, udowodnił, że nie „Tygodnik C.” jest pismem „buntowniczym”, a nadto słowa odezwy ks. Paducha nie mogą się też odnosić do Stalmacha, bo on wówczas, gdy się ta odezwa ukazała, nie był jeszcze redaktorem „Tygodnika C.”, a więc nie występował jeszcze otwarcie pod swym nazwiskiem w pracy narodowej.**)

Frankfurciści, t. j. zwolennicy niemczyzny na Śląsku, wycelowali za pomocą „Nowin” jeszcze jeden pocisk przeciw „Tygodnikowi C.”. Pismo to przyjęło litery łacińskie, t. j. takie, jakich obecnie używamy, a odrzucił „szwabaskie”, jakimi są jeszcze drukowane

*) Autor tej broszurki mówi, że ks. Paduch „nie przypadkowo brał udział w redakcji „Nowin”, ale — aby uchronić lud od złych rad i buntowniczych podszeptów narodowców, względnie p. Stalmacha i jego „Tygodnika”.

**) Że „Tygodnik C.” i Stalmach nie rozszerzali „buntowniczych podszeptów”, dowodzi choćby ta okoliczność, że wydawcą „Tygodnika C.” był dr. Klucki, którego nazywano wówczas pospolicie „czarnożółtym”; a więc nie był by on dopuścił do ogłaszania artykułów podburzających w swem piśmie.

stare kancyonały. Zaraz też z powodu tych liter łacińskich urządziły „Nowiny” nagonkę na „Tygodnik C.”, i zarzucały mu, że jest katolicki, bo posługuje się literami łacińskimi, których używają Polacy, a Polacy to przecież, według „Nowin”, wszystko katolicy.

Tak więc pastrowie, z past. Żlikiem na czele, starali się oderwać ewangelików śląskich od „Tygodnika C.”, a tem samem od narodowości polskiej i rzucić ich w paszczę germańską. — Skutki takiej pracy pastorów pokazują się i dzisiaj jeszcze, a najwięcej przy wyborach. Dziś znajdujemy już szlachetne i uświadomione jednostki między ludem ewangelickim i pastorami, ale to tylko wyjątki; ogół skłania się ciągle ku niemczyźnie.

Tak partya frankfurcka poznała jasno, że samem popieraniem i zachwalaniem niemczyzny nie uda się jej wpłynąć na całe masy ludu, zwłaszcza że „Tygodnik C.” oświecał ten lud i wskazywał mu na zgubne dążenia tej partii, pragnęła przeto stać się popularną i przybrała szumne imię: demokracji. Agitatorzy tej „nowej” demokracji głosili rzeczy, w spełnienie których sami nie wierzyli i których sami nawet sobie nie życzyli, jak n. p.: wolność narodowości, wolność wyznań i t. d. Siedzibą tych agitatorów był Cieszyn i Bielsko. — Kiedy jednak agitacja frankfurcka doprowadziła we Wiedniu do zaburzeń, a w końcu do powstania, a Węgrzy pod jej wpływem zerwali z Austrią, wtedy i w Cieszynie i okolicy dało się odczuć jakieś rozgorączkowanie. Cieszyńskie towa-

rzystwo demokratyczne zwołało zgromadzenie ludowe na 19. października (1848), na które zaproszono wójtów wszystkich gmin cyrkułu cieszyńskiego. Stalmacha obrano za pierwszego mówcę. Mówił krótko, wskazując ludowi, jakie prawa przyniosła mu wolność i jak ich sobie ma ważyć. Po nim przemawiali inni mówcy, podburzając lud, by poszedł za przykładem Wiednia, a Oszelda, doktorand medycyny z Nieborów, „wspominał nawet o kosach.“*)

Dzięki nawoływaniom „Tygodnika C.“ nie przyszło do żadnych poważniejszych zaburzeń.***) Zaszedł tylko jeden wypadek, który wywołał nieporozumienia między Michnikiem, właścicielem Żywocic, a zarządem dóbr hr. Larischa. „Na gruncie tegoż Michnika,“ wspomina o tym wypadku Stalmach,***), „polowali jego syn (student) i z nim włościanie. Właśnie polowali tam także myśliwcy państwa Larischowskiego, a napotkawszy onych, zajęli ich, odebrali im strzelby i zaprowadzili do jeneralnego sekretarza Stańka w Karwinej. Tenże uderzył Michnika ręką w głowę, aż mu się krew puściła. Potem związano Michnika i jednego chłopca i razem z nimi odwieziono wszystkich do Cieszyna, gdzie ich jednak studenci z niektórymi gwardzystami uwolnili. Za to ojciec Michnik zebrał parę set chłopów i ruszył z nimi do

*) Pamiętnik.

**) Dodać trzeba, że żołnierze sami drażnili w Cieszynie ludność; tak n. p. „deutschmeisterzy“ zdzierali studentom kapelusze, chcąc tak wywołać niepokoje. (Stalmach pamiętnik.)

***) Pamiętnik.

zamku w Karwinej, żądając wydania stolicy i „barbory“ (żyły), narzędzi używanych do karanja, tudzież strzelb odebranych.“

Po uspokojeniu zaburzeń w całym państwie zaprowadzono wszędzie porządek. Kiedy kolej przyszła na Cieszyn, to komisya śledcza aresztowała urzędników zgromadzenia ludowego z 19. października, a Stalmacha wezwała tylko na świadka przy rozprawie, uznając go temsamem za spokojnego obywatela.

Na jego wezwanie, ogłoszone w „Tygodniku C.“, wybrano deputacyę z okolicznych wsi i wysłano ją (4. listopada 1848.) do cesarza z podziękowaniem za uzyskane prawa i swobody, oraz z prośbą o pomnożenie praw narodowych. Deputacya ta była także u ministra Wessenberga i przedłożyła mu życzenie, by w Cieszyńskim urzędowano po polsku i by wszystkie rozporządzenia urzędowe były wydawane w języku polskim. Minister przychylnie załatwił tę sprawę i wydał zaraz odnośne rozporządzenie gubernatorowi Leżańskiemu; na przeszkodzie stanęła jednak ta okoliczność, że urzędnicy nie umieli po polsku pisać.

3. Stalmach jako organizator towarzystw narodowych na Śląsku.

Trudne było wówczas stanowisko redaktora „Tygodnika C.“; nie tylko że musiał walczyć o prawa ludu śląskiego, ale musiał równocześnie w tym ludzie budzić poczucie narodowe, bo lud nasz nie posiadał żadnego uświadczenia.

„Ślajak,” pisze Stalmach,*), „doprowadzony do tego, że nie wiedział, czym sam jest, nie považał dalszego Polaka jako swego brata i Słowianina nie poczytywał za krewniaka. Pojęcie narodowości było mu obcem; przez nieustanne artykuły w „Tygodniku”, przedstawiające narodowość jako obszerniejszą rodzinę, dopiero zaczęło się budzić i poczucie narodowe u ludu. Za językiem polskim obstawał lud śląski od chwili uzyskanej wolności, a to z tej przyczyny, iż mu ten język tylko był zrozumiałym. Byli jednak przeciwnicy, bałamuący, że lud śląski nie mówi po polsku, chociaż jego narzecze jest najlepszem z polskich dyalektów, albo podsuwali, że należymy do morawskiej gubernii i język nasz jest morawski (czeski). — „Tygodnik C.” musiał te przesady i urojenia zwalczać i otwierać ludowi oczy.

Kiedy Stalmach poznał, że sam „Tygodnik C.” nie wystarczy i że bardzo dużo działa także żywe słowo, zabrał się do zakładania towarzystw narodowych.

a) „Czytelnia Polska“.

Już w roku 1848. powstała „Czytelnia Polska” — „jako Towarzystwo dla wydoskonalenia się w języku polskim”. „Na kilku zebraniach,” pisze Stalmach**) o założeniu tej „Czytelni Polskiej”, „w ciągu października ułożono i uchwalono ustawy, ogłoszone pod d. 29. października 1848., a uroczyste otwarcie

*) Pamiętnik.

**) Pamiętnik.

„Czytelni” nastąpiło potem 15. listopada. Lokal dla niej ofiarował bezpłatnie dr. Klucki w swym domu. Do osiągnięcia wytkniętego celu „Czytelni Polskiej”, t. j. wydoskonalenia się w polskim języku, służyły jako środki: czasopisma, założenie biblioteki podręcznej, rozmowy i metodyczna nauka języka polskiego.“ Tę naukę języka polskiego powierzono Stalmachowi, który tak ją umiał prowadzić, że na nią przychodzili nawet niektórzy wyżsi urzędnicy.

By utworzyć podręczną biblioteczkę, rozpiisał Stalmach listy do różnych redakcyi i znajomych osób i wkrótce zebrano sporo książek i datków pieniężnych. Za jego namową urządzano także raz na tydzień zabawy, składające się z deklamacyi, czytania ciekawych ustępów z dzieł polskich i śpiewu. Zabawy te przyciągały najwięcej ludzi, co należy zawdzięczać pięknym piosenkom polskim i słowiańskim: śpiew ten był o tyle piękniejszym, że towarzyszył mu kwartet muzyczny.

Pierwszym prezesem „Czytelni Polskiej” był ks. Józef Paduch; Stalmachowi oddano spisywanie protokołów i innych rzeczy, ponieważ miał w tem szczególną biegłość: później został sekretarzem i jak się zdaje, utrzymał się na tem stanowisku aż do rozwiązania „Czytelni Polskiej“.*)

b) „Biblioteka polska dla ludu kraju Cieszyńskiego“.

Z działalności tej „Czytelni” należy przede wszystkim wyszczególnić utworzenie „Biblioteki

*) 1854. roku.

polskiej dla ludu kraju Cieszyńskiego“. Wydział „Czytelni polskiej“ wydał 18. marca 1849. ustawy tej „Biblioteki polskiej“ wraz z odezwą; odezwa ta znalazła dobre przyjęcie między Rodakami. Stalmach, jako bibliotekarz tej nowej „Biblioteki polskiej“, zwrócił się z prośbą znów do redakcyi i księgarni polskich i zaraz posypały się obfite dary; najwięcej przyczynił się do rozwoju tej „Biblioteki polskiej“ Jan Milikowski, księgarz lwowski, rodowity Ślązak, który od innych księgarzy wyprosił sporą liczbę książek. — Wieśniacy okolicznych wsi zaczęli korzystać z tej „Biblioteki polskiej“, a nawet i z dalszych stron Śląska zaczęli zjeżdżać do Cieszyna po książki. — Do tej „Biblioteki polskiej dla ludu kraju Cieszyńskiego“ włączono w r. 1850. księgozbiór rozwiązanego „Kółka młodzieży polskiej“ ewangelickiego gimnazjum cieszyńskiego.

Co do tej „Biblioteki polskiej“, to należy poprawić twierdzenie dra Bystronia w broszurce p. t. „Z Cieszyńskiego“, gdzie pisze, że „Cinciała starał się zawsze o wzrost biblioteki polskiej, należącej do „Czytelni“, którą rzecz można założyć.“ Jeżeli jest mowa o staraniu się o wzrost tej „Biblioteki polskiej“, to, jak z poprzednich słów widzimy, najwięcej zasłużył się sam Stalmach.

Drugiem ważnem dziełem „Czytelni Polskiej“ jest wydanie „zbioru pieśni słowiańskich“.*) Ten „zbiór pieśni słowiańskich“ po-

*) „Czytelnia Polska“ byłaby mogła jeszcze wiele dobrego zdziałać dla uświadomienia narodowego naszego ludu, gdyby

wstał wśród następujących okoliczności. Stalmach był raz na weselu u Jana Hawrota w Mistrzowicach. „Pod wieczór“ opowiada on,*) „miała być zabawa w karczmie, muzyka jakimś przypadkiem nie przyszła i towarzystwo chmurzyło się; zachęcam do śpiewu i zacząłem pieśni narodowe. Towarzystwo całe, rozweseliwszy się, brało udział w śpiewie i bawiło się do nocy, gdy niektórzy zaraz odpisywali te piosenki i powtarzali. Tam był pierwszy początek upowszechnienia śpiewek narodowych.“

Całe to zajęcie przedstawił Stalmach wydziałowi „Czytelni Polskiej“, a ten uchwalił 18. marca 1849. — a więc na tem samem posiedzeniu, kiedy wydał ustawy „Biblioteki polskiej“ i odezwę — wydać pieśni zebrane przez Stalmacha. Zbiór ten pieśni obejmował oprócz pieśni polskich także pieśni czeskie, słowackie, chorwackie i ruskie. „Dodać jednak winienem“, pisze Stalmach w pamiętniku, „że nie zebrałem tych pieśni z pierwowzorów czyli wprost z pism autorów, których nie mogłem posiadać,

z końcem roku 1854. nie było wyszło rozporządzenie, mocą którego zamknięto tak „Czytelnię P.“, jak również i „Bibliotekę polską“; książki „Biblioteki polskiej“ oddano do publicznej biblioteki Szersznika — później jednak oddano je „Czytelni Ludowej“. — Oto jak Stalmach opisuje zamknięcie tych dwóch towarzystw oświatowych: „Pewnego dnia przyszedł urzędnik c. k. starostwa z dwoma żandarmami i oznajmił mi zakaz „Czytelni Polskiej“ wraz z nakazem zabrania „Biblioteki dla ludu kraju Cieszyńskiego“, a to bez wszelkiej przyczyny i winy, bo winą obu tych instytucyi było chyba to, że przez czytanie budziła się u czytających myśl narodowa.“ — (Pamiętnik.)

*) Pamiętnik.

lecz jak krążyły między studentami słowiańskimi, z którymi jedynie podczas nauk miałem styczności; przeto do niewinnienia są zdarzające się w nich myłki.“

A więc widzimy, że Stalmach był wciąż zajęty, jeżeli nie redakcją, to „Czytelnią Polską“ lub „Biblioteką polską dla ludu“ i innemi pracami narodowemi, co mu tem trudniej przychodziło, bo musiał lekcyami zarabiać sobie na utrzymanie i nieraz, jak pisze Wład. Lud. Anczyc w księdze zbiorowej „Wiśle“, musiał sobie od ust odejmować, by zapłacić kosztu druku; liczba bowiem odbiorców „Tygodnika C.“ była z razu tak mała, jak już wspomnieliśmy, że ich przedpłata nie pokryła nawet wydatków na papier i druk. Ale silny i wytrzymały charakter jego byłby sobie jeszcze i to pokonał, gdyby nie była wyszła nowa ustawa prasowa, wymagająca kaucyi (poręki) od pism politycznych.

Stalmach nie miał pieniędzy, a dr. Klucki, zniechęcony małą liczbą odbiorców, nie chciał dalej dokładać do wydawnictwa, zwłaszcza, że musiał dotychczas dopłacić 300 złr., więc zachęcał samego Stalmacha, by zawiesił wydawnictwo. Ale młody redaktor nie chciał o tem słyszeć; wtedy dr. Klucki odłączył się od spółki wydawniczej i zrzucił cały ciężar pracy i odpowiedzialność na jego barki.

Zadanie Stalmacha było jeszcze trudniejsze, jeżeli przedstawimy sobie dalsze przeszkody w pracy. Musiał on bowiem tak działać i pisać, by dwa obozy na Śląsku, rozdzielone

waśniami wyznaniowemi, zbliżyć do siebie i popchnąć je do wspólnego celu, t. j. do uświadomienia narodowego. Sam pisze o tem po 30 latach w swej obronie, zatytułowanej: „Światło prawdy w narodowych stosunkach Śląska“: „Trudnem jest zadanie dziennikarskie, osobliwie, kiedy tak, jak redakcyja „Gwiazdki C.“, musi sprzeczne z sobą żywioły kierować i prowadzić do jednego celu.“*) Ale potrafił on się godnie wywiązać z tego trudnego zadania.

Stalmach poznał prawdziwą wartość „Tygodnika C.“ dla sprawy narodowej na Śląsku i nie tracił nadziei w tak trudnem położeniu. Zawiesił chwilowo z dniem 31. marca 1849. wydawnictwo „Tygodnika C.“, by wyszukać inną drogę wyjścia.

Skoro „Tygodnik C.“ doniósł swym odbiorcom, że przestaje wychodzić, ogłosiły i „Nowiny“, które od 1. stycznia 1849. były pod redakcją profesora Kajzara (z ewangelickiego gimnazjum), że i one wychodzić nie będą. Było to do przewidzenia, bo „Nowiny“ obrały sobie za cel przeciwdziałać narodowym dążnościom „Tygodnika C.“, a skoro on przestał wychodzić, to i one nie miały racyi bytu.

Stalmach długi czas przemysliwał nad tem, jakby wznowić wydawnictwo „Tygodnika C.“, a gdy go ciągle spotykały same zawody, zaczął rozmyślać nad sobą: „Do pastorstwa,“ pisze on, „nie miałem skłonności; wprawdzie w tym czasie, po ukończeniu nauk teologicznych,

*) Światło prawdy, str. 1.

miewałem często kazania w Cieszynie i okolicy, bo pastorowie chętnie dali się zastępować, aż mi się to sprzykrzyło, a szczególnie jedna okoliczność mnie zniechęciła. Pastorowie lubią między sobą teologizować (rozmawiać o rzeczach wiary) i zwykle pokazywał się tu sceptycyzm: zastanawiałem się, jak bez całkowitej wiary można co prawić ludowi w kazaniach. Nie było też wówczas widoków na Śląsku, a starać się o posadę indziej było mi wstrętnem. Marzyłem tem więcej o profesurze, a mając jakie takie utrzymanie z lekcji, przygotowywałem się do egzaminu rządowego, licząc tem pewniej na umieszczenie przy ewangelickim gimnazjum w Cieszynie, ponieważ już traktowano o oddanie tegoż gimnazjum w utrzymanie państwowe, co istotnie w r. 1850. skutecznionem zostało. Na takim stanowisku wydawała mi się możliwą praca dla ludu własnego.... Wkrótce jednak, rozważywszy rzecz, uznałem, że „Tygodnik Cieszyński“ przecie znowu dalej wychodzić może.“ A więc znalazł drogę wyjścia.

Udało mu się ominąć ustawę prasową w następujący sposób. Nowa ustawa prasowa wymagała kaucyi tylko od pism politycznych, wychodzących częściej niż raz w miesiącu, pisma zaś niepolityczne, jako też polityczne, ale tylko raz w miesiącu wychodzące nie podlegały kaucyi. Więc zaczął wydawać „Tygodnik C.“ trzy razy na miesiąc, jako pismo niepolityczne, a raz na miesiąc „Przegląd Cieszyński“, jako pismo polityczne.

Tak szczęśliwe ominięcie tej nowej ustawy prasowej udało mu się przedewszystkiem wskutek odezwy, wydanej 3. czerwca 1849. i listów, rozpisanych do przyjaciół na Śląsku i Galicyi, bo ci przyjaciele zjednywali mu prenumeratów*) i zasiliли datkami wyczerpaną kasę redakcyjną.

Skoro liczba odbiorców doszła do 300, przystąpił Stalmach do wznowienia wydawnictwa. Pierwszy numer „Przeglądu“, który obejmował wypadki polityczne od przerwy wydawnictwa „Tygodnika C.“ (31. marca 1849.), wyszedł 21. sierpnia, a pierwszy numer wznowionego „Tygodnika C.“ 1. września 1849.

„Pierwszy numer „Tygodnika“, wspomina Stalmach,**) „zacząłem od abecadła. Z przyczyny, że część czytelników oświadczała się, iż nie zna liter łacińskich, podałem więc porównanie tychże liter ze szwabaskimi, używanymi w druku polskim, czeskim i niemieckim, aby prościejszy lud mógł się z niemi oswoić.“

Nadmienić tu wypada, że skoro dr. Klucki spostrzegł, iż Stalmachowi udało się ominąć ustawę prasową, chciał znowu przystąpić do spółki wydawniczej, ale gdy Stalmach mu oświadczył, że musi na nowo przyjąć część administracyjną, rzekł się współwydawnictwa.

c) Projekt założenia Towarzystwa gospodarczego.

Po założeniu „Czytelnii Polskiej“ i „Biblioteki polskiej dla ludu kraju Cieszyńskiego“

Wspomnieć tu wypada, że część odbiorców po zawieszeniu „Tygodnika C.“ odpadła, a więc zmalała jeszcze więcej już i tak mała liczba przedpłacicieli.

**) Pamiętnik.

myślał Stalmach o założeniu Towarzystwa gospodarczego. Poznał on bowiem, jak ważnem i jak potrzebnem jest zszeregowanie się rolników polskich na Śląsku i dlatego w 5. numerze „Tygodnika C.” z dnia 6. października 1849. napisał obszerny artykuł, nawołując rolników do założenia polskiego towarzystwa gospodarczego. Głos jego był na razie głosem wołającego na puszczy.

Natomiast Niemcy pochwycili tę myśl i założyli w Cieszynie w marcu 1850. „Towarzystwo gospodarcze”. Towarzystwo to było obliczone tylko na większych gospodarzy z powodu wysokiego wstępnego i wielkich wkładek, dzięki czemu nie zgrupowało koło siebie naszych siedlaków. Lepiej obmyślił całą sprawę namiestnik Śląska Kalchberg, zawiązując „Towarzystwo gospodarcze dla całego Śląska austr.” z siedzibą w Opawie; on bowiem uwolnił mniejszych gospodarzy od wstępnego, a wkładkę miesięczną zniżył na 6 kr. (12 hal.). Ale i to towarzystwo, pomimo tego, że miało takie widoki powodzenia, zamarło po krótkim czasie.

Dzięki tej okoliczności mogli Polacy śląscy założyć „Towarzystwo rolnicze” jeszcze w roku 1869., o czem później wspomniemy; dodać tu wypada, że już w roku 1862. poczynili pewne kroki w celu założenia tego towarzystwa, ale nie uzyskali pozwolenia; widocznie rząd, widząc, że niemieckie towarzystwo rolnicze nie może się utrzymać, nie życzył sobie, by powstało na jego miejscu polskie towarzystwo i dlatego tak długo zwlekał.

Jak już wspomnieliśmy, to pracę redaktorską Stalmacha utrudniały wielce wyłaniające się właśnie wyznaniowe. Na powstanie tych waśni wpłynęło dużo przyczyn, a do spotęgowania ich przyczynił się profesor ewangelickiego gimnazjum cieszyńskiego, Kajzar. On po zaprzestaniu wydawnictwa „Nowin”, a właściwie już od roku 1848., zaczął wydawać „Krótką historię kościoła wiary ewangelickiej w księstwie Cieszyńskim”, w której obrażał pod wielu względami uczucia religijne katolików tak bardzo, iż nawet sami ewangelicy oburzali się, a jeden z nich Andrzej Kotuła dał mu ciętą odprawę w „Tygodniku Cieszyńskim”.

Od tego czasu pojawiały się artykuły w zagranicznych pismach, nie zawsze bez docinków dla katolików i pełne skarg na rzekomy ucisk ewangelików ze strony katolickiej na Śląsku, jak n. p. artykuły pastora Winklera w czasopismach morawskich; na te artykuły odpowiedział rzeczowo i spokojnie Alojzy Eisenberg.

I Stalmach sam musiał prostować dużo zdań nieprawdziwych w prasie pozaśląskiej i pisywać dużo artykułów do pism polskich, czeskich i chorwackich, by usunąć ich błędne poglądy na sprawy śląskie i zaznajomić ich z właściwym stanem stosunków śląskich.

Austria, jak długo była słabą, liczyła się z żądaniami ludów, ale kiedy się wzmocniła i poznała, że jej już żadne niebezpieczeństwo nie grozi, chciała być znowu wyłącznie nie-

miecką. — I Śląsk odczuł wówczas jej opieką rękę.

Już w roku 1851. (3. listopada) wyszło rozporządzenie ministeryjne (nr. 13, 470), mocą którego wyłączono język polski i czeski z urzędowania, zmuszając lud załatwiać sprawy jedynie w języku niemieckim, niezrozumiałym dla niego, a więc cofnięto niedawne rozporządzenie co do używania także języka polskiego i czeskiego w urzędach śląskich. Nastąpił większy ucisk narodowości niż był przed rokiem 1848. W Cieszynie n. p. niejeden urzędniczek pocztowy cofał listy i gazety z adresami polskimi, pozwalając sobie przy tem jeszcze na obelżywe słowa.

Ale już przed tem rozporządzeniem (z dnia 3. listopada 1851.) działy się podobne nadużycia. Tak n. p. dr. Klucki, opierając się na swobodach nadanych konstytucją, zaczął skargi i inne pisma urzędowe pisywać po polsku, a sąd obwodowy w Cieszynie zwrócił mu je z orzeczeniem, że nie uznaje języka polskiego jako języka krajowego na Śląsku; gdy zaś dr. Klucki apelował, przedstawiono go jako osobę niebezpieczną. Prezydentem sądu obwodowego w Cieszynie był wówczas Lipka, Cieszynianin, który, by nie dopuścić do urzędów języka polskiego, próbował wynaleść jakiś dziwaczny język „śląski“.*)

*) Z tego widać, że dzisiejsi Ślązacy nic nowego nie wymyślili, ale przeżywają na nowo dawno już strawione pomysły; może oni zamiannją tego Lipkę swym członkiem honorowym?

Ale i w szkołach nie było lepiej. Jak już wspomnieliśmy, wyszło rozporządzenie ministeryjne, by obok języka niemieckiego uczyć jednego języka krajowego, jako przedmiotu obowiązkowego; rozporządzenie to jednak pozostało tylko rozporządzeniem, a władze szkolne postępowały sobie dowolnie. Tak w gimnazjum katolickiem w Cieszynie pozostał nadal język polski i czeski jako przedmiot nadobowiązkowy, a w gimnazjum ewangelickiem ograniczono język polski, podając na powód, że Ślązacy radzi się uczyć po niemiecku. Szkoły miejskie zatrzymały nadal tylko język niemiecki, a szkoły wiejskie, co należy podnieść, wprowadziły w miejsce dotychczas używanej czeszczyzny język polski,*) w czem, jak wspomina Stalmach, było duchowieństwo katolickie bardzo pomocne. „Najgorliwiej,“ mówi on w pamiętniku, „duchowieństwo katolickie rozszerzało polszczyznę w szkołach zamiast używanej dotąd czeszczyzny, boć polski język ułatwiał koniecznie naukę ludowi po polsku mówiącemu.**) Również i ewangelicy pastrowie mimo sympatyj niemieckich zgadzali się na wyrugowanie resztek czeszczyzny na korzyść języka polskiego w szkołach ewangelickich.“

Nadmienić tu wypada, że języka czeskiego w katolickiem gimnazjum uczył dr. Józef

*) Z wyjątkiem okręgu frydeckiego i niektórych gmin we Fryszackiem, które zatrzymały język czeski.

**) W świetle prawdy (str. 3.) wspomina Stalmach, że już przed rokiem 1848 w kilku szkołach zaprowadzili księża katolicy naukę polską.

Fischer, który pobłażał uczniom czeskim i wstawiał się za nimi tak, iż dużo polskich uczniów, przede wszystkim leniwych, pozyskał dla czeszczyzny. Takie postępowanie dra Fischera wytknął Stalmach w „Gwiazdce C.” w r. 1851., wskutek czego zrobił sobie z niego nieprzejednanego wroga. Ten sam dr. Fischer objął później z powodu braku sił profesorskich i naukę języka polskiego, co bardzo źle oddziaływało na uczniów, bo się nawet dobrze czytać i pisać po polsku nie nauczyli. I to był jeden z powodów, że liczba Polaków w katolickim gimnazjum malała z roku na rok.

Jeszcze wówczas marzył Stalmach o profesurze w Cieszynie. Przygotowywał się wciąż skrętnie, a gdy przybył do Cieszyna inspektor szkolny Wilhelm, zgłosił się do niego, ale otrzymał odpowiedź, że wtedy może liczyć na posadę profesorską: „jeżeli polityczne zachowanie jego jest odpowiednie“.*) Widać uznał inspektor pracę polityczną Stalmacha za nieodpowiednie zachowanie, bo posadę profesora otrzymał inny. I wtedy Stalmach postanowił nie ubiegać się więcej o żadną posadę i poświęcić się jedynie pracy piśmienniczej, pracy nad oświatą ludu.

Pomimo tego zawodu mógł Stalmach odetchnąć wolniej, zwłaszcza że w pracy redaktorskiej pomagał mu zacny ks. Eugeniusz Janota, profesor gimnazjum w Cieszynie, a groszem wspierali go w ostatniej potrzebie przyjaciele

*) Pamiętnik.

ludu śląskiego, jak n. p. ksiązę Jerzy Lubomirski, dr. Szymon Wróblewski i inni. Ale taki stan rzeczy nie trwał długo.

d) Powstanie „Gwiazdki Cieszyńskiej“.

W Galicyi był w roku 1851. stan obłączenia. Razem z innymi dziennikami został i „Tygodnik C.” zawieszony na nieograniczony czas, a później i zupełnie zakazany. Wtedy Stalmach, by ominąć zakaz, zmienił nazwę „Tygodnika C.” na „Gwiazdkę Cieszyńską“. Ostatni numer „Tygodnika C.” wyszedł 8. lutego 1851., a pierwszy numer „Gwiazdki C.” 1. marca.*)

We Lwowie pomyłono się, bo myślano, że „Tygodnik C.” jest pismem politycznym, a „Przegląd polityczny“ pismem niepolitycznym, a gdy zauważono pomyłkę, zakazano i „Przegląd polityczny“; ostatni numer tego pisma wyszedł 28. czerwca 1851. I tu Stalmach, by znów ominąć zakaz, zmienił nazwę „Przeglądu politycznego“ na „Miesięcznik Cieszyński“. Pierwszy numer tego nowego pisma wyszedł 26. lipca 1851.

Ale rządowi nie podobало się, że Stalmach omija tak zręcznie wszystkie ustawy i zakazy, więc czyhał tylko na sposobność, by go móżdż zaczepić, a o sposobność nie było trudno, bo nieprzyjaciele „Gwiazdki C.” zwracali bacznie oko na wszystko i lada drobnostkę donosili rządowi. Opierając się na tych donosach, zastosował rząd w marcu 1852. roku ostrzeżenie

*) „Gwiazdka C.” została od nowego roku 1852. zwiększona i wychodziła w objętości jednego arkusza, zamiast dawnego półarkusza.

do Stalmacha, które dla charakterystyczności całe przytaczamy: „Ponieważ „Gwiazdka Cieszyńska” do narodowego separatyzmu (odrębności) dąży, a zatem z utrzymaniem publicznego pokoju i porządku niezgodny kierunek stale zachowuje i częścią historycznymi wspomnieniami, częścią artykułami panslawistycznej (wszechsłowiańskiej) treści, jak to w nr. 2. „Jeden słowiański język”, w nr. 6. „Jan Kolar” i innemi jawnie dąży do wywołania nienawiści i poróżnień między ludnością rozmaitego narzecza, jak też ogólnie rozumowaniami swemi, jak je w artykułach „O poznaniu siebie samego” podaje, do wprowadzenia w błąd usposobienia nieoświeconych; daje się redakcyi ostrzeżenie, by dotychczasową tendencję opuściła, inaczej postąpimy według surowości prawa.“*) Opawa dnia 5. marca 1852 r. Kalchberg.

To ostrzeżenie musiał ogłosić w „Gwiazdce C.” z dnia 1. kwietnia 1852. i to dało powód, że już tak mała liczba odbiorców zmalała jeszcze więcej, bo bojaźliwsi wstrzymali przedpłatę, uważając to ostrzeżenie za zakaz czytania „Gwiazdki C.”. To spowodowało Stalmacha do drugiej dłuższej przerwy w wydawnictwie, bo na dziesięć miesięcy. „Gwiazdka C.” przestała wychodzić w połowie kwietnia, a „Miesięcznik C.” od 29. maja 1852.

„Brak głębszego poczucia narodowego,” skarży się Stalmach,**) „i brak chęci do oświaty

*) Pamiętnik.

**) Pamiętnik.

u ludu śląskiego, które dopiero trzeba było wzniecać, przyczyniły się do tego.“

Ale te ciosy, zamiast osłabić Stalmacha, zahartowały go i zesiliły; postanowił więc iść naprzód przebojem. „Rozpisałem znowu listy,” wspomina on w pamiętniku, „i uzyskałem poparcie od przyjaciół sprawy narodowej. Oprócz innych, którzy zebraniem nowej przedpłaty dopomogli, z wdzięcznością wymieniam także księcia Jerzego Lubomirskiego, który dwa razy ofiarował mi po 50 złr.“

Przerwa w wydawnictwie przedłużyła się jeszcze z powodu nowego prawa drukowego, według którego musiał Stalmach prosić na nowo o pozwolenie dalszego wydawnictwa, jak na nowe pismo. I wreszcie po tylu kłopotach wyszedł po przerwie pierwszy numer „Gwiazdki C.” dopiero 5. marca 1853. i odtąd wychodzi ona bez przerwy aż do dnia dzisiejszego jako pismo polityczne. Dodać tu należy, że Stalmach podczas tej przerwy zebrał tyle pieniędzy, że zapłacił kaucyę wymaganą od pism politycznych.

Wśród tych trudności w wydawnictwie doznawał Stalmach jeszcze nagabywań od tych ludzi, od których się najmniej tego było można spodziewać. Tak n. p. Andrzej Cienciąła po ukończeniu nauk*) w Krakowie, zaczął go, jakim prawem odważył się sam podjąć się redakcyi. Na to odpowiedział słusznie Stalmach w „Gwiazdce”: „Kiedy pierwotny wydawca

*) Wakacje podczas nauk uniwersyteckich przepędzał Andrzej Cienciąła w domu Stalmacha.

„Tygodnika“ dr. Klucki odstąpił i odmówił czynnego współnictwa, prawo przysługiwało temu, kto czuł w sobie siłę i ochotę.“ Prawo do redakcji dawała mu także praca, jaką włożył w to pismo od samego początku wydawnictwa. Dalej zaczepiano także Stalmacha, dlaczego prowadzi redakcję bez okazałości, dlaczego nie ma osobnej kancelaryi, dlaczego nie wywiesza szyldu i t. d. I czy nie były to kpiny, albo raczej złe zamiary i chęć szkodenia „Gwiazdce C.“? Stalmach, który wciąż walczył z biedą, który musiał sobie od ust odejmować, by móżdż wydawać „Gwiazdkę C.“, który często, że tak powiemy, „zabrał“ na tę „Gwiazdkę C.“, on miał prowadzić wszystko okazale, by się zadłużył i tak zniszczył samego siebie i utracił „Gwiazdkę C.“. — Czy nie ta może była myśl tych „doradców“? — Ż zaślepnął dodaje Stalmach, że te docinki, pochodzące od „narodowców“ bardziej go bolały i więcej sprawiały mu trudności, aniżeli wszystkie ustawy prasowe i zakazy.

e) Stalmach jako organizator przedstawień amatorskich.

W czasie tej dłuższej przerwy w wydawnictwie „Gwiazdki C.“ nie siedział Stalmach z założonemi rękoma, ale zajął się urządzaniem przedstawień amatorskich, bo wiedział, jak wielki wpływ wywiera teatr amatorski na oświatę i uświadczenie narodowe. Pierwsze takie przedstawienie odbyło się 20. grudnia 1852. *) odegrano: „Chłopów arystokratów“

*) Było to pierwsze przedstawienie polskie w Cieszyńcu.

Anczyca. „Na wiadomość.“ pisze Stalmach w pamiętniku, „że będzie polski teatr, przyjeżdżali nawet włościanie z okolic o parę mil odległych i sala była jak napchana, a amatorowie odbierali oklaski niesłychane.“

Na życzenie dra Kluckiego odgrywano równocześnie polskie i niemieckie sztuczki w sali redutowej; ale niemieccy amatorowie nie wywiązywali się tak dobrze ze swych ról i nie otrzymywali takiego poklasku jak polscy i stąd powstały różne nieporozumienia i zwady. Dr. Klucki, chcąc przejednać amatorów niemieckich, zapraszał ich po przedstawieniach do siebie, a Stalmach, by nie zniechęcić polskich amatorów, zapraszał ich do hotelu i tam ich ugaszczał. Ale gdy się wyczerpała jego prywatna kieszeń, osłabł zapał i ochota i ustały te tak pożyteczne i budzące życie narodowe przedstawienia amatorskie. *) Stalmach pełnił na tych przedstawieniach rolę „suflera“, a równocześnie i „reżysera“.

Oprócz teatrów amatorskich zajmował się jeszcze Stalmach w owym czasie ułożeniem polskiego kancynału dla ewangelików. Wprawdzie wybrano komitet, ale cała praca spoczywała jedynie na Stalmachu, bo członkowie komitetu przychodzili na zgromadzenia, by tylko krytykować, ale nie by pracować; dopiero pastor Jerzy Heczko zabrał się razem z Stalmachem do pracy i ukończyli ją w roku 1865.; w tym

*) Dziś dzięki Bogu, nastały lepsze czasy na Śląsku, bo już prawie każda wioska, nawet ta najmniejsza, może się poszczycić swojskim teatrem amatorskim.

roku bowiem wyszedł ten kancjonał polski. — Tu należy wspomnieć, że polski kancjonał katolicki wyszedł już w r. 1857., chociaż pracą wydawniczą zajmował się prawie sam ks. Antoni Janusz.*)

4. Praca Stalmacha wobec zmiany w stosunkach społecznych, narodowych i wyznaniowych.

W tych latach zaczęły się bardzo psuć stosunki polskie w Cieszynie. Do gimnazjów sprowadzano na profesorów rodowitych Niemców, którzy nie umieli ani słówka po polsku. Dawni profesorowie, którzy umieli choć trochę już po polsku, już też po czesku, pomagali uczniom w tych językach zrozumienie niemieckiej nauki, zwłaszcza tym, którzy przychodzili ze wsi, ale profesorowie Niemcy nie dbali o tę młodzież wiejską, a młodzież zniechęcała się i nie kończyła gimnazjum albo uważała się za Niemców, co profesorom wystarczało, chociaż robili bardzo małe postępy; za to musieli się później Niemcom wysługiwać. I stąd pochodzi, że urzędnicy nasi są tak zażartymi germanizatorami, choć pochodzą z naszego ludu.

Tak przepadała dla nas młodzież kształcąca się, a za nią poszło później i mieszczaństwo cieszyńskie. To mieszczaństwo zniechęcało się do Polaków, a z czasem przechodziło do

*) W tłumaczeniu pieśni był mu pomocny Karol Miarka, późniejszy działacz górnośląski, który wówczas był nauczycielem w Pielgrzymowicach.

Niemców; winę tego ponoszą po części śląscy Polacy, o czym później wspomniemy, a po części także Polacy z Galicji, którzy Ślązaków nie chcieli uznać za Polaków, co nawet głośno pomiędzy Niemcami głosili. Podówczas bowiem nie było jeszcze kolei, więc Polacy przejeżdżali w podróży przez Cieszyn, bo przez Cieszyn prowadziła szosa (bity gościniec) z Galicji. I tu w Cieszynie zatrzymywali się zazwyczaj w hotelu pod Jeleniem. „Raz,” wspomina Stalmach,*) „w tym hotelu politykowało się przy piwie i Niemcy, jak zwykle, po swojemu utrzymywali, że lud śląski nie mówi po polsku. Dowodziłem przeciwnie, że dyalekt śląski jest najlepszym dyalektem (narzeczem) polskim, dodając, że i w Niemczech lud nigdzie nie mówi czystym książkowym językiem niemieckim; a na to pewien obecny szlachcic od Nowego Sącza odezwie się: „Na Śląsku nie są Polacy.” „Rozumie się,” dodaje dalej Stalmach, „przez takiego Polaka byłem wobec Niemców formalnie zbity.” A co najważniejsza: „Niemcy potrafili z tego wypadku jeszcze i w późniejszych czasach korzystać.”

Stosunki cieszyńskie zmieniły się jeszcze raz, wprawdzie na czas krótki, na naszą korzyść, a mianowicie w czasie reakcji rządowej w Austrii, bo mieszczaństwo zamiast polityki zajmowało się zabawą, w której rej wodzili Polacy. „Już to Cieszyn,” opowiada Stalmach o tych czasach,**) „z dawna słynął, że w nim dobrze

*) Pamiętnik.

**) Pamiętnik.

się bawia i cieszą i daleko nie było równego mu pod tym względem miasta. Tak n. p. w karnawale odbywały się regularnie tygodniowo tak zwane kasynowe bale, niby arystokratyczne, chociaż już dawniejszej arystokracji czyli szlachty nie było i bale cechowe, bo każdy cech chciał się pokazać; oprócz tych bywały pikniki, bale oficerskie i maskowe; przypadało więc po 2, 3 i więcej publicznych balów na każdy tydzień, a na każdym znajdowało się zwykle po kilka set osób; do tego dodać jeszcze trzeba domowe bale i zabawy.

„Jakż dziś,” dodaje słusznie Stalmach, „pod tym względem różnica w Cieszynie, chociaż ludności jego raz tyle przybyło. Ledwo zdarzają się 3—4 bale porządniejsze i na nich znajduje się po kilkadziesiąt osób: młodzież wczesnie żyć zaczynająca jak starcy przygląda się ospale, a panny nudzą się. Przyczyną tego zapewne jest zbytek; ojciec chcąc wyprowadzić jedną lub dwie córki z matką na bal, który można nazwać targiem na panny, musi ofiarować ćwierćroczną lub półroczną pensję, aby się wykwinnie ubrały i to każdym razem w innej szacie, kiedy dawniej panienka w jednej sukience muszlinowej na cały czas karnawałowy sprawionej zawsze przystojną była. Ludzie pragną zabawy niedziwota, a z powodu zbytku nie mogą jej używać. Może też przyczyną tej zmiany jest, że wówczas Cieszyn był jeszcze przeważnie polski, a polska natura, jak wogóle słowiańska, skłonniejszą i ochotniejszą jest do zabawy.”

Oprócz zabaw zajmowali się mieszczanie, a później także i na wsi, zjawiskami „duchowniczymi” (spirytystycznymi) jak n. p. skakaniem i pukaniem stołów, rozmowa z duchami, jak to podówczas było w całej Europie w modzie.

„Gwiazdka C.” doznawała wciąż nowych szyszan i napaści, jeśli nie ze strony rządu, to ze strony pastorów, a nawet ze strony narodowców. Wiele więc trudności musiał przechodzić Stalmach, jako jej redaktor, zwłaszcza że pastrowie, którzy nie życzyli sobie równouprawnienia narodowości, głosili ludowi, że „ewangelicka wiara jest niemiecka, dlatego musimy iść z Niemcami.”*) Stalmach starał się im dowieść, że Luter, zaprowadzając w swym kościele język niemiecki, nie myślał, żeby wszystkie narody, które przyjmą jego wyznanie, miały porzucić swą narodowość i stać się Niemcami; ale to nic nie skutkowało. Pastrowie zaczęli bowiem występować otwarcie przeciw „Gwiazdce C.” i przeciwko Stalmachowi i podburzać lud ewangelicki.

„Wśród takich okoliczności,” pisze Stalmach w pamiętniku, „Gwiazdka Cieszyńska” musiała się opierać coraz więcej na katolickich czytelnikach, zwłaszcza że pastrowie dążność narodową tego pisma ogłaszali za katolicką, bo wyznaniowej przyczyny nie znajdowali, iż takowej unikałem.”

Praca więc Stalmacha, jako redaktora „Gwiazdki C.”, natrafiała na trudności ze trzech stron; z jednej strony sprawa wyznaniowa

*) Pamiętnik.

utrudniała rozwój i skuteczne działanie „Gwiazdki C.“, czyniąc, jak już wspomnieliśmy, ludność ewangelicką obojętną dla tego pisma, z drugiej strony brak uświadomienia narodowego u ludności śląskiej, która dopiero zaczęła się narodowo wyrabiać, a wreszcie z trzeciej strony niektóre jednostki, zazdroszczące Stalmachowi powodzenia, a nawet jego mołzolnej pracy, tamowały postęp narodowy na Śląsku. „Wobec takich,“ pisze Stalmach,*) „nie śmiałem nawet wyznać trudności w walce o utrzymaniu „Gwiazdki Cieszyńskiej“, bo poskarżenie szkodziłoby jeszcze więcej; zatajanie zaś tych trudności i kłopotów moich uważano za dowód dobrego powodzenia, budzącego tem większą zazdrość; ale to ostatnie mniej mi szkodziło, bo znajdowali się powoli szczerzy i wyrozumiali przyjaciele mego usiłowania.“

Z tych przyjaciół wspomina Stalmach z wdzięcznością dra Wróblewskiego i profesora Brodowskiego, „ale pukając do innych dowiadywałem się następnie o ich wymówkach, że to sprawa luterska“. — Na Śląsku więc głosili pastorowie, że „Gwiazdka C.“ jest katolicką, a w Galicyi katolicy, że jest „luterską“.

Ks. Chelmecki, który sprzyjał Stalmachowi i cenił wysoko jego pracę, poradził mu, by się nie zdradzał z tem, że jest ewangelikiem; za jego też poparciem zyskała „Gwiazdka C.“ wiele zwolenników między młodzieżą akademicką, jak n. p. Antoniego Bałuckiego, Mieczysława hr. Dzieduszyckiego, Wład. hr. Koziębrod-

*) Pamiętnik.

kiego, Brunona Miczyńskiego i innych, którzy zasilali ją artykułami i jednali jej odbiorców.)*

Najwięcej jednak dla podniesienia „Gwiazdki C.“ zdziałali ks. Józef Pukalski, biskup tarnowski, rodem z Cieszyna, który ją polecił swemu duchowieństwu i ks. biskup sufragan Bogedain, który, choć Niemiec z pochodzenia, również polecił „Gwiazdkę C.“ duchowieństwu górnośląskiemu; dodać tu wypada, że nawet arcybiskup poznański, ks. Przyłuski, wyrażał się o „Gwiazdce C.“ pochlebnie, co przyczyniło się wielce do jej rozszerzenia.

A więc Stalmach mógł chwilowo wolniej odetchnąć, bo w pracy redaktorskiej pomagali mu akademicy krakowscy, a staraniem niektórych szlachełnych osób rozszerzała się „Gwiazdka C.“ nader pomyślnie, wskutek czego poprawił się i jego byt materyalny.

5. Małżeństwo Stalmacha.

W tym czasie, t. j. w roku 1854., zaszedł ważny wypadek w życiu Stalmacha; ożenił się bowiem z wdową, katoliczką, która wniósła mu w posagu troje dzieci. — Przy tej sposobności nie będzie od rzeczy wspomnieć chociaż pobieżnie o pierwszych jego miłościach, zwłaszcza,

*) Wtedy to potworzyły się kółka wśród młodzieży gimnazyalnej w Krakowie, które w celach rozszerzania „Gwiazdki C.“ zamawiały ją po kilka egzemplarzy i rozrzucały między lud; tak więc zwiększała się powoli liczba odbiorców, a Stalmach dzięki skwapliwości młodzieży uniwersyteckiej miał wolniejsze ręce i mógł się zająć inną pracą.

że one wywierają wielki wpływ nieraz na całe życie człowieka.

Oto co sam Stalmach*) pisze o swej pierwszej miłości: „Miałem pierwsze kazanie**) w Ligołce. Przybywszy tam w sobotę po południu tylko chwilkami z wieczora tegoż dnia i potem z rana sam pastor Jerzy Philipek wdawał się ze mną w rozmowę; bo chociaż byłem należycie przygotowany na wypowiedzenie kazania, myśl o ważności takiego zadania jedynie mię zajmowała; zresztą każdy początkujący kaznodzieja doznaje podobnego uczucia. Po odbytem kazaniu przy obiedzie pastor powiedział mi pochlebstwo, po obiedzie zaś pastor miał jeszcze czynności z ludźmi, a pastorkowa poszła do swego gospodarstwa. Wyszedłem więc do ogrodu, zajęty jeszcze swemi myślami; za mną przyszła starsza córka z nakazu matki, abym sam nie był; rozmawialiśmy tedy o różnych poważnych rzeczach; pod wieczór nastąpiła przechadzka z całą familią i nazajutrz pożegnałem się. Wkrótce potem otrzymałem pozdrowienia, które podczas dalszych nauk w Wiedniu zamieniły się w korespondencję. Po roku, powróciwszy do Cieszyna, nie odważyłem się na śpieszne odwiedziny, gdy w krótkim czasie i niespodzianie nadeszła smutna wiadomość, że zacna córka pastora umarła.“ — „Zebrało się nas kilku młodych ludzi w Cieszynie, aby zmarłą

*) Pamiętnik.

**) Trzeba nie zapominać, że Stalmach ukończył nauki pastorskie we Wiedniu.

wynieść na cmentarz. Przybywszy tam, koledzy weszli naprzód i pastor zasmucony witał każdego; za nimi wszedłem ostatni, a pastor ujrzawszy mnie, głośno wyrzekł: twoje imię było jej ostatnie słowo; poczem z lamentem przechylił się tyłem na stół, w środku izby stojący. Trudno zapomnieć doznanego w takiej chwili wrażenia.“

„Po pogrzebie mężka młodzież z pannami bawiliśmy się w ogrodzie; panny zaczępiły mnie, że jednak do tego domu powinienem znowu przychodzić i młodsza pastorkówna dodała: pan musisz do nas często przybywać.“ — „Tak przez jakieś współczucie przeniosły się sentymenty serca do młodszej córki i bywałem często u jej rodziców. Ale mijały lata, pastorstwo snadź rozumieli, że u mnie nie ma widoków i przyjmowali innych konkurentów; zerwałem więc stanowczo odwiedziny.“

„Były inne panny ewangeliczki,“ pisze dalej, „i byłem u nich dobrze widziany, bo z niektórymi byłem cztery razy za drużbę na różnych weselach, ale ich niemieckie usposobienie wstrzymywało mnie od nich; stręczono mi i z miasta panny majątne, lecz serce nie lgnęło do nich. Wybór trafił na wdowę z trojgiem dzieci, katoliczkę i ubogą.“

Pastor Philipek jeszcze wtedy, kiedy Stalmach postanowił się już napewno ożenić z wdową, przychodził kilka razy do Stalmacha, by z nim w jakichś ważnych sprawach pomóc, ale Stalmach zawsze tak robił, że go pastor w domu nie zastał.

„Ożeniłem się,” wspomina Stalmach pod koniec życia,*) „i myśleli ludzie że bogato: atoli starsze rodzeństwo pokrzywdziło ją (t. j. wdowę, z którą się ożenił) i jej dzieci zupełnie w majątku... Miałem tylko radość, że przyjęte dzieci mogę po polsku uczyć i wychowywać i to zadowolenie, że żona, w trudnych usiłowaniach narodowych szczerze chęci moje podzielać, stała się mi wierną towarzyszką w doli i niedoli. Utwierdziło się też we mnie przekonanie, że z żoną ewangeliczką trudniej byłoby mi opierać się prądowi niemieckiemu ze strony ewangelickiej, żądającej tylko usług dla swej wyznaniowości; nie byłbym w stanie pracować wyłącznie dla narodowości, bez względu na wyznania i „Gwiazdka Cieszyńska” byłaby się stała niemożliwą.“

Jak więc widzimy, to ożenienie się wpłynęło rozstrzygająco na jego dalsze życie i związało go ściśle ze sprawą narodową.

IV. Dalsza działalność Stalmacha na polu towarzyskiem, społecznym, dziennikarskiem, politycznym, ekonomicznym i oświatowym.

1. Wydawnictwo kalendarzy.

Dalszą pracą nad szerzeniem oświaty wśród ludu śląskiego było oprócz wydawnictwa „Gwiazdki C.”, wydawanie kalendarzy ludowych; i tej pracy podjął się Stalmach.

*) Pamiętnik.

Kiedy bowiem spostrzegł, iż morawskie kalendarze nie odpowiadają i nie zadowalniają naszego ludu, a galicyjskie są dla niego za drogie, zaczął od roku 1856. wydawać, nakładem Prochaski: „Kalendarz Cieszyński” — dla naszego ludu, a dla ludu galicyjskiego: „Kalendarz Polski“.*)

Gdy w roku 1859. ogłoszono we Lwowie konkurs na ułożenie gramatyki polskiej, podjął się i Stalmach tej pracy, mimo to, że już i tak musiał całymi nocami przesiadywać; nagrody jednak nie otrzymał — otrzymał ją dr. Antoni Małecki — ale trzeba podnieść, że jego wypracowanie o „słowie” i „składni” spotkało uznanie.

Zwykłem oszczerstwem i krzywdą nie do darowania jest zarzut, że Stalmach pracował i troszczył się wyłącznie o ludność katolicką, zaniedbując ludność ewangelicką. On pracował na równi dla obu wyznań i starał się je zawsze prowadzić razem w sprawach politycznych; ale niektóre jednostki, jak to później wykazemy, chcieli, by on tylko pracował dla jednego

*) Nie będzie od rzeczy wspomnieć tutaj krótko o ówczesnem piśmiennictwie polskiem na Śląsku. Oprócz wychodzącej „Gwiazdki C.” i rozpoczętego wydawnictwa „Kalendarza Cieszyńskiego” wyszedł jeszcze: „Elementarz Polski” i „Piosenki dla dzieci”, wspomnianego już nauczyciela Jana Śliwki, dalej wiersze polskie ks. Antoniego Monczki i pastora Karola Kotschego, umieszczane w „Gwiazdce C.” i to prawie wszystko; ale młodszy, jak n. p. ks. Jan Żmijka i ks. Paweł Matuszyński, brali się do pióra i zamierzali założyć nawet: stowarzyszenie religijno-narodowo-literackie, lecz to nie doszło do skutku.

wyznania, a gdy tego nie chciał uczynić, zarzucały mu, że pracuje na szkodę własnego wyznania. Ze Stalmach troszczył się także i to nawet w większej mierze o ludność wyznania ewangelickiego, poświadczy choćby ten przykład, że postarał się dla tej ludności o „pismo w duchu wyznania kościoła ewangelickiego“, polecając jej: „Prawdziwego Ewangelika Polskiego“, wychodzącego od r. 1859. w Jansborku na Mazurach, a gdy poznał, że to pismo nie odpowiada celowi, że wywiera zły wpływ i sieje nienawiść do narodu polskiego, wystąpił przeciw niemu w „Gwiazdce C.“ i sprawił, iż utraciło wszystkich odbiorców ze Śląska i wkrótce upadło. A więc czy nie troszczył się o swe wyznanie?

2. Przestroga Stalmacha przed emigracją ze Śląska do Ameryki i innych krajów.

Przedewszystkiem oddał Stalmach ogromne usługi tak ludności katolickiej, jak też i ewangelickiej, przestrzegając ją przed masową emigracją do Ameryki, bo wiedział, że na jej miejsce przysliby na Śląsk Niemcy i Czesi, jak to było na Górnym Śląsku i w Poznańskiem; dzięki jemu przynajmniej nasze wioski pozostały polskie. On nawet przestrzegał lud nasz przed zarobkową emigracją do sąsiedniej Galicji i Królestwa, wiedząc, jak złe skutki ona za sobą pociąga.

Już bardzo wcześniej, bo przed rokiem 1880. otrzymywał on mnóstwo listów od ma-

gnatów polskich z żądaniem dostarczenia robotników śląskich, ale on nie ogłaszał tych listów, bo był przeciw wszelkiej emigracji, a do Galicji i Królestwa odpisywał: „Że każdy lepszy pozostaje w miejscu rodzinnem, znajdując tu utrzymanie, a gorszych nie może polecić.“*) Nie chciał poruszać wychodźstwa do Galicji i Królestwa, bo ono mogłoby pociągnąć za sobą i wychodźstwo do Ameryki. Tylko rzemieślników śląskich wysyłał on do Galicji i stąd pochodzi, że n. p. serkarstwo rozpowszechniło się w Galicji, prowadzone na sposób śląski.

3. Założenie „Kasyna“.

Po zniesieniu „Czytelnii Polskiej“ (1854.) troszczył się Stalmach o to, by znów powstało jakieś ognisko, gdzieby się mieszczanie, poczuwający się za Polaków, mogli zbierać; dzięki jego zabiegom powstało w roku 1856. „Kasyno“,**) wspólne dla obu narodowości. Wówczas nie było jeszcze takiej walki między Polakami i Niemcami, bo Niemcy to byli właściwie nasi ludzie i tylko szkoły zrobiły ich Niemcami, a później „Silesia“ i „Nordmarki“ zamieniły w szowinistów. „Wyjawszy nielicznych zapaleńców niemieckich, żyli Niemcy jeszcze zgodnie z Polakami; w towarzystwach mieszanych jeszcze przeważała polska rozmowa i polska piosenka.“***)

*) Pamiętnik.

**) Od redakcji „Gwiazdki C.“ otrzymywało ono nie które dzienniki i powoli zastępywało ono to, co utracono przez zamknięcie „Czytelnii Polskiej“.

***) Pamiętnik.

Mieszczaństwo polskie bawiło się zgodnie z mieszczaństwem niemieckiem, bo jak już wspomnieliśmy, właśnie wówczas, w czasie reakcyi rządowej w Austrii, odwróciły się umysły ludzkie od polityki i zwróciły się ku zabawom i życiu towarzyskiemu, wskutek czego i budzące się już antagonizmy narodowe na chwilę przycichły.

Oto jak Stalmach opisuje w pamiętniku te wspólne zabawy mieszczaństwa cieszyńskiego: „Kilkadziesiąt zacniejszych rodzin mieszczańskich zmówiło się, tworząc kółko wspólne dla zabaw popołudniowych w niedzielę i święta. W tym celu wynajmowano łączkę w polskim lasku, urządzano huśtawkę dla dzieci i siedzenia dla starszych; obmyślano także gry gimnastyczne. Każda rodzina powinna była zawiadomić kasyera, czy lub w jakiej liczbie osób przyjdzie, a to dla sprowadzenia odpowiedniej ilości piwa; inny prowiant (zakąski) przynosiła każda rodzina z sobą i składała na stół, jak przy pikniku. Od pojawienia się pory wiosennej do późnej jesieni odbywały się te wycieczki świąteczne z miasta, a gdy słońce przeszkodziła, służył w mieście tak zwany wówczas „ogród pokojowy.“

„Któżby dziś uwierzył,“ wspomina Stalmach, „jak tanie były te zabawy wycieczkowe? Moja rodzina wyruszała zwykle w ilości 7—9 osób, a przy końcu roku otrzymałem od kasyera rachunek na 4—6 złr. za całe lato. Do tej taniości przyczyniało się jednak to, że

familie odkładały obchód swoich imienin na czas latowych tych wycieczek.“

Ale to wspólne, zgodne pożycie mieszczaństwa polsko-niemieckiego w Cieszynie trwało tylko do czasów przywrócenia konstytucyi w Austrii, do czasów wzbudzenia się życia politycznego i ruchu narodowego (około 1860.). Wtedy Stalmach był bardzo zajęty sprawami narodowymi i nie mógł zajmować się temi towarzystwami zabaw, wskutek czego upadały one, aż się w końcu rozwiązały. Kasyer, to wspólne ognisko, gdzie Polacy i Niemcy wspólnie spędzali chwile na czytaniu gazet, śpiewie polskich piosenek i pogadankach, zmieniło się w tych czasach w czytelnę niemiecką i odtąd w wyraźniejszych rysach zaczął występować podział mieszczaństwa cieszyńskiego na polskie i niemieckie.

Jeszcze w czasach zgodnego pożycia mieszczaństwa polskiego i niemieckiego marzył Stalmach o założeniu jakiejś instytucyi, jakiegoś zakładu, któryby skupiał to mieszczaństwo bez względu na jego poglądy polityczne, by tak usunąć, albo przynajmniej przeciągnąć grożący rozłam tego mieszczaństwa. Dlatego już w roku 1853. poruszał często w „Gwiazdce C.“ myśl założenia: Kasy- oszczędności; ale sprawa ta wlokła się długo, aż wreszcie w roku 1858. zatwierdzono jej ustawy, a dnia 1. maja 1859. r. nastąpiło uroczyste otwarcie. Ta kasa powstała głównie staraniem ówczesnego burmistrza dra Kluckiego i Stalmacha, który często za jej założeniem w „Gwiazdce C.“ przemawiał i tak

zyskiwał dla niej mieszczaństwo, bo prawie całe ówczesne mieszczaństwo czytywało „Gwiazdkę C.“*) Jest to dzisiejsza kasa miejska.

Z tych czasów należy wspomnieć dwie uroczystości, w których Stalmach brał czynny udział. W roku 1859. obchodził zbor ewangelicki w Cieszynie 150-letnią pamiątkę założenia swego kościoła, na którą to uroczystość zebrał Stalmach pieśni, odnoszące się do założenia tego kościoła. Rok później obchodził Cieszyn drugą uroczystość, a mianowicie pamiątkę 1050-letnią założenia miasta Cieszyna: uroczystość wypadła nader wspaniale, bo całe mieszczaństwo wzięło w niej udział. Pobudkę do obchodu tej pamiątki dał Stalmach przez rozprawkę Jury i Jonka. Wydano pamiętnik tej uroczystości, którego część polską stanowią wyjątki z „Gwiazdki C.“; ze składek uzbieranych powstał ten piękny pomnik, który do dziś dnia zdobi „bracką studnię“.

Oto co Stalmach**) pisze o tej uroczystości: „Uroczystość odbyła się 7. października. W willję tegoż dnia urządzono w sali ratuszowej przedstawienie wokalnie-muzykalne i deklamacyjne z żywymi obrazami, odnoszącymi się do tradycji (podań) o początku

*) W roku 1857. zaczął wprawdzie wychodzić w Bielsku: „Bielitzer Wochenblatt“, ale po kilku numerach zawieszono wydawnictwo, a „Silesia“ cieszyńska ukazała się dopiero w r. 1859. — 10 lat później od „Gwiazdki C.“ — więc mieszczaństwo cieszyńskie musiało przez tych 10 lat czytywać „Gwiazdkę C.“, bo nie miało żadnego niemieckiego pisma na Śląsku.

**) Pamiętnik.

miasta: poczem udał się pochód z pochodniami ku brackiej studni, przystrojonej zielenią i oświetlonej, gdzie znów po stosownej przemowie śpiewacy z muzyką rozochołali tłumy ludu. W sam dzień uroczystości, w niedzielę, na pobudkę odezwały się dzwony wszystkich kościołów, razem z wystrzałami moździerzy i trzy kapele rozweselały muzyką ulice miasta ozdobionego chorągwiami. Do uroczystości zastosowane też było następnie nabożeństwo w kościołach. W południe deputacya miejska z burmistrzem, dr. Kluckim na czele udała się na zamek i złożyła w ręce kameralnego dyrektora Kasperlika hołd dla J. C. W. Arcyksięcia Albrechta, który z powodu tej uroczystości kazał 1000 złr. złożyć na dom sierót. O godzinie 1. po południu trzy kapele i towarzystwo śpiewaków zebrały się na rynku, skąd wieloliczny pochód z chorągwiami, śpiewem i muzyką wyruszył do alei, gdzie przygotowaną była zabawa ludowa, składająca się z muzyki z tańcami, śpiewu i różnych gier. Na zakończenie ustanowiony bal rozpoczął się o godzinie 9. wieczór. Lubo w programie nie było oświetlenia miasta, na powszechne życzenie improwizowano je w ostatniej chwili....“

To dłuższe opowiadanie przytoczyliśmy, by wykazać, że wówczas mieszczaństwo cieszyńskie nie było jeszcze dla sprawy polskiej obojętne albo wprost wrogie, jak to dziś widzimy: usłuchało ono głosu Stalmacha, poruszonego w „Gwiazdce C.“, nie bacząc na to, że on pochodzi od Polaka: to dowód, że

można było to mieszczaństwo pozyskać dla naszej sprawy, czego jednak zaniedbali ówczesni narodowcy, jak to później wykazemy.

4. Losy „Gwiazdki Cieszyńskiej“ od r. 1861.

Dotychczas miał Stalmach ze strony władz spokój, ale około roku 1860. zaczęło się c. k. starostwo troskliwie opiekować „Gwiazdką C.“, a przytem i osobą Stalmacha z powodu ciętych rozpraw Jury i Jonka; ta opieka ograniczała się jednak wówczas jedynie do konfiskaty pozostałych numerów „Gwiazdki C.“ Najwięcej były prześladowane Jury i Jonki, układane przez kupca Karola Bernacika, który się później całkowicie zniemczył. To szczególne opiekowanie się władz „Gwiazdką C.“ nie tylko, że jej nie przyniosło szkody, ale przeciwnie podniosło jej znaczenie w kraju i za granicą.

„Gwiazdka C.“ bowiem rozszerzała się podówczas pomyślnie nie tylko w Cieszyńskim, ale także w Galicyi, na Górnym Śląsku i w Poznańskim, a nadto pojedyncze numera rozchodziły się i po innych słowiańskich krajach. Przedewszystkiem podniosło się i polepszyło stanowisko „Gwiazdki C.“ i jej redaktora w roku 1859., kiedy to Józef Ignacy Kraszewski wyrobił dla „Gwiazdki C.“ debit (pozwolenie zamawiania) w Królestwie Polskiem. By zyskać odbiorców dla „Gwiazdki C.“ polecił ją ten zacny pisarz w „Gazecie Warszawskiej“ w r. 1859., gdzie między innemi pisze: „W dalszych od nas ziemiach, pocziwa „Gwiazdka Cie-

szyńska“ świeci i służy na Śląsku bratnim, sama jedna, nie popierana przez nikogo i trwa, pielęgnując tam narodowość, którą kilku biednych ludzi wzięło się podtrzymywać z prawdziwym heroizmem. Z rozczuleniem i łzą w oku poglądać musimy na to pismo skromne, ciche, a tak wielkiego dla kraju znaczenia“... „całe pismo, przy szczupłych swych środkach, z zadziwiającą trafnością i troskliwością jest redagowane.“*)

To świadectwo, wydane „Gwiazdce C.“ i jej redaktorowi zbija fałsz, jaki pojawił się później w pismach warszawskich, „że wartość „Gwiazdki C.“ była przesadzoną i pismo to redagowane z małą zdolnością dziennikarską, a „Nowy czas“ (organ haasowski) jest pismem lepiej redagowanym.“**) Autor tych korespondencji chciał widocznie osłabić zasługi Stalmacha i „Gwiazdki C.“ dla sprawy narodowej na Śląsku.

5. Założenie „Czytelni Ludowej“ w r. 1861.

W roku 1860. przywrócono dyplomem cesarskim w krajach Austrii zawieszoną chwilowo konstytucję; zaraz też zaczęło się w całym państwie żywsze życie narodowe.

W ostatnich dniach grudnia tego roku odbyło się w Krakowie „zebranie obywateli gali-

*) Dzięki więc zabiegom tego sędziwego pisarza wzrosła liczba odbiorców „Gwiazdki C.“ w krótkim stosunkowo czasie o całe 400, a imię i cicha praca Stalmacha nabrały rozgłosu po całej ziemi polskiej.

**) Pamiętnik.

cyjskich“, na które Stalmach sam jeden wyjechał i swoją obecnością sprawił, że do deputacy galicyjskiej, jadącej do Wiednia z petycją (żądaniem) o język narodowy, przyłączyła się i deputacja śląska, złożona z włościan.

Skoro tylko ukazała się przywrócona konstytucją wolność ludów, pomyślał Stalmach o potrzebie energiczniejszego działania dla sprawy polskiej na Śląsku, „a jedną,“ jak sam pisze,*) „z pierwszych myśli w tym kierunku była „Czytelnia.““ By mieć w działaniu wolne ręce, przyjął do redakcji „Gwiazdki C.“ jako współpracownika Józefa Chociszewskiego**) i rzucił się prawie samorącz do pracy, „gdyż drżmiącą na Śląsku narodowość było trzeba z wielką usilnością budzić, a o to nikt się nie troszczył.“

7. grudnia 1861. odbyło się uroczyste otwarcie tej „Czytelni Ludowej“, która jedynie pracy i zabiegom Stalmacha zawdzięcza swe powstanie. Bo oto, co pisze o tem on sam***): „Względem założenia „Czytelni“ udałem się przede wszystkim do ówczesnego burmistrza dra Kluckiego, który się zgodził na moje przedstawienie, gdy ofiarowałem dla niej (t. j. „Czytelni“) gazety (w liczbie 60) i przyrzekłem staranie o książki i o wsparcie na urządzenie. Ułożyłem projekt statutu, które po uchwaleniu na kilku posiedzeniach w mojem mieszkaniu odbytych, zostały przez rząd krajowy zatwierdzone d. 31. maja 1861.“, — „pisałem niezliczone

*) „W obronie własnej“ — Stalmacha, str. 5.

**) Dzisiejszy pisarz, księgarz i wydawca w Gnieźnie.

***), „W obronie własnej“ — Stalmacha, str. 6.

listy do księgarń polskich i do różnych osób, i wskutek tychże rychło nadeszły nietylko paki książek od księgarzy, ale też kilka set reńskich od dobroczynnych osób zpoza Śląska, tak iż „Czytelnia“ mogła być pięknie urządzoną.“ Tak n. p. sam ks. prałat dr. Karol Teliga podarował „Czytelni Ludowej“ 1027 dzieł w 1884 tomach*); nadmieniał także o pieniężnej dotacyi, ale snać zrażony lekceważeniem jego księgozbioru, cofnął swój zamiar.

Przy „Czytelni Ludowej“ utworzono zaraz „fundusz żelazny“; wówczas Stalmach podał wniosek, by pomnażać ten fundusz, a z jego kapitałów zbudować później „Dom narodowy“, ale jego wniosek odrzucono. „Sam wówczas,“ wspomira on,**) „podałem projekt pomnożenia tego funduszu, aby z jego pomocą umożliwić założenie „Domu narodowego“, lecz niechęć przeciwników oparła się temu,“ bo projekt ten był „projektem redaktora „Gwiazdki C.““

*) Ale dwa lata było trzeba czekać, nim Stalmach nakłonił wydział „Czytelni Ludowej“ do przyjęcia tego księgozbioru, bo wydział mawiał: „gdyby to dał nam pieniędzy,“ a dopiero za ośm lat, kiedy Stalmach zagroził ogłoszeniem całej sprawy w „Gwiazdce C.“, zgodził się wydział na podpisanie aktu darowizny. Wtedy także wymógł Stalmach na wydziale, że rozpakowano ten księgozbiór i ustawiono w szafach, darowanych również przez ks. Teligę; ustawiono je tylko ale nie uporządkowano i nie uprzystępniono dla czytelników; uporządkowano je dopiero przed paru laty, kiedy jeden z profesorów polskiego gimnazjum przy pomocy uczniów, zajął się uporządkowaniem całego księgozbioru „Czytelni Ludowej“. A gdy Stalmach, wskutek listów ks. Teligi pełnych „boleśnego wrażenia i zmartwienia“, wystąpił w ostatniej chwili przeciw wydziałowi, okrzyczano go, że szkodzi „Czytelni“.

**) „W obronie własnej“ str. 23.

A więc widzimy, że sprężyną i duchem ożywczym całej pracy około założenia „Czytelni Ludowej“ był Stalmach. Praca jego wydała też obfity plon, bo „Czytelnia L.“ stała się przybytkiem życia narodowego dla Cieszyzna i okolicy. „Zaraz po otwarciu poczęło się żywe w niej życie, a szczególne niedzielne zebrania zabawowe, urozmaicone odczytami, deklamacyami, śpiewem i muzyką*) przyciągały tak mieszczan jak włościan, a żywe słowo wśród takiej towarzyskości przyczyniało się więcej do obudzenia ducha narodowego i uprawy mowy polskiej, niż to potrafi pismo.“**)

„Czytelnia Ludowa“ rozwijała się nader pomyślnie; w pierwszych latach miała ona przeszło 300 członków, z czego na sam Cieszyń przypada od 80—100, przeważnie katolików. To niepodobało się wydziałowi, a przede wszystkim nauczycielowi Śliwce, świeżo nawróconemu na narodowca, więc zaczęli szukać sposobów, by wyprzeć mieszczan z „Czytelni“. Śliwka nie życzył sobie „Czytelni Ludowej“, prowadzonej na tak wielką stopę i znalazł popleczników, którzy wprost twierdzili, że „Czytelnia L.“ jest „chłopską“, a nie mieszczańską.***) Wtedy Stalmach wystąpił przeciwko

*) Później (1882.) uznał wydział za odpowiedniejsze wynająć salę niemieckiej tancmistrzyni zamiast urządzać zabawy i przedstawienia, a mieszczaństwo cieszyńskie domyślając się, że to przeciw niemu skierowane, opuściło „Czytelnię L.“ i przeszło do wrogów.

**) „W obronie własnej“ str. 6.

***) Widocznie chcieli „narodowcy“ wodzić rej w „Czytelni L.“, a ponieważ na przeszkode stali im mieszczaństwo katolicy, więc chcieli się ich pozbyć.

tym i podobnym twierdzeniom i głosił, że „Czytelnia L.“ jest wspólna tak dla chłopów, jak dla mieszczan, za co go wyrzucono z wydziału „Czytelni“.*) Zaniechano później zebrani niedzielnych i zabaw, przez co się zmniejszało mieszczaństwo. I tak słabła i malała ta „Czytelnia Ludowa“, która z początku była postrachem dla wrogów, a później stała się pośmiechem.

Wtedy to Stalmach marzył o założeniu „Domu katolickiego“, gdzieby mógł skupić znowu mieszczaństwo cieszyńskie i tak je pozyskać dla naszej sprawy, ale brakło mu do tego środków i sił, bo wszystko spoczywało na jego głowie.

Miał on wtedy podwójne pole pracy, w redakcyi „Gwiazdki C.“ i w „Czytelni L.“, gdzie zasiadał przez pięć lat (1861.—1866.) we wydziale. I tak wśród pracy zastał go pamiętny dla narodu polskiego rok 1863.

W tym roku dużo Polaków przejeżdżało z Zachodu przez Cieszyń i szukało u Stalmacha schroniska i pomocy. Stalmach udzielał pomocy rodakom, spieszącym na pole walki, o ile tylko mógł i wskutek tego wyczerpały się jego fundusze tak, że „Gwiazdka C.“ znalazła się w krytycznem położeniu. By zapobiedz grożącemu zawieszeniu tego pisma, udał się Stalmach do wydziału „Czytelni“, przedstawił mu, jak cała sprawa stoi i prosił o wsparcie „Gwiazdki C.“ jednorazowym datkiem w kwocie 100 złr., oświadczając, że będzie się starał

*) W roku 1866.

wynagrodzić „Czytelni“ to wsparcie; a ponieważ było trzeba ten datek jakoś wyszczególnić w sprawozdaniu „Czytelni“, dodał, by to zapisać „jako wynagrodzenie za gazetę“.*) Ale wydział „Czytelni L.“ odmówił mu tej pożyczki, a kiedy później powstały właśnie między Stalmachem a „Czytelnią“, uchwalił dać mu te 100 zlr., ale wtedy Stalmach oświadczył, że już nie potrzebuje żadnej pomocy. Odtąd datują się rozłam i nieporozumienia między „Czytelnią L.“ (raczej jej wydziałem), a „Gwiazdką C.“, które dwa razy przybrały poważniejsze rozmiary, a mianowicie w r. 1884. i 1887., co później obszerniej omówimy.**)

6. Założenie polskiego towarzystwa rolniczego w r. 1869.

Już w roku 1862., jak to wykazaliśmy, poczynił Stalmach pewne kroki około założenia polskiego towarzystwa rolniczego, ale rząd udaremnił wówczas jego zabiegi; dopiero w roku 1869. uzyskano pozwolenie rządowe na to towarzystwo. Po pierwszych wyborach do zarządu nie wybrano żadnego katolika, co widząc Stalmach, rzekł się własnego wyboru,

*) Stalmach dawał „Czytelni L.“ bezpłatnie 60 gazet.

**) Pomimo tej czarnej niewdzięczności, jaką odpłacali się wydziały „Czytelni L.“ Stalmachowi za jego prace i trudy, nie zapomniał on o samej „Czytelni L.“, bo kiedy w roku 1882. znalazła się w bardzo trudnym położeniu, spowodował zmianę wydziału i zebrał wskutek odezwa i listów parę set zlr. i sprawił, że liczba członków, która z początkowych 300 upadła bardzo, podniosła się ponad 1'0.

by do wydziału wszedł chociaż jeden katolik; „za to.“ jak sam pisze w „Świetle prawdy“, „nie chciano już nigdy wybrać redaktora“ (t. j. Stalmacha).

Towarzystwo to nie rozwijało się, jak się tego należało spodziewać, bo wydziały troszczyły się za mało o jego rozwój; tak n. p. członkowie zgłaszali się do Stalmacha, ale wyrażali równocześnie obawę, czy ich wydział zechce przyjąć. O tem donosił Stalmach wydziałowi, ale na zgromadzeniu oświadczył zastępca prezesa: „że towarzystwo może się zadowolniać tem, jakim jest, i został przez zgromadzenie poparty.“*)

Później powtarzał Stalmach jeszcze kilka razy na zgromadzeniach, by to towarzystwo rolnicze rozszerzyć na całe Księstwo Cieszyńskie, ale napróżno; widać miał wydział towarzystwa interes w tem, by się nie zwiększała liczba członków. Stalmach wyjaśnia nam ten interes wydziału, wykazując, że wskutek wzrostu członków towarzystwa wzrosłaby i liczba katolików, a temsamem we wydziale musieliby zasiadać także i katolicy, czego sobie wówczas nie życzone.

7. Procesy prasowe przeciw Stalmachowi.

Te niesnaski i właśnie z wydziałami „Czytelni L.“ i „Towarzystwa rolniczego“ zaczęły podkopywać żelazne zdrowie Stalmacha, zwłaszcza, że i jego otwarcu wrogowie nie spali,

*) „Światło prawdy“, str. 9.

czyhając tylko na bylejaką okoliczność, by mu wytoczyć proces; wystarczał im najmniejszy powód. Tak w roku 1863. wytoczyła mu prokuratura proces za przedrukowany artykuł z „Gońca Lwowskiego“.*) Sąd skazał go na 6 tygodni więzienia, na utratę 80 złr. z kaucyi i na zapłacenie przeszło 200 złr. „utrata“ sądowych.

Drugi proces wytoczono mu za obronę Austrii przeciw broszurze: „Zerfall Österreichs“ (rozpadnięcie się Austrii). Prokurator opiera swe oskarżenie na błahym wniosku, że Stalmach dlatego wystąpił przeciw tej broszurze, by zaznajomić z nią czytelników — i skazał go na 100 złr. kary.***) Trzeci wreszcie proces wytoczył mu senior Haase o obrazę czci z powodu wystąpienia w „Gwiazdce C.“ przeciw niemu, za co Stalmach został znów skazany na 1 miesiąc więzienia i 125 złr. kary.

To wszystko krępowało jego ręce w pracy, ale nie odjęło mu nadziei zwycięstwa. Najbardziej bolało go to, że ówczcześni narodowcy nie uznawali jego pracy i ofiar, łożonych w obronie ludu śląskiego, a co gorsza, że nawet jego współwyznawcy występowali przeciw niemu, by mu szkodzić. Oto, co sam Stalmach***) wspomina o „życzliwości“ jednego takiego

*) Dodać tu wypada, że Stalmach zlagodził znacznie ten artykuł, a mimo to uznał go sąd winnym, chociaż prokuratura lwowska nie wytoczyła nawet procesu „Gońcowi Lw.“ za ten artykuł.

**) Oprócz tego skonfiskowano odnośny numer „Gwiazdki C.“.

***) „Światło prawdy“, str. 23.

narodowca: „Na kaucyę dla „Gwiazdki Cieszyńskiej“, wyczerpaną także procesami prasowymi, wypożyczył sobie redaktor od pewnego włościanina ewangelickiego 100 złr. na obligacyę. Tenże, znalazłszy się później w potrzebie, był jednak tyle szlachetnym, że nie wypowiedział tej sumy, tylko obligacyę posiadaną zastawił u drugiego włościanina. Ów drugi, którego wystawiają dziś jako wielkiego narodowca, przybył na początku 1866.*) roku do redaktora, żądając zwrotu tej setki. Redaktor wiedząc, że jemu wiele na setce nie zależy, prosił go, żeby pottrzymał obligacyę, która ma zabezpieczenie na kaucyi. Po tej rozmowie był redaktor w przekonaniu, że ów narodowiec zgodził się na to. Wtem wybuchła wojna pruska; prawie nastaje drugie półrocze i odnowienie przedpłaty półrocznej; kolej i poczta wozowa zostały przerwane, poczty ogłaszają, iż pieniężnych przesyłek nie przyjmują; redaktor zmuszony tą okolicznością odzywa się do czytelników, że będzie przysyłał „Gwiazdkę“ bez przerwy i oczekuje później nadesłania przedpłaty, lecz zostaje bez funduszy, a tymczasem i Prusacy przybywają do Cieszyna. W takiej krytycznej chwili otrzymuje pozew sądowy i wyrok wyłączenia setki temu zacnemu narodowcowi. Jednakże redaktor miał tyle kredytu, że z pomocą innego, katolickiego narodowca, mógł tę

*) A więc było już to po wszczętym rozłamie między Stalmachem a wydziałem „Czytelnia L.“ z powodu owych 100 złr., które chciał Stalmach po roku 1863. pożyczyć z „Czytelnia L.“ na poratowanie zagrożonej „Gwiazdki C.“.

sumę w ciągu trzech dni wraz z kosztami sądowymi zwrócić.“

„Podobnych dowodów życzliwości,“ pisze dalej, „moglibyśmy więcej naliczyć.“

8. Założenie „Bazaru Cieszyńskiego“ r. 1873.

Stalmach znał dobrze lud śląski, a przede wszystkim lud koło Cieszyna i zawsze z góry przewidywał, czy się jakieś nowe dzieło uda, czy nie. Tak uznał on myśl założenia „bazaru“ w Cieszynie za przedwczesną i odradzał od niej, oświadczając, że nie weźmie żadnego udziału w pracy około założenia tej „spółki kupieckiej“. Wtedy to narodowcy postanowili go zmusić do tego podstępem.

W roku 1871. urządzono we Lwowie obchód „Unii“.*) Stalmach i kilku Ślązaków pojechało na tę uroczystość. W Krakowie zaprosił ich do siebie p. Żółtowski, gdzie w porozumieniu z wydziałem „Czytelnia L.“ i przy pomocy niektórych obywateli krakowskich chciał zmusić Stalmacha, by na uroczystości lwowskiej wystąpił z prośbą do zebranych patriotów polskich o wsparcie na budowę „Bazaru Cieszyńskiego“. Ale Stalmach oparł się temu żądaniu i oświadczył**): „Jeżeli jednak chcecie, zróbcie co myślicie, ale bezemnie, bo widzę, że wasze przedwczesne żądanie ofiary narodowej nie tylko byłoby na szkodę sprawie, ale nawet byłoby hańbą dla Śląska, gdyby powie-

*) Pamiątkę połączenia Polski z Litwą i Rusią w r. 1569.

**) „Światło prawdy“, str. 28.

dziano, że Ślązacy sami nic nie robią, a chcą żyć tylko z samych ofiar. Zróbcie sobie wezwanie jakie chcecie, ale bez mojego nazwiska, bo moją zasadą jest i to: jeżeli chcemy zakład narodowy u siebie zbudować, to musimy najprzód sami nań ofiary złożyć, a potem śmiemy bratnich rodaków prosić o wsparcie.“

Zdanie jego uznali obecni obywatele krakowscy za dobre, ale za to z p. Żółtowskiego i sprzymierzonych z nim wydziałowców „Czytelnia L.“ zrobił sobie nieprzejednanych wrogów.)*

Kiedy jednak bez niego przystąpiono później r. 1873. do założenia „spółki kupieckiej“ pod nazwą: „Bazar Cieszyński“ i zakupiono na ten cel „hotel pod Wołem“,**) brakło pieniędzy i dobrej głowy, któraby całą sprawą pokierowała. Zwrócono się więc do Stalmacha i on, lubo niechętny, dał się nakłonić do pracy około „bazaru“. Objeżdżał Śląsk i Galicyę, jednając dla bazaru członków, a gdy go przestrzegano, żeby nie wdawał się w tak ryzykowny interes, odpowiedział: „że największym niebezpieczeństwem jest to, iżby przez pewne osoby rozpoczęte dzieło, jakkolwiek źle rozpoczęte, mogło runąć i sprawiłoby hańbę, a nawet i klęskę sprawie narodowej“ — „on więc od tego chce ratować i starać się, żeby dzieło dobrze poszło i uczciwie było prowadzonem.“***)

*) Spór między Stalmachem a Żółtowskim doszedł do takich rozmiarów, że miał rozstrzygać sąd polubowny, ale p. Żółtowski nie wysłał swych zastępców.

**) Dziś dom „Ślązakowców“.

***) „Światło prawdy“, str. 28.

Stalmach pokrywał koszty podróży i inne wydatki z własnej kieszeni, a gdy zażądał jakiegoś odszkodowania, to odpowiedziano mu: „że redaktor z patryotyzmu powinien sam netylko furmanki objazdowe, ale także następczego mu zastępcę w redakcyi opłacać.“*)

Trzeba dodać, że inni panowie, którzy także pracowali około wprowadzenia w życie „bazaru“, chociaż w miejscu pozostawali, policzyli sobie drobne, nawet najmniejsze wydatki, a Stalmach miał sobie furmanki i inne wydatki sam płacić. Lecz i to jeszcze nie zrażało Stalmacha; dopiero, kiedy układał sprawozdawcze rachunki, a musiał je układać z notatek kieszonkowych i kiedy te rachunki jeszcze odrzucono, oświadczył, że nie będzie objeżdżał dalej kraju w celu jednania dalszych członków „bazaru“, boby musiał kłamać ludzi, pytających się o stan tej „spółki kupieckiej“. Na to oświadczenie padły przeciw Stalmachowi nie bardzo pochlebne wyrazy, a obecny na zgromadzeniu p. Żółtowski odważył się nawet wybuchnąć: „że redaktora „Gwiazdki“ przed całym narodem polskim ogłosi za zdrajcę sprawy narodowej.“**)

Słusznie więc piętnuje Stalmach 10 lat później w „Świecie prawdy“ to zachowanie się pewnych panów i Żółtowskiego na tem zgromadzeniu: „Wiedz to teraz ludu śląski,“ pisze on,***) „za to, że cię redaktor „Gwiazdki“ nie

*) „Światło prawdy“, str. 29.

**) Jak już wspomnieliśmy, wezwał Stalmach za to p. Żółtowskiego przed sąd polubowny, ale ten się nie stawiał

***)) „Światło prawdy“, str. 29

chciał oszukiwać, że nie chciał z ciebie po prostu wyszwindlować pieniędzy dla „spółki Bazarowej“ i że mimo patryotyzmu swego nie mógł dla niej tak kosztownych czynić usług, a pragnął mieć porządek w niej, za to ośmielił się Żółtowski w imieniu tejże spółki grozić, że go ogłosi za zdrajcę narodowego!“ — „Cały narodzie polski wiedz też o tem i niech Żółtowski dziś udowodni przed tobą, że to ze strony redaktora „Gwiazdki“ było zdradą narodową!“

Później dał się Stalmach udobruchać i jeszcze raz wybrał się na objazd kraju, by zjednywać dalszych członków spółce, ale wypłatę za furmanki otrzymał dopiero po kilku latach, a to dopiero wtedy, gdy zagroził adwokatem. — Jak Stalmach przewidział, tak się też i stało; „bazar“ po krótkim czasie kiepskiej gospodarki zakończył swój byt.

9 Założenie „Towarzystwa Naukowej Pomocy dla Księstwa Cieszyńskiego“ r. 1872.

Kiedy w „Czytelnii Ludowej“ nie miał już miejsca pracy,*)) a z pracy około „Bazaru Cieszyńskiego“ nie spodziewał się owoców, rzucił się w inną stronę. On to pierwszy podał myśl założenia „Towarzystwa Naukowej Pomocy dla Księstwa Cieszyńskiego“,**)) na wzór istniejącego

*) Musiał wystąpić z wydziału w roku 1866., dlatego, że żądał skutecznej pracy od wydziału.

**) Na rzecz tego towarzystwa napisał Bol. Simonowski broszurę: „Losy narodowości polskiej na Śląsku“.

już w Poznańskim podobnego towarzystwa. On to zbierał fundusze i zachęcał ludzi do przystępowania za członków, on własnoręcznie rozpisywał listy w różne strony Polski, tak iż można powiedzieć, że on sam powołał to towarzystwo do życia*).

Jakże więc smutnem i bolesnem musiałoby być dla Stalmacha oświadczenie narodowców ewangelickich: „Żeby raczej fundusze tego towarzystwa rozdzielić między ewangelików i katolików“;**) dlaczego zaś chcieli rozwiązania tego towarzystwa, objaśnia Stalmach, kiedy mówi: Że jestto jedyne towarzystwo, w którym przy zarządzie utrzymali się katolicy.***) Inne pytanie, czy mieliby prawo rozporządzać groszem, na który się całe społeczeństwo polskie składało.

W tym samym roku (1872.), w którym związał Stalmach „Towarzystwo Naukowej Pomocy“, chciał założyć przy pomocy przyjaciół własną małą drukarnię, by się tak wyzwolić z pod obcej zawisłości, ale magistrat cieszyński i rząd krajowy nie uwzględnił podania, a rekurs wniesiony do ministerstwa odrzucono wskutek wpływów ludzi wrogo względem Stalmacha usposobionych.†)

*) „Towarzystwo Naukowej Pomocy“ powstało w Cieszyźnie w roku 1872.

**) „Światło prawdy“, str. 9.

***) Członkowie tego towarzystwa muszą ponosić ciężary, a nie biorą korzyści, jak z innych towarzystw — i to może jest także powodem, dlaczego ewangelicy pragnęli jego rozwiązanie.

†) Jak się należy spodziewać, doczeka się jednak „Gwiazdka C.“ chwili, kiedy będzie miała własną drukarnię.

10. Stalmach wobec wrogów i zwolenników.

Na tę odmowną odpowiedź władz wpłynęły donosy i oszczerstwa przede wszystkim: Stowarzyszenia niemieckiego w Cieszyźnie („der deutsche Verein in Teschen“). Towarzystwo to próbowało utracić Stalmacha razem z „Gwiazdką C.“, więc obwiniło ją: „Że rozszerza narodowo-federalistyczne tendencje (dążności), podkopuje jedność państwa i konstytucję, szkodzi żywiołowi niemieckiemu, a osobiście wywiera wpływ na wybory do sejmu*) i t. d., poczem „Związek niemiecki“ wzywa zwolenników swoich do składek na nowe, powstać mające pismo niemiecko-polskie, któreby przeciwdziało „Gwiazdce C.“**) Ale życzenia „Związku“ pozostały na razie tylko życzeniami, bo Stalmach uświadomił już na tyle nasz lud, że się nie dał zbałamucić. Dopiero w roku 1877. spełniło się to życzenie Niemców, kiedy senior Haase założył „Nowy Czas“,***) który do dnia dzisiejszego utrzymuje się z jakichś tajnych funduszy. Dziś już mamy drugie takie piśmiśło „Ślązaka“ (od r. 1909.), pisane w duchu niemieckim, a w języku polskim, na oglupianie naszego ludu; ale podczas gdy źródło funduszy „Nowego Czasu“ jest nam nieznane, to wiemy dobrze, że fundusze „Ślązaka“ płyną z arcyksiążęcej i laryszowskiej kieszeni.

*) Stalmach zbierał na fundusz wyborczy, przy pomocy którego udało mu się przeprowadzić posła do rady państwa w r. 1873.

**) „Gwiazdka C.“ rok 1883., str. 420.

***) Pismo dla śląskiego ludu ewangelickiego.

Tę ciągłą walkę z otwartymi i ukrytymi wrogami ślodziły Stalmachowi jaśniejsze i wesejsze chwile w jego życiu. Narodowcy ślascy nie chcieli wprawdzie uznać jego zasług około oświecania naszego ludu, a nawet go jeszcze poza Śląskiem oczerniali, ale za to uznali je Rodacy z poza Śląska. Okazali to kilkakrotnie; tak n. p. już w roku 1869. przywieźli mu, zaproszeni na wiec ludowy do Sibicy, Krakowiacy adres z wierszem do „Gwiazdki C.“, opatrzone kilku set podpisami, jako dowód uznania jego pracy, a w uznaniu jego zasług przysłało mu w r. 1871. miasto Tarnów honorowe obywatelstwo, a również i obydwaj galicyjskie towarzystwa rolnicze mianowały go swym członkiem honorowym.*) Ale co najważniejsza, i świat literacki uznał pracę i bezinteresowne poświęcanie się Stalmacha dla sprawy narodowej, że pracował „nie dla uznania, poklasków lub korzyści materyalnej“, lecz był „pracownikiem dla idei odrodzenia narodowego Śląska.***) Bo oto pisarze polscy z Wład. Lud. Anczycem na czele wydali w r. 1873. ku uczczeniu 25-letniej rocznicy jego pracy na polu dziennikarskim „Księgę zbiorową“, zatytułowaną: „Wisła“.

„Przyjaciele,“ pisze Anczyce we wstępie,***) „i świadkowie mozolnej i długiej pracy, a zacnego żywota Stalmachowego, postanowili uczcić 25-letni zawód redaktorski i zastugi jego,

*) Anczyce Wł. Lud.: „Wisła“ XXV.

**) Warszawiak: „Ze spraw śląskich“, str. 125

***) Anczyce Wł. Lud.: „Wisła“.

wydaniem księgi zbiorowej, a nadwyżkę z prenumeraty złożyć mu w upominku. Może usiłowaniam tym Bóg poszczęści, a jeśli zabrana sumka nie zdoła zapewnić Stalmachowi i jego rodzinie losu, to przynajmniej ulży brzemieniu od tylu lat i z takim wysileniem dźwiganego. Oby zamiar ten pomyślnym został uwieńczony skutkiem, obyśmy zdołali przekonać nie tylko Jubilatą, ale zacnych włościan śląskich, że cicha, wytrwała, a pocziwa praca znajdzie uznanie wszędzie, gdzie zacne serca pierś ludzką ożywiają.“ A więc celem wydawnictwa było: Zapewnienie Stalmachowi choć w części bytu i spotęgowanie u włościan śląskich zaufania do niego. Jedno i drugie udało się po części; Stalmach popłacił sobie z czystego dochodu „Wisły“ długie redakcyjne, a uznanie jego pracy poza Śląskiem zjednało mu uznanie i wdzięczność wśród ludu śląskiego, której nieraz później dawali dowody, jak o tem jeszcze wspomniemy.

Długo jednak wzbraniał się Stalmach przyjmując ten dar, a dlaczego, sam mówi dziesięć lat później:*) „Musimy niestety oświadczyć, że z niej (t. j. z ofiary, jaką mu złożyli Rodacy z poza Śląska w formie czystego dochodu z wyd. „Wisły“) nie mieliśmy wielkiego użytku. Powiedziały wówczas pewne osoby redaktorowi: „To nie dla pana tylko, ale i dla nas.“ Dlatego to Stalmach nie chciał przyjąć tej ofiary, „na jego imię, a nie dla niego samego

*) „Światło prawdy“, str. 30.

zbieranej“*) i Anczyc musiał dwa razy z tej przyczyny przyjeżdżać do Cieszyina, nim Stalmach podpisał, że dar przyjmuje.**)

Ale i te pogodniejsze chwile w jego życiu nie przeszły mu bez ciosu. Napastowany ze wszystkich stron, najwięcej przez cieszyńskich narodowców, szukał w życiu domowym, w kółku rodzinnem, ośrody; lecz i to szczęście było mu wzbronionem, bo Bóg powołał młodo do siebie jego córki, wytrwałe pomocnice w zmuudnej pracy administracyjnej.***)

11. Powstanie „Związku śląskich katolików“ w r. 1883.

Stalmach widział, że rozdwojenie wyznaniowe rośnie z dnia na dzień i jako znawca stosunków śląskich poznał, że kiedyś musi przyjść do zupełnego rozłamu, jeżeli się nie uda w jakiś sposób zbliżyć do siebie obu wyznań. Jako jedyny środek do takiego zbliżenia uznał założenie towarzystwa politycznego; ale ewangeliccy narodowcy oświadczyli: „że między ludnością ewangelicką Towarzystwo takie się nie rozszerzy i rozszerzyć nie może“ i wyznali: „że z ludnością ewangelicką nie potrafią nic zrobić, że nie mają poparcia u swoich współwyznawców,“†) i nic też nie uczynili, by

*) „Światło prawdy“, str. 30.

**) Zaiste, gdyby Stalmach był przeczuł, że później gazety krakowskie (po roku 1884.) będą mu ten dar zarzucać, nie byłby go przyjął

***) Maryan Dubiecki, „Dla Śląska“.

†) „Światło prawdy“, str. 12.

powołać to towarzystwo polityczne do życia. Innymi słowy, wykazali, że są wodzami bez armii, albo raczej wodzami armii zbuntowanej, na co mamy dowody przy każdorazowych wyborach, czy to do sejmu, czy też do parlamentu.

Tak więc ta chwalebna myśl Stalmacha, by występować w sprawach politycznych razem według programu wspólnego towarzystwa politycznego, spełza na niczem, a tymczasem spory wyznaniowe rosły ciągle, podsycane artykułami „Nowego Czasu“*) i założeniem „Czytelni Ewangelickiej“, z dążeniami niemiecko-liberalnemi, której celem było rozerwanie łączności katolików i ewangelików na polu narodowem.

Kiedy narodowcy ewangeliccy, z małymi wyjątkami, głosili, że pójdą z Niemcami i nie będą głosowali z katolikami i kiedy żądali wprost od Stalmacha, by wystąpił w „Gwiazdce C.“ przeciwko narodowym kandydatom katolickim, a w roku 1881. chcieli odbyć w Sibicy zgromadzenie wspólnie z Niemcami-liberałami przeciw katolikom, co się im jednak dzięki odezwie „Gwiazdki C.“ nie udało, i kiedy wreszcie w roku 1882. zawarli kompromis z Haasem i liberałami, skierowany przeciw katolikom i „Gwiazdce C.“**) wtedy katolicy po-

*) Organ Haasego, założono w r. 1877.

**) Wtedy to narodowcy ewangeliccy występowali i agitowali wprost przeciw „Gwiazdce C.“ i zachwalali „Nowy Czas“, by tak ubić „pismo katolickie“, za jakie uważali „Gwiazdkę C.“.

stanowili iść sami naprzód i założyli w roku 1883. towarzystwo polityczne: „Związek śląskich katolików“, by w niem zszerzować ludność katolicką i popchnąć ją do walki o jej prawa narodowe.

Stalmach powitał mile założenie „Związku“ w wstępnym artykule „Gwiazdki C.“ z dnia 20. paźdz. (1883.), w którym wyrzuca narodowcom ewangelickim ich błędne i jednostronne postępowanie.*)

Takie otwarte wystąpienie Stalmacha narobiło naturalnie dużo złej krwi między narodowcami ewangelickimi. Posypały się zaraz w odpowiedzi różne artykuły i wyszła broszurka zatytułowana „Ewangelicy i sprawa narodowa na Śląsku“. Odpowiedź na artykuł „Gwiazdki Cieszyńskiej“ z 20. października 1883. pod tytułem: „Towarzystwo polityczne katolickie w Cieszynie“. Autor tej broszury zarzuca, że

*) Tak n. p. wskazuje im na niedorzeczność twierdzenia, jakie wypowiadali, że jeżeli poseł nie będzie wybrany po ich stronie, to pójdą z Niemcami (str. 423), albo zbija myłne twierdzenia: „że mianowicie pastrowie ewangelicy na Śląsku podtrzymują i krzewią poczucie narodowe,“ mówiąc „przysiąc tylko możemy, że były i są wyjątki, ale to tylko wyjątki. Przeciwnie bowiem katolicy księża stoją zawsze przy narodowej stronie, a wyjątki przeciwne są rzadkie. Przynajmniej żaden ksiądz katolicki nie powiedziałby, co powiedział publicznie ksiądz ewangelicki na przeciwnarodowym zgromadzeniu w Aleksandrowie przy Bielsku 14. września 1881., zwołanem dla protestowania przeciw równouprawnieniu języka polskiego, gdzie wygłosił: że wieśniak może z niemieckimi pismami-urzędowymi, iść do żyda, aby mu je wyłożył“ (str. 422), albo wykazuje, że katolicy są wyrozumialszy i tolerantniejsi, więc trzeba, by i ewangelicy byli takimi (str. 423) i t. d.

artykuł „Gwiazdki C.“ mija się z prawdą historyczną i rzeczywistym stanem rzeczy i daje rodakom pozaśląskim o naszych stosunkach fałszywe wyobrażenie, a sam nakręca te fakta historyczne na swoją stronę i prawie w całej broszurze ujada na katolików i na Stalmacha, który w obronie tych katolików odważył się napisać kilka słów prawdy. I ta broszurka była pierwszym strzałem i hasłem do otwartej walki między Stalmachem a narodowcami, grupującymi się koło „Czytelnicy L.“.

To wezwanie do walki przyjął Stalmach i odpowiedział na zarzuty, podniesione przeciw niemu i katolikom w broszurze: „Światło prawdy w narodowych stosunkach Śląska, czyli odpowiedź na broszurkę: Ewangelicy i sprawa narodowa na Śląsku,“*) w której przedstawia rozwój sprawy narodowej na Śląsku, przyczem rzuca nie bardzo pochlebne światło na niektórych niby-narodowców.**)

W odpowiedzi na założenie „Związku śl. katolików“ założyli narodowcy cieszyńscy: „Towarzystwo polityczne ludowe“, nazwane ludowem, chociaż nie miało ludu za sobą. Towarzystwo to powstało, jak pisze Stalmach,***) „aby paraliżować czynność katolickiego towarzystwa politycznego“ (t. j. „Związku śl. kat.“). Że tak jest, świadczy o tem oświadczenie

*) Wyszła w roku 1884.

**) Stalmach określa ich bardzo trafnie: „narodowcami z pełnej miski“.

***) „Światło prawdy“, str. 33. „Towarzystwo ludowe“ liczyło półtora sta członków i dla pozorów przybrało kilku katolików („Światło prawdy“, 34. str.).

„Silesii“ cieszyńskiej, która po założeniu „Towarzystwa politycznego ludowego“ ogłosiła, że będzie umieszczać sprawozdania tego towarzystwa, a nie będzie umieszczać sprawozdań „Związku śl. katolików“; a przedewszystkiem świadczy o tem wyraźne orzeczenie tejże „Silesii“, która chcąc Niemców cieszyńskich zjednać dla tego nowego towarzystwa ludowego, wygadała: „że ono ma paraliżować czynność Towarzystwa politycznego katolickiego (t. j. „Związku śl. kat.“) i nie będzie występować przeciw niemieckim liberałom.“*)

Stalmach jeszcze po założeniu towarzystwa ludowego doradzał narodowcom ewangelickim, by założyli podobnie jak katolicy towarzystwo polityczne ewangelickie. „Oba towarzystwa,“ pisze on,**) „mogłyby paralelnie działać wśród swoich wyznań dla sprawy narodowej, a w razach ważnych byłoby możliwem porozumienie.“ — „Tego zdania byli i katolicy,“ pisze dalej, „pomimo, że dotychczas doznawali od ewangelików przykrego zawodu co do wspólności działania, czy to w instytucjach narodowych czy też w wyborach.“ Ale narodowcy ewangelicy nie usłuchali tej rozumnej rady Stalmacha, a co gorsza z łona tego nowego towarzystwa ludowego, w którym oni rej wodzili, wysłano do Stalmacha, jako redaktora

*) Czy to towarzystwo nie było pokrewnem dzisiejszemu „Ślązakowcom“? Zdaniem Stalmacha całe towarzystwo ludowe było dziełem dra Haasego, aby zupełnie odwieść ewangelików od sprawy narodowej i popchnąć ich w objęcia stronnictwa niemiecko-liberalnego („Światło prawdy“ str. 34.).

**) „Światło prawdy“, str. 33.

„Gwiazdki C.“, deputację, która żądała, by „Gwiazdka C.“ stała się organem ich towarzystwa. Stalmach odpowiedział wówczas deputacyi, że jeżeli to „towarzystwo ludowe“ będzie pracować dla sprawy narodowej, to będzie chętnie umieszczać jego odezwy, sprawozdania i t. d., ale o tem deputacya nie chciała słyszeć, bo ona chciała mieć „Gwiazdkę C.“ wyłącznie dla swego towarzystwa i wyraźnie oświadczyła: „żeby redaktor katolickich czytelników zgola nie uwzględniał, żeby stratę w prenumeracie przez ubytek katolickich czytelników poniósł w ofierze dla towarzystwa ludowego,“*) a nadto żądała, by Stalmach wystąpił w „Gwiazdce C.“ wprost przeciw „Związkowi śl. katolików“, na co on krótko oświadczył: „nie żądamie śmierci „Gwiazdki.“**)

A więc ci panowie spodziewali się, że Stalmach albo pod ich wpływem rozbije „Związek śl. katolików“, do czego dążyło towarzystwo ludowe, albo że sam skręci sobie kark i utraci „Gwiazdkę C.“, coby narodowcom cieszyńskim było także na rękę, bo „Gwiazdka C.“ już od dłuższego czasu rzucała światło na ich fałszywą politykę.

* „Światło prawdy“, str. 33.

**) Stalmach odpowiedział także wówczas narodowcom na żądanie, by „Gwiazdka C.“ stała się organem „towarzystwa ludowego“, raczej organem ewangelików: „Nie dajcie się ludzi i nie psujcie wspólności w utrzymaniu pisma narodowego, bo źle na tem wyjdziecie: katolicy są w stanie utrzymać pismo własne i pewnie takowe założą, gdyby „Gwiazdka“ ustała, ale wy ewangelicy pozostaniecie bez własnego pisma.“ („Światło prawdy“, str. 20.).

Po takiej odpowiedzi rzucili się narodowcy cieszyńscy z nieprzebijającą w środkach zjadłością na Stalmacha i „Gwiazdkę C.“, przyczem naturalnie nie obeszło się i bez docinków i oszczerstw, rzuconych w prasie pozasłaskiej na ludność katolicką Śląska. Stalmach bronił się w „Gwiazdce C.“, bo galicyjskie gazety, jak „Czas“, „Nowa Reforma“, „Gazeta Krakowska“ i inne nie chciały umieszczać jego artykułów, objaśniających rzeczywisty stan rzeczy, podczas gdy umieszczały oszczercze korespondencje jego przeciwników, chcąc w ten sposób zmniejszyć zasługi Stalmacha około uświadomienia narodowego Śląska, a równocześnie utracić „Gwiazdkę C.“ dosyć znaczną liczbę odbiorców galicyjskich. Cała ta walka na pióro przybrała pod koniec charakter osobisty, przez co stała się zbyt rażąca.

„Moją winą jest,“ pisze Stalmach,*) „wyznaję to, że żądałem wszędzie energicznej pracy na polu narodowym, bo taka jest gwałtownie potrzebną na Śląsku i jedynie może być skuteczną.“ Dalszą jego winą było i to, że żądał, by tę pracę prowadzić bez względu na wyznanie, a co najważniejsza, bez względu na własny interes.

Ale nie tylko za granicą oczerniali narodowcy cieszyńscy osobę Stalmacha, lecz posunęli się tak daleko, że nawet w hakatystycznej „Silesii“ i w hazowskim „Pośle czytelnicy ewangelickiej“**) rzucali na niego oszczerstwa.

*) „W obronie własnej“, str. 43.

**) „Poseł czytelnicy ewangelickiej“ został wydany na wzór „Posła Związku śl. katol.“, ale różnił się od niego

W „Pośle“ n. p. zarzucał mu dr. Haase prywatne życie: „Że od wielu lat nie widział go już w kościele ewangelickim, że nie jest ani ewangelikiem, ani katolikiem, ani żydem, a przeto musi być albo liberałem albo bezwyznaniowym,“ na co mu Stalmach trafnie odpowiedział: „Na kazania nieewangeliczne dra Haasego „teolog ewangelicki“ nie może chodzić“;*) trzeba tu nie zapominać, że Stalmach ukończył nauki postorskie we Wiedniu.

Lud śląski, a przeważnie lud katolicki, poznał, że Stalmachowi dzieje się krzywda, więc z własnego popędu wysłał do niego deputację d. 20. stycznia 1886., która w imieniu gmin śląskich wręczyła mu: „Oświadczenie ludu śląskiego“ w następujących słowach:

„Do Szanownego Pana Pawła Stalmacha, redaktora „Gwiazdki C.“. Z żalem dowiedział się lud śląski Księstwa Cieszyńskiego, jak ostatnimi czasami gazety krakowskie i za niemi niektóre inne polskie przedstawiały sprawy śląskie nie zawsze zgodnie z prawdą, a nawet wtenczas, kiedy sprawa wyborów wymagała najwięcej zgody, a mianowicie też Tobie Panie Redaktorze niejednokrotnie ubliżały, pomimo to, że wiernie broniłeś sprawy narodowej. Lud katolicki narodowy na Śląsku, uznając Twoją pracę szczerą, bezinteresowną i wytrwałą, składa

tem, że „Poseł Zw. śl. kat.“ zapoznaje katolików z najważniejszymi sprawami bieżącymi, a „Poseł czyt. ewangel.“ rzucił obelgi na katolików i chciał ewangelików przeciągnąć do Niemców, zachwalając im niemczyznę.

*) „Światło prawdy“, str. 32.

Ci wyraz zaufania swego i życzy Boskiej pomocy, zdrowia i sił do dalszej pracy na niwie śląskiej, stwierdzając to podpisami swymi. W październiku 1885.“*)

Poczem następuje 2800 podpisów. Większość gmin Księstwa Cieszyńskiego była reprezentowana. Niektóre gminy miejskie i wiejskie umieściły więcej podpisów, niektóre tylko podpis ks. proboszcza i przełożonego gminy; przeważna zaś część tych podpisów pochodziła od katolików. Dlatego Stalmach, dziękując ludowi śląskiemu za przywiązanie i uznanie jego pracy, zwraca się przede wszystkim do ludności katolickiej: „Ludność katolicka,“ pisze on,*) „poczuwająca się do narodowej sprawy, dała pochop do tego oświadczenia i jej też redaktor najprzód składa swój dzięk za odebrane uznanie od niej, że wśród dwóch wyznań potrafił być dla niej sprawiedliwym. Czuli się ona oczywiście popchniętą do tego oświadczenia, kiedy gazety krakowskie tak ubliżająco zachowały się również względem niej, jak i względem bezstronności redaktora „Gwiazdki C.“. Wdzięczny, za odebrane oświadczenie ludności śląskiej, oświadcza redaktor „Gwiazdki C.“, że ono jest pokrzepieniem dla niego w trudnym zawodzie i przez fałszywą agitację krakowską zmylić się nie da, ale dalej według sił pracować będzie dla powszechnego dobra ludu śląskiego.“

Ale to „towarzystwo ludowe“, pomimo swych niecných środków, jak n. p. rzucanie

*) „Gwiazdka C.“ 1886., 2. stycznia, str. 36.

oszczerstw w prasie pozaśląskiej na „Związek śl. katol.“, na Stalmacha i „Gwiazdkę C.“, pomimo częściowego wpływania na władze duchowne, by one poleciły rozwiązanie „Związku“, pomimo tego, że dzienniki krakowskie głosiły, że „towarzystwo ludowe“ jest jedynie „powołaniem“ do kierowania losami Śląska*) i pomimo twierdzenia emisariuszy krakowskich na Śląsku, że Polakom na katolickiej ludności Śląska nie zależy, chodzi zaś im tylko o utrzymanie dla Polski protestantów polskich na Śląsku**) (t. j. członków „towarzystwa ludowego“), pomimo tego wszystkiego, towarzystwo to nie stało się „ludowem“, bo nie zdołało przyciągnąć ludu.***)

Kiedy gazety krakowskie ciągle ujadaly na Stalmacha i „Gwiazdkę C.“, wychwalając równocześnie „towarzystwo ludowe“, ogłosił on w „Gwiazdce C.“ (6. grudnia 1884.) zapytanie: „Czy „Gwiazdka C.“ ma zmienić swój dotychczasowy program wspólności wyznań na polu narodowem i ma stać się wyłącznie „ewangelicką“ albo jakąś „liberalistyczną“ i czy na utrzymanie takiego pisma zapewnią (gazety krakowskie) fundusze?“ †)

*) „Gwiazdka C.“ 1884., str. 336.

**) „Gwiazdka C.“ 1887., str. 527

***) Ewangeliccy narodowcy — pisze Stalmach w „Świecie prawdy“ str. 22. — nie mając ludu ewangelickiego za sobą, chcieli przeto lud katolicki mieć na swoim pasku. Za taki pasek miała im służyć „Gwiazdka C.“ i jej redaktor.

†) To samo zapytanie powtórzył Stalmach w r. 1887. (20. num. 17. maja), kiedy walka rozgorzała na nowo; wtedy także wystosował zapytanie to do całej Polski.

12. Założenie „Macierzy szkolnej“ w r. 1885.

Po tem zapytaniu nastąpił chwilowy spokój i Stalmach mógł się oddać innej pracy. Poznał on, jak wielkie znaczenie ma dla narodu czeskiego „Matices školska“, więc postanowił na jej wzór założyć i u nas na Śląsku taki zakład. Po długich pracach wstępnych mógł już w roku 1885. przystąpić do założenia „Macierzy szkolnej“. By się móżdż zupełnie poświęcić „Macierzy“, chciał Stalmach oddać redakcję „Gwiazdki C.“ w inne ręce i dlatego doradzał narodowcom, by utworzyli „spółkę“ wydawniczą w celu dalszego wydawnictwa tego tak na Śląsku potrzebnego pisma,^{*)} ale narodowcy odrzucili ten projekt, bo musieliby Stalmachowi zapewnić z dochodów utrzymanie.

Po raz drugi nie zwracał się już do nich z tym projektem, zwłaszcza, że między nim a narodowcami przyszło do nowych sporów i nieporozumień z powodu „Pamiętnika“ „Czytelni L.“,^{**)} w którym (VII. ustęp) zaczął ówczesny wydział Stalmacha, obdzierając go ze wszelkich zasług około założenia i utrzymania tej „Czytelni“, zarzucając mu równocześnie chęć szkodenia jej wzrostowi i rozwojowi. Stalmach odpowiedział na te zarzuty w broszurze zatytułowanej: „W obronie własnej — odpowiedź Wydziałowi „Czytelni Ludowej“ w

*) „Światło prawdy“, str. 24.

**) „Pamiętnik“ ten wydała „Czytelnia Ludowa“ w Cieszynie z powodu 25-let. jubileuszu istnienia w r. 1887. (założona 1861.).

Cieszynie od „Redakcyi Gwiazdki C.“,^{*)} gdzie chłoszcze może nie tyle źle myśląc i chcąc szkodzić sprawie narodowej na Śląsku, ile raczej nieporadne i opieszale wydziały tej „Czytelni L.“.

Po takich i tylu przejściach zaczęło zdrowie Stalmacha szwankować, więc by móżdż choć chwilowo odpocząć, a później poświęcić się całkowicie „Macierzy szkolnej“, oddał „Gwiazdkę C.“ z początkiem roku 1888. na własność duchowienstwu katolickiemu, które utworzyło „katolickie towarzystwo prasowe“,^{**)} celem dalszego wydawania „Gwiazdki C.“. Według umowy, zawartej przy odsprzedaży „Gwiazdki C.“ na rzecz duchowienstwa katol. otrzymywał Stalmach rocznie rentę w wysokości 2000 kor., a żona po jego śmierci 800 kor.^{***)}

W „Macierzy szkolnej“ pracował Stalmach aż do końca życia na stanowisku prezesa, choć nieżyczliwi i niechętni knowali przeciw niemu różne spiski, chcąc go wyrzucić z wydziału „Macierzy“, jak już to uczynili z wydziału „Czytelni L.“. Tak „Warszawiak“ w broszurze: „Ze spraw śląskich“ opisuje wybory do zarządu „Macierzy szkolnej“ z r. 1889., i równocześnie spiszek, uknuty przeciw Stalmachowi, by go

*) „W obronie własnej“ wyszło wkrótce po ukazaniu się „Pamiętnika“ także w roku 1887.

**) To „katolickie towarzystwo prasowe“ nie działało długo, bo już w roku 1897. musiało się na rozkaz ks. kardynała Koppa rozwiązać.

***) Żona Stalmacha zmarła 11. grudnia 1902., 11 lat po śmierci męża.

wyrzucić z zarządu. „Gdy fundusz dochodził już 20 tysięcy,“ pisze on,*) „zaczęli i niedowierzający dotychczas wierzyć w możliwość założenia polskiego gimnazjum — a kółko mu (t. j. Stalmachowi) przeciwne postanowiło swoim obyczajem spróbować wówczas szczęścia — i wyrzucić Stalmacha, aby tak piękny fundusz, a z nim sławę i zasługę porwać w swoje ręce. Śp. Stalmach**) oczywiście nic nie przeczuwał i z dobrą miną przygotował sprawozdanie na walne zebranie w roku 1889., na którym też miały się odbyć nowe wybory. Na tem to walnem zebraniu zamierzono wykonać zamach i wyrzucić śp. Stalmacha z prezesostwa. Stalmach dopiero przyszedłszy na salę, zmiarkował, że się coś knuje i jak łatwo zrozumieć, był oburzony. Posiedzenie było niespokojne i gorące, ale na szczęście sztuka się ta nie udała i jednym głosem utrzymał się Stalmach na prezesostwie. Przejście to parę dni odchorował, ale na przyszłość był ostrożniejszym i na walne zgromadzenie zapewniał sobie obecność katolików.“

Od czasów założenia „Macierzy szkolnej“, tego Benjaminka, jak ją Stalmach nazywał, jedynym jego życzeniem było: doczekać się chwili otwarcia polskiego gimnazjum i dlatego pracował ze zdwojoną siłą, by jak najwięcej pomnażał fundusz „Macierzy“ i jak najprędzej dojść do potrzebnej do otwarcia sumy: ale

*) „Warszawiak“: „Ze spraw śląskich“, str. 128.

**) Píše to już po śmierci Stalmacha.

widać inna była wola Boża, bo zmarł cztery lata przed tą tak upragnioną chwilą, zmarł w chwili, kiedy był jego był wprawdzie nie wykwintny, ale znośny i zabezpieczony.)*

V. Przejście Stalmacha na łono Kościoła katolickiego. — Śmierć Stalmacha.

Zmarł 13. listopada 1891. przed 10. godz. w nocy,**) wskutek zapalenia mózgu. Przyczyną śmierci było po części przepracowanie, a po części jego własna nieostrożność, bo jak opowiadają, żyjący jeszcze świadkowie, ile razy był w kąpielu, to przesiadywał w parze do 40°, a potem rzucał się do zimnej wody; zmarł jako katolik, bo dwa dni przed śmiercią w obecności zastępców starostwa i duchownej władzy katolickiej oświadczył na zapytanie żony: „taticzku, czy chcesz, jak to zawsze powiadałeś, przestąpić na wiarę katolicką,****) że chce przejść na katolicyzm, a to nie w jakimś chwilowem wzruszeniu, ale w zupełnej przytomności umysłu. O jego przejściu na katolicyzm wspomina ks. Ignacy Świeży:†) „Przyjął na łożu śmiertelnem

*) Otrzymywał bowiem od „katolickiego towarzystwa prasowego“ roczną rentę w wysokości 2000 kor., jako odškodowanie za odstąpienie „Gwiazdki C.“.

**) A więc nie 14. listopada, jak mylnie podają; datę śmierci jego przesunięto na 14. dlatego, by zyskać więcej czasu na przygotowania pogrzebowe

***)) Według słów naocznego świadka.

†) „Gwiazdka C.“ r. 1892., nr 2, str. 12. i 13.

wiarę katolicką i został członkiem Kościoła Chrystusowego. Nie nastąpił ten krok za jakimś chwilowem wzruszeniem. Tę zmianę przygotowywał Bóg już dawno w jego sercu; już długi czas był w sercu Pawłem, należącym do Kościoła Bożego i pewnie to postanowił wyznać także publicznie przed światem, do czego szukał tylko chwili najstosowniejszej.“ A więc już dawnym zamiarem Stalmacha było: przejść na katolicyzm, o czym świadczy choćby ta okoliczność, że uczęszczał na katolickie nabożeństwa i jak o tem zamiarze wspomina ks. Świeży, a musiał on o tem dobrze wiedzieć, jako jego wierny przyjaciel.*)

Zwłoki Stalmacha spoczęły na cmentarzu szpitalnym w Cieszynie, gdzie mu rodacy postawili pomnik z następującym napisem: „Pawłowi Stalmachowi, niestrudzonemu bojownikowi za sprawę narodową, który budził lud śląski — wdzięczni rodacy.“ Ale trwalszy pomnik od tego wyrzył sobie Stalmach w sercach ludu śląskiego, a przede wszystkim w sercach wychowanków polskiego gimnazjum w Cieszynie; dla nich powinno być to imię świętem, bo czem są, to zawdzięczają jemu, jego pracy, jego zabiegom.

A teraz rzućmy jeszcze krótko okiem na jego pracę piśmienniczą, na jego pracę lite-

*) Gdy się rozeszła wieść o przejściu Stalmacha na łono Kościoła katolickiego, powstało między ewangelikami wielkie zaniepokojenie, a jeden poważny obywatel z Ligotki odważył się publicznie odezwać: to „głupstwo“ mógł już dawno zrobić (według naocznych świadków).

racką. Już jako student gimnazjalny zajmował się układaniem wierszy, ale późniejsze nauki niemieckie zatruty w nim tę żyłkę poetycką. We Wiedniu na teologii zajmował się, oprócz gromadzenia artykułów do powstać mającej „Gwiazdki C.“ i oprócz tłumaczenia czeskiego kancynału ewangelickiego, znowu poezją i napisał poemat epiczny zatytułowany: „Bój na Dobropolu — opiew wojny książąt śląskich z Tatarami“. Jak już sam tytuł wskazuje, opisuje nam Stalmach w tym utworze: walki książąt śląskich z Tatarami w r. 1241. O tem, co skłoniło go do napisania tego poematu pisze sam w przedmowie,*): „Podczas nauk w Wiedniu (1845.—48.) wielce mnie zajmowały śpiewy bohaterów Serbów, porównywane nieraz z greckimi eposami Homera. Równocześnie czytając po łacinie napisaną przez Długosza starożytną historję Polski, szczególnie znajdowałem tam wiele powabu w opisie ówczesnych znakomych zdarzeń na Śląsku. W r. 1847. ułożyłem więc wierszem opis walki książąt śląskich z Tatarami pod tytułem: „Bój na Dobropolu“. Znawca pozna, że wzór wzięłem z bohaterskich pieśni Serbów, a treść z Długosza.“ Bój na Dobropolu umieścił Stalmach w r. 1850. w „Tygodniku C.“.

W r. 1889. napisał Stalmach obszerniejsze dzieło: „Księgi rodu Słowiańskiego“. Jestto: „skreślony pokrótce obraz życia, myślenia i wierzenia, bogochwalenia i rządzenia się praojców naszych“... „abyśmy ich godnie czcili, aby

*) „Bój na Dobropolu“, str. 58.

każdy myślący, co przynajmniej szkołę ludową ukończył i chce poznać praocjów narodu swego, mógł nabyć treściową o nich wiadomość.“*) Dziełko to jest trochę pobieżnie opracowane, ale temu nie można się dziwić, biorąc pod uwagę ogrom pracy, jaki spoczywał wciąż na barkach Stalmacha.

Rok przed śmiercią (1890.) wydał piękny utwór dramatyczny zatytułowany: „Cieszymir, śpiewogra ludowa“,**) w którym śpiewnie przedstawia nam podanie o założeniu miasta Cieszyna. Utwór ten poświęca Stalmach ludowi śląskiemu: „Niechaj przedstawiony obrazek życia dawnych przodków naszych służy ziomkom ku zabawie, pociesze i pokrzepieniu myśli narodowej.“***)

Oprócz tych trzech wymienionych dziełek wydał jeszcze Stalmach „zbiór pieśni śląskich“,†) kilkanaście kalendarzy cieszyńskich i opracował swój pamiętnik, który jednak nie jest ukończony, bo go śmierć niespodzianie zaskoczyła. Pamiętnik ten przedrukowany został w niniejszej książce bez wszelkich zmian i dodatków

*) „Księgi rodu Słowiańskiego“, str. III.

**) Razem z „Cieszymirem“ wydał po raz drugi: „Bóg na Dobropolu“.

***) „Cieszymir“, str. VII.

†) Zbiór ten pieśni śląskich wyszedł nakładem „Czytelni Polskiej“ w r. 1849.

VI. Zakończenie.

Droga życia, pełna cierni, pracy i zasług.

Jeżeli przypatrzymy się życiu Stalmacha, to widzimy, że życie jego było pełne trosk i trudów już od samej młodości. Jako student gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie musiał lekcyami i innemi pracami zarabiać, by pomódz rodzicom w utrzymaniu młodszego rodzeństwa; dola jego nie poprawiła się, kiedy poszedł do liceum preszburkiego na dwuletni kurs filozoficzny, bo i tam musiał zarabiać lekcyami na swe utrzymanie; we Wiedniu, jak już wiemy, musiał się znów z lekcyi utrzymywać, a przez 3 miesiące żył tylko o chlebie i wodzie.

Los jego pogorszył się jeszcze bardziej po ukończeniu studyów, zwłaszcza kiedy założył ognisko domowe, bo do zwykłych trosk i starań przybyła jeszcze troska o utrzymanie rodziny; ożenił się bowiem z wdową z trojgiem małych dzieci. Wprawdzie zdarzały się i pogodniejsze chwile w jego życiu, jak n. p. uznanie jego pracy poza granicami Śląska albo „oświadczenie ludu śląskiego“ z r. 1885., ale te pogodne chwile przyciemniały knowania i postępy jego otwartych wrogów, a najwięcej nieszczerść i chęć szkodenia ze strony narodowców cieszyńskich.

Ale pomimo tych przeszkód był on zawsze czynny i dążył wciąż do raz wytkniętego celu,

t. j. do uświadomienia narodowego Śląska; jego programem było: „Oświata ludu i obrona narodowości;“*) „łączyć polskich katolików i ewangelików Księstwa Cieszyńskiego w sprawach narodowych i politycznych, celem osiągnięcia równouprawnienia narodowego“**) było myślą przewodnią całej jego pracy. Zadanie to było bardzo trudne; dosadnie ocenił go sam Stalmach, kiedy mówi,***) że „siedzi wśród dwu wyznań jak na dwu stołkach, ewangelickim i katolickim. Ewangelik usiłuje wciąż swój stołek pod nim poderwać, aby upadł,“ „jest to nieszczęsne położenie dla redaktora, chcącego obie strony łączyć we wspólnej sprawie narodowej.“

Proroczy duch Stalmacha przewidział, że po jego śmierci nastąpi na Śląsku zupełny rozłam na polu wyznań i dlatego napominał on często ewangelików, domagających się korzyści tylko dla swego wyznania, i mawiał:†) „Póki redaktor Stalmach żyje, łączy on i nie przestanie łączyć obie strony w sprawach narodowych, ale po nim nastąpi pewnie rozdrożenie, bo przy waszych wymaganiach niepodobieństwem jest jedność; pójdą katolicy z osobna i są w stanie, wy ewangelicy pójdziecie też z osobna, a to odosobnienie wypadnie wam na szkodę.“

Praca Stalmacha nad uświadomieniem narodowemu Śląska nie da się jeszcze dzisiaj na-

*) „Gwiazdka C.“ 1884. (17. maja, str. 202).

**) „Gwiazdka C.“ 1883. (20 października).

***)) „Światło prawdy“, str. 25.

†) „Światło prawdy“, str. 16

leżycie ocenić, ale to możemy śmiało powiedzieć, że jego zasługi około naszej krainy są tak wielkie, „że najzaciętszy nawet jego przeciwnik,“ jak pisze Wład. Lud. Anczyc,*) „nie odważy się przeczyć, że lud śląski najwięcej zawdzięcza Stalmachowej pracy.“ Bez niego byłibyśmy bowiem albo Czechami albo „Ślązakowcami“. I dlatego nie przesadzimy, jeżeli podamy słowami ks. Świeżego**) ocenę zasług Stalmacha: „Nie będziemy wyliczali jego zasług na polu narodowem, bo komuż na polskiej ziemi nie byłoby znane imię Stalmacha? Któżby nie znał ożywiciela i wskrzesiciela Śląska, wielkiego męża, czczonego w świecie słowiańskim, owego męża, który całe życie swoje i wszystką swoją pracę poświęcił, aby obudzić lud śląski ze snu twardego i natchnąć go nowem życiem?“

Tak wszystkim nam znane imię tego Ślązaka z krwi i kości, o prawym i niezmażanym charakterze. Wszak on całą duszą ukochał tę śląską ziemię, ten lud śląski; wszak on pochodził z tego ludu, pracował z tym ludem i dla tego ludu, on z nim cierpiał i współbolał, on się z nim cieszył i radował: żadne uczucie tego ludu nie było mu obce, o czem świadczą szpalty „Gwiazdki C.“. On wychował nowe pokolenie, które dziś dzierży ster ziemi śląskiej, tak że spokojni możemy zawołać: „Duchu Stalmacha! Ty, który krążysz wciąż niespo-

*) „Wisła“, XXIV.

**) „Gwiazdka C.“ 1892, str. 5.

kojnie nad ukochanym Twym Śląskiem, którego ideje, wcielane przez dzielnych strażników kresowych i śmiało rzucane na zdrowe serca ludowe zginąć bezpłodnie nie mogą — bądź spokojny!“*)

*) B. Świda: „Odrodzenie Śląska“.



B.

Pamiętniki Pawła Stalmacha.





Część dzisiejszego Śląska, Księstwo Cieszyńskie, należała pierwotnie do tak zwanej Chrobacy, do której zaliczano także dzisiejszą Galicyę z Krakowem, głównie zaś dzisiejszą Słowaczną węgierską z częścią zachodnią Morawy; a więc kraje po obu stronach gór Karpackich, czyli chrobackich. Mieszkańcy tych krajów zwali się Chrobatami, właściwie według ówczesnej wymowy Hrbatami, jako mieszkańcy gór, bo góry te uważali za hrby, garby, hrbiety czyli grzbiety ziemi. Dawni Rzymianie nie mogąc wymówić nazwy: Hrbaty, przemienili ją na Kwady. — Później (w VII. w.) część ludności wyruszyła z rzeczonyj Chrobacy na południe i potomkami tych wychodźców są dzisiejsi Chorwaci albo Herwaci, Kroaci. Już w pierwszych wiekach po Chr. Kwadowie czyli Chrobatowie łącznie z Morawianami (Markomanami) i innemi ludami sławiańskimi walczyli przeciw Rzymianom, broniąc swej niepodległości. Urządzenia wojenne tychże Morawian i Kwadów na sposób rzymski świadczą, że już ówcześni przodkowie nasi doszli do pewnego stopnia oświaty. Łączyła ich także z południowemi, oświecańszemi krajami, Rzymianom podległemi droga handlowa, która się ciągnęła na północ do bałtyckiego morza, mianowicie po jautar (czyli

bursztyn). Rzymski pisarz Tacyt w I. wieku po Chrystusie opisuje gęste zaludnienie tutejszych okolic.

Po wielkich wędrówkach narodów teutońskich i azyatyckich, cisnących się z północy i wschodu do państwa rzymskiego, a uciskających słowiańskie plemiona (od IV. do VIII. wieku), powstało państwo wielkomorawskie, utworzone głównie z południowej Chrobacy (Słowaczyny) i Morawy. W skład jego wchodziła jednak i północna Chrobacya (dzisiejsza Galicya ze Śląskiem) jakoteż Czechy i inne plemiona słowiańskie, odpierając napór germański i biorąc udział w ówczesnym ruchu narodowym. W owym czasie światło nauki chrześcijańskiej, głoszonej przez św. Cyryla i Metodego w Wielkiej Morawii, przedostało się także w strony północne Karpat. Jest podanie, że uczeń św. Metodego Oslaw apostołował w tych stronach. Na ten wiek przypada też założenie miasta Cieszyna, mianowicie chroniści podają według odnośnych podań rok 810.

Rychło po upadku państwa Wielkiej Morawii (907. r.), skutkiem najazdu Madziarów a śnać jeszcze wcześniej, północni Chrobaci, zwani także Wielo-Chrobatami albo Biało-Chrobatami, zaczęli się łączyć z Polanami nad Wartą, między dolną Wisłą i Odrą: oba te szczepy zjednoczywszy się utworzyły Polskę. Od tego czasu Śląsk, jako część północnej Chrobacyi, należał do tejże Polski. Król Bolesław Chrobry (992.—1025.) zajął nawet południową Chrobację (Słowacznę) oraz Morawę i Czechy, chociaż

tylko na krótki czas. Wprzód ojciec Bolesława Chrobrego Mieczysław I. przyjął chrzest (965. r.) i nawrócił naród polski na chrześcijaństwo, pierwotnie według obrządku słowiańskiego, zaprowadzonego przez św. Cyryla i Metodego, a zatwierdzonego przez papieża, a później św. Wojciech rozpowszechnił obrządek łaciński.

Dzisiejsze Księstwo Cieszyńskie było wówczas kasztelanją polską; kasztelan miał siedzibę w grodzie cieszyńskim. Cały Śląsk podzielony był na kasztelanie jak wogóle inne części Polski. Nazwa „Śląsk“ jednak wtedy nie była rozpowszechnioną i oznaczała pierwotnie tylko okolicę nad rzeką Słezą około Wrocławia. Jeżeli bywa mowa o przynależności wówczas Śląska, a właściwie całej północnej Chrobacyi do Czech, polega to na hierarchicznym przydzieleniu tej krainy do dycezyi praskiej, które jednak było zgoła bez znaczenia.

Cieszyńska kasztelania ówczesna od samego początku należała do biskupstwa wrocławskiego, jako polskiego biskupstwa i co dziś nazywamy Śląskiem, nazywano ogólnie Polską, bo było częścią Polski. Śląsk podlegał od związków państwa polskiego znanych historycznie wprost królowi polskiemu z rodu Piastów.

Gdy zaś Bolesław III. Krzywousty podzielił Polskę między czterech synów, najstarszy z nich Władysław otrzymał krakowską i śląską ziemię, oraz zwierzchniczą władzę nad braćmi, którzy jednak, niechcąc jego zwierzchnictwu ulegać, wypędzili go z kraju. Władysław

ślaw udał się do Niemiec i później synowie jego za pośrednictwem cesarza niemieckiego otrzymali Śląsk w dziedzictwo 1163. r. Odtąd Śląsk pozostawał pod własnymi, samoistnymi książętami, Piastowiczami. Ci dzieląc swe dziedzictwo na coraz mniejsze księstwa, uznawali przynależność do Polski, a najściślejszą łączność z nią tworzyło arcybiskupstwo gnieźnieńskie, któremu podlegało także biskupstwo wrocławskie. Powoli książęta śląscy zaczęli się przechylać do Czech, naprzód pojedynczy i to potajemnie, potem w r. 1327. poddali się wszyscy królowi czeskiemu jako lennicy i nareszcie król polski Kazimierz W. 1335. r. zrzekł się praw swoich do Śląska, odstępując je Czechom. Chociaż książęta śląscy stali się lennikami czeskimi, jednak śląskie biskupstwo pozostało w łączności z polskiem arcybiskupstwem w Gnieźnie.

Przejście książąt śląskich pod koronę czeską nastąpiło głównie z tej przyczyny, iż się uważali za pokrzywdzonych i wykluczonych z dziedzicznych praw w Królestwie polskiem i szukali oparcia o potężniejsze państwo. Miało to jednak szkodliwe następstwa. Już dawniejsze wojny między Polakami a Niemcami wyniszczały i wyludniały Śląsk przeważnie Dolny. Następnie dolni książęta, mając więcej styczności z Niemcami, przechylali się do nich, przyjmowali ich mowę i obyczaje, a dla zaludnienia swych posiadłości sprowadzali kolonistów niemieckich. Skutkiem tego Dolny Śląsk rychło zniemczał. Górny Śląsk, położony między Czechami i Polską, zdołał silniej opierać się germanizacji,

zachował pod względem politycznym słowiańskość (język czeski stał się urzędowym) a pod względem kościelnym ocalała polskość pod opieką archidiecezyi gnieźnieńskiej. Tak w r. 1285. arcybiskup gnieźnieński znosi skargi do niektórych kardynałów, że przez sprowadzanie niemieckich osadników ludność polska bywa rugowaną ze swych siedzib, w prawach swoich ukracaną, uciskaną i pogardzaną, a Niemcy usuwają się nawet od pełnienia powinności dla Kościoła. Później nuncyusz w liście skarży się u papieża, że niemieccy osadnicy nie chcą płacić świętopietrza. Była też wśród ludności niechęć do połączenia się z Czechami, stąd stronnictwa czeskie i polskie, a zapewne wówczas powstały wyrazy: czechman i łachman.

Książęta piastowscy na Śląsku, aczkolwiek jako lennicy, byli pod zwierzchnictwem króla czeskiego, zarządzili swojemi ziemiami prawie samowładnie. W miarę jak wymierali przypadały ich księstwa koronie czeskiej według prawa lennego. Ostatnim z nich był książę Jerzy na Brzegu i Lignicy, zmarły 1675. r. Ostatni książę cieszyński z rodu Piasta, Fryderyk Wilhelm, umarł 1625 r., po nim panowała jeszcze jego siostra Elżbieta Lukrecya do roku 1653. Od czasu jej śmierci Księstwo Cieszyńskie stanowczo przeszło do korony czeskiej.

Za czasu tych książąt przynajmniej na Górnym Śląsku utrzymywała się stale narodowość polska. Kolonizacja niemiecka była tu mniejsza, z wyjątkiem Księstwa Nyskiego. Wprawdzie początkowo był językiem piśmiennym wyłącznie

łaciński aż do drugiej połowy XIV. w.; wtedy bowiem zaczęły się pojawiać także dokumenta pisane niemieckim językiem. Lecz od XV. wieku zapanował prawie wyłącznie język czeski jako urzędowy. Nazwiska licznej szlachty Księstwa Cieszyńskiego są w owym czasie zgoła polskie, rzadko poczeszczone. Za jej jednak staraniem, a to pod wpływem państwa czeskiego, ustanowiło prawo ziemskie, że rozprawy w sądzie ziemskim mają się odbywać tylko w języku czeskim lub jemu podobnym, a wyroki powinny być pisane tylko po czesku. Co do podobnego języka należy tu rozumieć język polski, jako powszechnie używany przez ludność miejscową. W dawnym kościele farnym w Cieszynie kazania były polskie, a gdy później dominikański kościół zamieniono na drugi farny kościół, w tym odbywało się nabożeństwo w polskim i niemieckim języku. W innych miastach i po wsiach Księstwa Cieszyńskiego, których ludność była całkiem polska (z wyjątkiem Bielska), mogło się nabożeństwo odbywać tylko po polsku.

Już pod piastowskimi książętami zachodziły na Śląsku, mianowicie w Księstwie Cieszyńskim, zmiany religijne. Naprzód wojenny husytyzm dał się Śląskowi odczuć. Husyci oszczędzali jednak Górny Śląsk, jako spokrewniony mową, a nawiedzali raczej mieczem ziemczony Dolny Śląsk. W sto lat potem rozkrzewił się protestantyzm w Księstwie Cieszyńskim, głównie za sprawą samego księcia Wacława Adama (1545.—1579.) i jego syna

Fryderyka Kazimierza. Księża katolicycy zostali wygnani, podobnie Dominikanie cieszyńscy, klasztor bernardyński w Cieszynie i benedyktyński w Orłowej zburzono, a dobra kościelne i klasztorne zostały zabrane. Wątpią jednak dziejopisarze protestanci, żeby książę Wacław Adam z synem swoim dokonał tego z gorliwości religijnej, pobudka była raczej materyalna. Księstwa śląskie rozdrabniały się przez podziały, a książęta żyli zbyt wystawnie. Książę Wacław Adam i jego syn obciążeni długami byli ciągle w kłopotach pieniężnych, więc zabranie dóbr kościelnych i klasztornych było im bardzo dogodnie. Wszakże i w Niemczech różni książęta głównie z tej przyczyny popierali protestantyzm, że mogli swe majątki pomnażać zabraniem kościelnych posiadłości. Do tego uprawniała niejako księcia Wacława Adama stworzona wówczas zasada: cuius regio, eius religio, komu kraj należy, tego religię muszą poddani wyznawać. Następca jego Adam Wacław (1579.—1617.) wkrótce potem zaczął zupełnie przeciwnie działać. Sam przeszedłszy na katolicką wiarę, powypędzał protestanckich kaznodziejów i nauczycieli, powołał katolickich księży, odebrał protestantom nadane przez ojca swego rprzywileje i wszystkie kościoły oddał znowu katolikom. I o nim mówi kronika, że nie czynił tego z przekonania religijnego, lecz z pobudek materyalnych. Pomimo publicznego przywrócenia katolickiej wiary, część szlachty z ludnością tajnie trwała w zaszczepionym protestantyzmie aż do cesarza Józefa II. -

Po wymarciu książąt piastowskich utrzymywał się na Śląsku aż do połowy XVIII. w. mniej więcej dawny stan rzeczy pod względem narodowym. W Księstwie Cieszyńskim cesarz Ferdynand IV. jako król czeski potwierdził także zachowanie języka czeskiego jako urzędowego. Liczna szlachta tutejsza bądź z przywyknienia do pokrewnego języka czeskiego, mniej jeszcze wówczas różniącego się od polskiej mowy, bądź z powodu przynależności do korony czeskiej, upornie broniła języka czeskiego, stwierdzając przez to swoją słowiańskość; mylnie więc i tendencyjnie niektórzy dzisiejsi poczytują ją za niemiecką. Dopiero w późniejszych czasach skutkiem różnych wpływów niemczyła ona, a zarazem wyprzedawszy swe dobra na korzyść kilku większych własności, znikła prawie całkiem. W kościele jednak dla ogółu ludności mógł być tylko polski język używany. Świadczą o tem i metryki kościelne, bo chociaż po łacinie pisane, w nazwiskach zachowywały pisownię polską. Gdy król pruski Fryderyk II. za cesarzowej Maryi Teresy (w wojnach 1740.—1763.) zabrał większą część Śląska, pozostały przy Austrii tylko Księstwo Cieszyńskie i części Księstw Opawskiego, Karniowskiego i Nysskiego. Fryderyk II. zniósł dawne urzędowne stanowisko na pruskim Śląsku, zatem ustał tam urzędowy język czeski, który na austriackim Śląsku dłużej się utrzymał. Zarazem Fryderyk II. nadał wolność ewangelikom. Wprzód już król szwedzki Karol XII. w pokoju altranstackim (1707.) wyjednał od

cesarza Józefa I. niejake swobody dla ewangelików śląskich, mianowicie 6 kościołów z łaski, z których jeden w Cieszynie. Cesarz Józef II. zaś patentem tolerancyjnym (1781.) rozszerzył wolność ewangelików w austriackich krajach, z czego i ewangelicy Księstwa Cieszyńskiego hojnie korzystali.

Od cesarza Józefa II. doznało pewnych ulg także włościanstwo. Odtąd jednak zaczyna się usilniejsza germanizacja tak w urzędach jak i w szkole. Co do szkół, takowe w Księstwie Cieszyńskim już od dawniejszych czasów istniały przynajmniej przy niektórych kościołach farnych, a mianowicie po miastach: uczono w nich według potrzeby po polsku lub czesku. Od czasu wprowadzenia OO. Jezuitów do Cieszyna utrzymywali oni tu szkołę łacińską, którą po rozwiązaniu tego zakonu (1773.) zamieniono na gimnazjum. Za cesarza Józefa II. zaprowadzono szkoły elementarne przy każdym kościele farnym i ustanowiono dla nich język czeski, a obok niego przyuczano także po niemiecku. W mieście Cieszynie jednak zaprowadzono niemiecką t. zw. normalną główną szkołę (1777.), przez którą najwięcej wzmagala się niemczyzna. Ewangelicy od chwili założenia swego kościoła w Cieszynie za Józefa I. mieli też swoją szkołę łacińską czyli gimnazjum, w którym między innemi uczono niemieckiego, polskiego i czeskiego języka, a od czasu cesarza Józefa II. pomnożyły się ich szkoły wiejskie.

Bacząc teraz już tylko na samo Cieszyńskie Księstwo, spostrzegamy tu następujące szczególne

objawy. Chociaż ludność tutejsza od początku znanej swej historii była polską i pozostała polską, a pierwotnie należała do Polski, przecież pod koroną Czeską zastosowała się snadno a lojalnie do używania języka czeskiego jako urzędowego, bo jako pokrewny był jej zrozumialszym i w ten sposób zachowała swoją słowiańskość. Przez związek kościelny biskupstwa śląskiego w Wrocławiu z polskim arcybiskupstwem gnieźnieńskim, który trwał aż do teraźniejszego stulecia, zaś podtrzymywany był język polski. Osobliwszy skutek odłączenia Śląska od Polski, a przyłączenia go do Czech, był ten, że Ślązak przestał się nazywać Polakiem, a Czechem nie chciał i nie mógł się nazywać. Na zapytanie: jak mówisz? odpowiedział: po polsku; lecz na dalsze pytanie: to jesteś Polakiem? zaprzeczał: nie, jestem Ślązakiem. Przyczyniła się do tego pewna odrębność Śląska między Polską i Czechiją, zwłaszcza pod niemal udzielnemi książętami piastowskimi. Gdy dlatego Ślązak nie poczuwał się do jedności z Polską, a z Czechami się nie zrósł, przytłumione zostało w nim poczucie narodowości polskiej. Zaczęło się ono budzić dopiero przez narzucanie niemieczyny ludowi niezrozumiałej i dlatego wstrętnej, która od czasów józefińskich zapanowała. Odtąd częściej od Ślązaków, przynajmniej oświeceńszych, słyszeć się dało: my Polacy. Wreszcie ogólny ruch narodowy europejski przyczynił się do rozbudzenia ducha narodowego między polskimi Ślązaki, mianowicie

też w Księstwie Cieszyńskim. Po siedemsetletniem oderwaniu od całości narodu polskiego łączą się oni napowrót z tą całością węzłem wspólności pochodzenia i języka.

Nauki i wychowanie.

Z przeszłości wynika teraźniejszość. Przeszłość Księstwa Cieszyńskiego pozostawiła widome ślady na jego ludności: w mowie, obyczaju, ubiorze, usposobieniu umysłowem nawet i w wierze. Mimo ogólnej cechy słowiańskości, polskości i nawet śląskości, lud Księstwa Cieszyńskiego ma pewne piętno, które go znacznie od otaczających go sąsiadów, nie tylko od Morawiaka i Słowaka, ale też od galicyjskiego Polaka i zgoła także od pruskiego Górno-Ślązaka odróżnia. Pod wpływem nauki i wynikającego stąd wychowania najwięcej uwytłumiała się ta odmienność w charakterze Cieszyńsiaka późniejszych czasów. Rzućmy tu okiem na czasy przed 1848. rokiem, a mianowicie jaką była nauka i wychowanie ludu wówczas i jakie środki przysługiwały do tego.

Co do nauki, podaję za przykład, jak mnie uczono. Miejscem urodzenia mego były Bażanowice pod Cieszynem, gdzie ojciec mój był sprawcą na arcyksiążęcym dworku pod numerem 13. a dzień mego urodzenia jest 13. sierpnia 1824. (Liczby, dwie trzynastki, uchodzą w kabalistyce za nieszczęśliwe; snąc dlatego i mnie życie nie miało być różami

wysłane i było potrzeba łać się z losem.*) W szóstym roku mego życia zaczął ojciec uczyć mnie czytania w wolnych chwilach lub wieczorami, a matka przez dzień powtarzała ze mną zadanie. Do tego służył czeski ślabikarz (elementarz) z kogutkiem na ostatniej stronie, który za dobre spamiętanie zadania dziennego zniósł przez noc krajcar dla ucznia. Po ślabikarzu „czeskim“ nastąpił „polski“ Nowy Testament zamiast książki do czytania. Był to zapewne skok wielki według zasad pedagogicznych, ale tak bywało wogóle. Przytem ojciec nauczył mnie pisania na tabliczce liter szwabaskich, bo też tak był nauczony. Prawie powszechnym było wówczas zwyczajem, nauczyć dzieci w domu przynajmniej abecadła, aby potem nauczyciel w szkole nie miał z niemi tyle trudu i żeby tylko dalszą nauką mógł się zajmować. Pierwszym więc nauczycielem dziecka w domu był albo ojciec, albo matka lub babka albo starsze dziecko albo też jaka stara sąsiadka, do której dziecko chodziło. Miało to swoją przyczynę, iż nie było zadosyć szkół i trudno było drobne dzieci do odległej posyłać szkoły, a rodzice dbali, żeby dziatwa przynajmniej na książkę nabożnej czytać mogła. Uczono zaś tak: pokazano dziecku kilka liter, a ono musiało powtarzać: a a a, be be be, ce ce ce i t. d. aż znaki i nazwy ich spamiętało. Potem dalej zgłoskowano w czeskim ślabikarzu: o te ot, ce e ce, otče, ge (je) e en že, genž (jenž)

*) Stalmach zmarł d. 13. listopada 1891, a więc znowu trzynastka.

ge (je) es y, gsy i t. d.; w czem zachodziła trudność dla dziecka nie tylko złożenia zgłoszek, ale też niezrozumienia wyrazów. Następnie przejście do polskiego czytania w polskim Testamencie wymagało także natężenia umysłu dzieciennego, ale przecie udawała się taka mechaniczna nauka.

Z Bażanowic przeniósł się ojciec mój na dworek także arcyksiążęcy w Pogwizdowie. Gmina pogwizdowska jest katolicką, ale około tego dworku było kilku chałupników ewangelickich. Ci mając dzieci, posyłali je do mnie na naukę; w siódmym tedy roku mego życia już uczyłem je czytania w czeskim ślabikarzu i polskim Testamencie, tak samo jak mnie ojciec nauczył. — Jeden z tych uczniów moich, w trzydzieści lat później, gdy równocześnie ze mną został presbyterem zboru ewangelickiego w Cieszynie, głośno świadczył przed licznym zebraniem, że byłem jego nauczycielem. — Sprzykrzyło się jednak ojcu w arcyksiążęcej służbie i wkrótce przeniósł się do miasta Cieszyzna. Głównie jednak skłoniła go troskliwość ojcowska o mnie i młodsze rodzeństwo; pragnął bowiem, żebym się dalej uczył w cieszyńskiej szkole, a środków do tego nie było. W mieście utrzymywał rodzinę z poselki t. j. służył za posła urzędowi i kupcom, gdyż dostatecznych poczt jeszcze nie było. Matka zarabiała praniem bielizny.

Niektórzy pisarze dzisiejsi nazywają mnie nauczycielem. Tak n. p. w dziełku wydawnictwa „Przeglądu Tygodniowego“ w Warszawie pod tytułem „Śląsk austriacki“ 1888.

ogłoszonem, między którego współpracownikami wymienieni są dr. Andrzej Cinciała i dr. Jan Bystron, nazwano mnie „biednym nauczycielem“. Jest w tem namacalnie coś tendencyjnego, bo i prócz tego w rzeczonym dziełku jest wiele umyślnych fałszów. Nie wiem, czy za to, iż już w siódmym roku życia mego sąsiedzkie dzieci w Pogwizdowie uczyłem abecadła, śmiem być nazwany nauczycielem. Prawda, że i później podczas nauk w gimnazjum, na filozofii i teologii utrzymywałem się głównie z lekcyj, a więc z uczenia, ale co się zowie rzeczywistym nauczycielem nie byłem. Zresztą i redaktorstwo uważałem za nauczycielstwo, bo tem ono powinno być dla ludu, lecz pewnie z tego powodu nie obdarzono mnie owym tytułem.

Szkoły ludowe.

Od czasu cesarza Józefa II. były przynajmniej przy każdym kościele szkoły elementarne. Zaczęła się jednak usilniejsza germanizacja i dlatego w znaczniejszych miastach założono niemieckie, normalne, główne szkoły; takowa była też w Cieszynie. W inszych szkołach nie można było zaprowadzić niemczyzny i dla tych przepisany był język czeski, obok którego przyuczano też po niemiecku, chociaż z niewielką korzyścią. Katolicy z powodu, że rząd był katolicki, stosowali się ściślej do przepisu rządowego, co do języka czeskiego i dzieci uczyły się na czeskich książkach. Ewangeliści biorąc wzgląd na polską mowę ludu, postępowali racjonalniej; używali wprawdzie też swego czeskiego elementarza (śląbikarza) lecz zamiast dalszej książki czeskiej do czytania służył zaraz polski „Nowy Testament“ i katechizm był polski. Dlatego też obok czeskiego i niemieckiego pisma (current) uczyli pisać po polsku łącin-

skiem literami. Dla kształcenia nauczycieli był półroczny kurs (preparanda) przy normalnej szkole w Cieszynie, odbywany w godzinach pozaszkolnych, na który normaliści i gimnazjaliści uczęszczali.

Niemiecka normalna główna szkoła w Cieszynie miała ujemne strony. Dzieci nie mogły wiele korzystać z niemieckiej nauki; marnowały lata, nim zdołały przywłaszczyć sobie jako tako niemiecki język. Z tej przyczyny mieszczenie posyłali swe dzieci raczej do pokątnych szkół, gdzie się po polsku lub czesku czytać i pisać nauczyły, by mogły na książce nabożnej czytać i miano swe podpisać. Najbliższe wsi około Cieszyna, przynależne do parafii cieszyńskiej, z powodu niemieckiej głównej szkoły stały ogółem niżej w oświecie, aniżeli odleglejsze gminy, w których przynajmniej po czesku uczono. Jednakże w wiejskich szkołach katolickich nauka czeska też nie mało tamowała rozwój umysłowy. Ewangelickie szkoły wówczas uznawano powszechnie za lepsze, na co składało się nie tylko to, że w nich uwzględniano język polski, ale zwłaszcza też, iż nauczycielami byli zwykle ukończeni gimnazjaliści, kiedy katolicy nauczyciele większą częścią wychodzili ze szkoły normalnej. Bez wątpienia, kto ma nauczać, musi sam mieć więcej nauki. Z tej przyczyny ewangelickim szkołom nawet katolickie powagi przyznawały pewną wyższość. I ówczesne ewangelickie szkoły mogłyby nawet za wzór posłużyć dzisiejszym, tyle wychwalanym tak ewangelickim jak katolickim szkołom,

które zrównane jednakowym systemem nie różnią się wcale jak dawniej pod względem swej wydajności. Za dowód mogłyby posłużyć t. zw. probszryfty do egzaminów, jeżeli pozostawiono je w archiwach; takich kaligrafów nie wydaje ani dzisiejsza realna szkoła. Dlatego zaś, a zwłaszcza dla polskiej nauki byli ewangelicy lepiej przygotowani do następnego ruchu narodowego, który jednak u nich przeciwnym wpływem zwichnięty został na błędną drogę, jak to później uwidzimy. Narodowość polska przez taką mieszaninę językową w szkołach naturalnie musiała wiele ucierpieć.

Miasta usiłowano zniemczyć przez t. zw. szkoły główne, lubo z małym pożytkiem dla oświaty i postępu. Szlachta i inteligencja Niemczyła przez wyższe szkoły. Lud, bałamucony czeskim językiem w szkole, zapominał, że jest polskim. Wmawiano do niego już to, że Śląsko należy do Niemieckiej rzeszy albo do Królestwa czeskiego lub do Morawy (gubernii morawskiej). Dlatego na zapytanie: jak mówisz? często odpowiadał: po morawsku, zamiast: po polsku. Już dawniej Ślązak przestał nazywać się Polakiem, ponieważ Polska o niego się starała. Pomimo tego obalamucenia, że Ślązak nie wiedział, czym jest, lubił on jednak swój polski język i w mowie jego ocalała choć słaba isierka poczucia narodowego, która się w następnych pomyślniejszych czasach rozetlić mogła. Podtrzymywany też był język polski przez Kościół nabożeństwami polskimi, aczkolwiek często przyjmowani księża z Morawy

wszczepiali czeszczyznę. Nie dziw, że język polski na Śląsku ma niektóre naleciałości czeskie i niemieckie: stosunkowo nie są one jednak tak mnogie, jak przyjęte w nowoczesnym języku piśmiennym obce wyrazy. Więcej uderzać mogą w śląskiej mowie staropolskie i nawet starosłowiańskie wyrażenia i zwroty. Nad tem uśmiechają się czasem dzisiejsi Polacy, a Niemcy tem chętniej nazywają go zepsutym językiem polskim. Znawcy atoli poczytują go za najlepszy między dyalektami polskimi i pewnie on jest lepszy, niż n. p. mowa ludu w okolicy Krakowa. Ślązak nie mazuruje, mówi czysto; mowa jego jest staropolska, zgola taką, w jakiej Kochanowski i jemu spółcześni pisali. Lud odznacza się zachowawczością, a lud śląski, pozbawiony wyższych warstw społecznych przez zniemczenie tychże, zachował przeto swój staropolski język. Mimo zaprowadzenia szkół niemieckich i urzędowania niemieckiego germanizacya wówczas nie postępowała tak gwałtownie, jak to dzisiaj się dzieje. Mieszczaństwo cieszyńskie było aż do roku 1848. prawie całkiem polskie. Świadczy o tem także Niemiec co się zowie i świadectwo jego przeto tem ważniejsze: Karol Schneider rodem z Bielska był pastorem, a następnie piastował godność seniora i w końcu superintendenta, znany zarazem jako poseł do Sejmu i Rady państwa, wydał w niemieckim języku 1880. r. swój życiorys p. t. „Opowiadania staro-pastora z jego żywota“, i tu mówiąc o swoich naukach w Cieszynie (1813.—1817. r.) powiada: „Ojciec mój wysyłając mnie do Cie-

szyna dał mi napomnienie, które i w listach często powtarzał: ucz się po polsku! Cieszyn był wtedy polskim miastem, niemal we wszystkich familiach mówiono tylko po polsku, moje otoczenie zmuszało mnie do polskiej rozmowy, oddychałem polskiem powietrzem i brałem prywatne lekcje języka polskiego. Było mi to później ku wielkiemu pożytkowi.“ Tak bywało zgoła aż do 1848.; chociaż bez głębszego poczucia narodowego u ludności; utrzymywała się jedynie polska mowa.

Chociaż i w wiejskich szkołach przepisana była nauka niemieckiego języka, nie gwałcono do niej jak dzisiaj. Ojciec mówił: mój synek nie pójdzie w świat, co jemu tu po niemieckiej mowie, a dziewczucha wcale niemieckiego nie potrzebuje. I nie męczono dziecka, aby mu parę wyrazów niemieckich wbić do głowy, uważając to słusznie za rzecz nadaremna; a gorliwi nawet germanizatorowie nie odważyli się jeszcze na surowsze środki.

Gimnazya.

Były w Cieszynie dwa gimnazya, katolickie i ewangelickie. Katolickie gimnazjum było urządzone według ogólnego wzoru ówczesnych szkół gimnazjalnych w Austrii. — Ewangelickie gimnazjum odróżniało się obszerniejszym planem naukowym, zbliżonym do programu dzisiejszych gimnazjów i oprócz tak zwanych humaniorów wykładano w niem dość obszernie fizykę, historję naturalną i t. p. Dawniej

to gimnazjum zwało się teologicznem i uczono w niem języków: łacińskiego, greckiego, niemieckiego, polskiego, francuskiego i hebrajskiego; więc uczniowie, chcący się poświęcić teologii, mogli udać się wprost do fakultetów teologicznych przy uniwersytetach w Niemczech. Urządzenie tej szkoły jednak zawisło od środków częstokroć nie wystarczających, i przeto nie dopełniało ono zawsze zakreślonego zadania swojego.

Temu gimnazjum poświęcę osobne słowo dla kilku przyczyn, a zwłaszcza też, że w niem pobierałem nauki. Dzisiejszy długi dom naprzeciwko głównej bramy kościoła ewangelickiego, zwany stare gimnazjum, mieścił w sobie pięć klas i trzy mieszkania dla profesorów, oprócz tego kilka pokojów dla zbiorów naukowych. Owe 5 klas stanowiły razem szkołę ludową i gimnazjum pod wspólną dyrekcją. Każda klasa miała dwuletni kurs, to znaczy, uczniowie pozostawali w nich po 2 lata, a zatem 5 klas zastępowało 10 klas, mianowicie 4 klasy szkoły ludowej (początkowej) i 6 klas gimnazjalnych. Podział zaś tych klas był następujący: 1. klasa przygotowawcza, zwana z niemiecka Vorbereitung, w której uczono czytania najprzód w czeskim elementarzu, potem w polskim Testamencie, oraz w niemieckim elementarzu (Namenbüchlein), tudzież pisania po polsku i po niemiecku, początkowych rachunków, katechizmu w polskim języku i wokabuł niemieckich; 2. pierwsza klasa, w której zwykłych przedmiotów uczono po pol-

sku, a obok tego przyuczano niemieckiego języka; następnie 3. druga klasa stanowiła pierwszą i drugą klasę gimnazjalną; 4. trzecia klasa zaś trzecią i czwartą klasę gimnazjalną, a 5. czwarta klasa była piątą i szóstą klasą gimnazjalną. Takie były nazwy wszystkich klas, jak powiedziano, dwurocznych. Właściwie więc były w jednym roku tylko: pierwszy rok klasy przygotowawczej i klasy pierwszej, tudzież pierwsza, trzecia i piąta klasa gimnazjalna; a w następnym roku: drugi rok klasy przygotowawczej i klasy pierwszej, oraz druga, czwarta i szоста klasa gimnazjalna. Przyczyną tej niedogodności był brak funduszków, a nieraz brak nauczycieli, których pastory zastępować musieli. Znajduje to gimnazjum często pochwały, że w niem pielęgnowano język polski. Pochwały te jednak wypada trochę ograniczyć, a to na dawniejsze czasy, gdy ewangelickie stany śląskie, uznające potrzebę polskiego języka, troszczyły się o ten zakład i tenże był przeznaczony dla ewangelików śląskich, Polaków. Skoro zaś ta szkoła przeznaczoną została dla ewangelików austriackich wogóle i rząd jej udzielał choć małej zapomogi, przeważały dążności germanizacyjne; wtedy nauka języka polskiego ograniczoną została tylko na dwie godziny tygodniowo w tak zwanej drugiej klasie, t. j. pierwszej i drugiej gimnazjalnej, i ta nauka nie była już właściwie nauką języka polskiego, lecz tylko wprowadzaniem do niemieckiego przez tłumaczenie z polskiego na niemiecki język z podręcznika „Pohlsfussa“. Lecz

i to było niejako korzyścią dla uczniów, że im przecie coś z polskiej mowy się dostawało, którą dopiero w wyższych klasach zapominali.

Gimnazjum to, mimo nadmienionych niedogodności, a zwłaszcza częstego braku lub też zmiany profesorów, którzy jako teologowie przyjmowali tu posady tymczasowo, a starali się raczej o pastorstwa, było we wielkim poważaniu u ewangelików austriackich, a mianowicie czeskich i morawskich, którzy tu swych synów posyłałi. Był Cieszyn dla nich tem, czem był dla wielu galicyjskich Polaków węgierski Podoliniec. Było ono cenione nad inne gimnazya, co nawet katolicy ślascy często uznawali: a osobliwie z powodu obszerniejszego planu naukowego i polskiego języka przynajmniej w niższych klasach potrzymanego. Skutkiem polskiej nauki w tem gimnazjum było też, że ludność ewangelicka zdolniejsza była do czytania, i przez to do oświecania się za pomocą mowy macierzyńskiej, niż katolicka, która w czeskim języku uczyć się musiała. Pamiętam o sobie, jak w niższych jeszcze klasach miałem upodobanie w układaniu wierszyków polskich, które starsi studenci podchwytywali, ale w wyższych klasach niemieczyzna przygłuszyła to zamięłowanie. Dowód to, jak wielkie szkody wyrządza Słowianom germanizacja w szkołach, bo przytłumia poczucie narodowe, tworzy renegatów, któremi powiększa zastęp Niemców i robi z nich awangardy do gnębienia słowiańskich plemion. Od takiego szkodliwego wpływu nie można i ówczesnego

ewangelickiego gimnazjum zupełnie oczyścić. Młodzież uczęszczająca do tego gimnazjum była we większej części ubogą. Dawna bowiem szlachta ewangelicka znikła, a można powiedzieć, pod wpływem niemieckiej kultury: arystokracja między tą młodzieżą synowie którego z pastorów lub jakiego kupca obcego; zresztą byli chłopscy synkowie. Ci ostatni nawet w najwyższych klasach chodzili w wiejskim ubraniu, gdyż ojciec rzadko pozwolił swemu studentowi na sprawienie kabata. Utrzymanie takiego studenta nie było kosztownem; ojciec przynosił mu ziemniaków, szperki, bochenek chleba, czasem kawałek mięsa, które gotowała gospodyni, utrzymująca takich studentów, a za mieszkanie płaciło się kilka reńskich szajnow. Tacy uczniowie wychodzili za nauczycieli lub do służby ekonomicznej na Śląsku, a często do Galicyi; niektórzy też powracał na gospodarstwo ojcowskie.

Poza nauką szkolną miała ta młodzież różne wygody dla zabawy. Dawny plac kościelny był zasadzony alejami lipowymi, ale za moich czasów wycięto je, jak powiadano, za przyczyną nowego pastora Kłapsi, który, będąc głuchym, chciał widzieć, co się na placu dzieje. Plac оголоcony stał się bardzo dogodnym dla rozrywek studenckich. Z początkiem wiosny oprócz gry w koblą, gnypy i kiczki główną zabawą była gra w piłkę. Uważam, że dla zdrowia i giętkości sił młodzieży daleko pożyteczniejszą jest gra w piłkę, niż dzisiejsza gimnastyka i o tem mianoby przy żadnem za-

kładzie nie zapominać. Drugą przyjemnością też bardzo pożyteczną było kąpanie w lecie. Rzeka Olza wówczas miała więcej wody, i liczne głębiny a nie niebezpieczne. Kąpano się po trzy i cztery razy przez dzień i rzadko był taki między nami, któryby się nie nauczył sam dobrze pływać. I tego nie zdołają wynagrodzić dzisiejsze pływalnie, nadto opłatą utrudnione. W zimie ulubioną była ślizgawka na łyżwach, a do domowej rozrywki po załatwieniu się z zadaniami szkolnemi, służyły gry w młynek i damę (warcaby). O rozpustnych wybrykach, jakie się między dzisiejszymi studentami zdarzają, nie było słyseć. Doglądali też na to profesorowie.

Obok nauki domowej i szkolnej, jakież było wychowanie w domu? Podaję przykład z własnego życia. — Skoro nauczyłem się czytać, brał mnie ojciec zawsze ku sobie, kiedy sam czytał z biblij lub postylli, albo śpiewał z kancyonału; przy tem często pytał mnie, abym pokazał, gdzie stanął w czytaniu, a to dla przekonania się, czyli uważam; nadto starał się objaśnić trudniejsze miejsca. Takie nabożeństwa domowe odbywały się nietylko w niedziele, ale niemal codziennie wieczorami. Inni domownicy posłuchali czytania albo śpiewali razem. Modlenie się poranne, obiadowe i wieczorne było świętem przykazaniem. — Stół, ustawiony w głównym rogu izby, uważany był za święte miejsce i nie wolno było nań coś mniej czystego położyć. Okruszynę chleba lub innego jedzenia upuścić, było grzechem, bo mogła

jeszcze domowemu zwierzęciu być na pożywienie. Ogień był w poszanowaniu prawie zabobonem, bo go miano za jakąś nadprzyrodzoną istotę i obchodzono się z nim z wielką ostrożnością. Wśród takiego pożycia domowego zaszczepiała się mocno pobożność w sercu. Gdy po ukończonym dwunastym roku przyjęty do konfirmacyi przystępowałem do świętej komunii pamiętam, z jakim nabożnem uczuciem i skruszeniem to czynilem. Zapewne w tym względzie przykład domowy ma większe znaczenie, niż nauka szkolna. Ujmą zaś to zaiste, gdy dziś przez naukę szkolną rozwalnia się często pobożność domową, jak świadczą często narzekania na liberalne urządzenie szkół. — O tymże czasie straciłem młodszego brata Janka. W sobotę po południu poszedłem z kolegą do jego rodziców na wsi; w niedzielę rano powracając o godzinie siódmej, słyszę od innych kolegów, że mój brat umarł, którego opuściłem zdrowego. Umarł on na cholere, która pokazała się w Cieszynie. Żał mi go było okropnie, wyszedłem na górę (strych) i tam przez cały dzień płakałem nic nie chcąc jeść. — Po pogrzebie uczulem i ja jakąś słabość; matka w strachu bieży ze mną do doktora, który coś przepisał; ale mnie na rynku zawoniały ogórki, proszę matkę i ona mi kupiła ogórek i wody ogórczanej, a zostałem zdrow. Powiadają, gdy się czegoś zachce, jest ku zdrowiu. Jest to jednak zagadką dla lekarzy.

Wieczorami, zwłaszcza zimowemi, były „prządki“. Prządło się len na płótno, nie tylko

dla domowej potrzeby, ale i na sprzedaż. Zebrały się często sąsiadki, opowiadały klechdy (baje) i niejedna zaśpiewała jaką piosnkę ludową.

Taka zabawa na prządkach miała prawdziwie coś poetycznego w sobie, czego dzisiejsi nie znają. Przędły nie same kobiety, ale i ojciec, kiedy nie miał innego zatrudnienia i ja musiałem zadaną liczbę pasm uprząść. Było bowiem płóciennictwo wówczas zyskowne. Siedziało się do 10. godziny wieczór i dłużej, a rano już o godzinie 4. wszyscy wstali znowu do przędzenia. W ten sposób przyzwyczaiłem się na całe życie do pięciogodzinnego tylko spania. Gdy jednak zacząłem zarabiać sobie odpisywaniem „wokabul“ i „geszprechów“ niemieckich dla słabszych spółuczniów, uwalniano mnie od przędzenia; w późniejszych latach pomaganiem spółuczniom w zadaniach zdołałem nawet zarobić sobie na odzież. Wtedy podczas lata już o 3. godzinie z rana wychodziłem z książką na poblizki pagórek, a było kilku pilniejszych kolegów, którzyśmy w tak wczesnem wstawaniu spółzawodniczyli; powróciwszy do domu, siadałem do piśmiennych opracowań.

Nieraz, gdy matka była bardzo zajęta, musiałem zaopatrzyć młodsze rodzeństwo i objad ugotować, i tu z książką w ręku przystawiałem i odstawiałem garnki na ognisku. Gdy rodzice wyszli na zagon najęty, by sadzić, okopywać i kopać ziemniaki, pomagałem także motyką i od innej pomocy nie usuwałem się. Począwszy od pierwszej klasy ludowej do szóstej gimnazyalnej byłem choralistą t. j. śpie-

wakiem na chórze w kościele, z czego miałem także niejako wsparcie na swoje utrzymanie. Nie płynęły moje lata gimnazjalne w rozkoszach, lecz przyzwyczaiły do pracowitości i chroniły od próżności, a przytem były wesołe i napełnione przyjemnymi wspomnieniami przyjaciół i uznania od profesorów. Do jednej rzeczy nie zdołano mnie nigdy skłonić, to jest do „sztyfelpucerstwa“ czyli czyszczenia obuwia i odzieży profesorom lub bogatszym studentom, o co się inni koledzy nawet z wyższych klas radzi ubiegali. Dla pedagogów godzi się może następująca uwaga. Pamiętam, gdy miałem 7 lat, poznałem raz ojca w odległości blisko o kilometr, jak prowadził chłopów na jakąś wartę; było to snadź dla kordonu przeciw cholerze w 1831. r. Przytaczam to wspomnienie na dowód, że wtedy miałem bardzo dobry wzrok. Za 5 lat później, gdy byłem drugi rok w tak zwanej pierwszej klasie ewang. gimnazjum, czyli w ostatniej klasie szkoły ludowej, jako premiant siedziałem w pierwszej ławce pierwszy, jednakowoż wychodziłem z ławki, by z tablicy naprzeciwno, a blisko stojącej odpisać zadanie. Nauczyciel mniemał, że czynię to ze swawoli, lecz przekonał się, że tak blisko nie dowidzę. Tak zepsuł się mój wzrok jedynie przez zbytne nachylanie głowy przy czytaniu i pisaniu, do czego dzieci zwykle są skłonne. Rodzice pozwalają na to z niewiedomości, a nauczyciele grzeszą, iż na to nie zważają. Później z tego powodu czyniłem nieraz nauczycielom wyrzuty, a gorszyło mnie,

że nawet w seminariach nauczycielskich o to nie dbają. Oprócz oczu psują tu sobie dzieci także piersi, gdyż je mimowolnie skurczają, nachylając się do książki lub pisma, ale optycy mają pewnie większy zysk, gdy dziś widzimy tyle malców, noszących już okulary.

Jeszcze słowo o nauce w szkole, szczególnie w gimnazjum ewangelickiem, w którym często uczuć się dał brak nauczycieli. Jak więc czasem znaczenie tego gimnazjum się wznosiło, tak czasem się zniżało. Tak mnie się zdarzyło, że jak postępowałem od klasy do klasy, zarówno ze mną awansował profesor Kajzar, był więc moim nauczycielem 6 lat, nie ledwo z małą przerwą, i jako szczególny pedagog godzien jest osobnej wzmianki. Kiedy byłem w drugiej klasie (t. j. pierwszej i drugiej gimnazjalnej), on romansował z swoją narzeczoną, córką nauczyciela t. z. pierwszej klasy, mieszkającego na piętrze ponad klasami. Zazwyczaj przybywał do klasy mało co przed trzecim kwadransem, wtedy jeszcze kazał: *„leset Euch einmal durch“* (przeczytajcie sobie zadaną lekcję) na co zgola nie było czasu, gdyż zadane były 2 lub 3 stronnice; tymczasem przeszedł się parę razy około ławek, nawołując schylających się uczniów: *grad sitzen!* co jedynie było od niego dobrem. Potem wsiadł do katedry i mówił: *prodibit et respondebit seu dicet nobis aliquid scilicet nempe sequens.* Wywołał czterech lub pięciu i szczęściem było dla nich, gdy umieli powiedzieć lekcję jak z młynka; który nie umiał, ten musiał usłyszeć:

apage nequissime! i już wiedział, co go czeka. Dochodziła też godzina, więc zadał tylko znowu dwie lub trzy stronnice. Wykładu nie było, i gdy sam mało jeszcze po niemiecku rozumiałem, trudno mi dziś pojąć, jak mogliśmy się po 2 i 3 stronnice na każdą godzinę nauczyć. Było tylko ćwiczenie pamięci bez wielkiej korzyści dla wiedzy. Na końcu lekcji profesor kazał: „*Kassahalter geh um den Kalefaktor!*“ Kassahalterem był zwykle pierwszy premiant, a zwał się tak, że oprócz cielesnej były także pieniężne kary, które on od skaranych wybierał. Taką godność piastowałem także, odbierałem dyktowane krajcary za błędy w pisanych zadaniach, a osobliwie za sygnę czyli za przemówienie po polsku. Dochody te przeznaczone na krede i hubkę oddawałem co sobota profesorowi. Kalefaktorem zaś był student z najwyższej klasy, zwykle tęgi chłopak, który oprócz palenia w piecach i wymiatania klas był wykonawcą cielesnej chłosty. Ten powołany przychodził z trzcina i wymierzył każdemu winnemu nakazane plagi. W drugim roku drugiej klasy zdarzyło się jednak, że u wachtarza kościelnego było wesele, a mieszkający tam studenci wzięci byli też ku muzyce; profesor Kajzar wykonał na nich straszną egzekucję przez kalefaktora, tak iż niektórzy zachorowali; wtedy profesor Kajzar otrzymał nagane od eforów i odtąd nie postępował już tak surowo. W trzeciej (t. j. trzeciej i czwartej gimn.) klasie byli profesorami Fukala i Glatz, ci wykładali porządnie przedmioty, co nam ułatwiało naukę;

lecz po kilku miesiącach Fukala umarł, a Glatz odszedł do Preszburga, za nimi postąpił znowu profesor Kajzar i była znowu pamięciowa tylko nauka. We czwartej (t. j. piątej i szóstej gimn.) klasie zastępowali pastorowie brakujących profesorów. Pastor Andrzej Żlik miał łacinę, grekę, geometryę i algebrę; pastor Gustaw Kłapsia religię, historię, geografję. Ci wykładali swoje przedmioty tak jasno i wyczerpująco, że uważnemu zgoła nie było trzeba uczyć się na pamięć i zastanawiałem się, na co nam książki, kiedy z wykładu ich wszystko dobrze wiemy. Ale profesor Kajzar już też za nami częściowo postąpił, bo otrzymał fizykę, retorykę, niemiecki i francuski język. Tu tyle dodać mogę, że głównie wymienionym pastorom wszyscy ówczesni koledzy zawdzięczamy, iż się nam głowy uwolnione od pamięciowych ćwiczeń otworzyły i dopiero więcej do myślenia się usposobiły. Dowód to, jak wiele od wykładu i zdolności nauczyciela zależy. Przez wykład pastora Żlika upodobał mi się szczególnie język grecki, poświęcałem dla niego osobliwą pilność i przy egzaminach, gdzie były w zwyczaju deklamacye, deklamowałem raz ustęp z Iliady Homera, za co przytomny dyrektor szkoły normalnej ks. Potiorek pochwalnie dla mnie się wyraził.

Fierwsze objawy narodowe w gimnazyum ewangelickiem.

Między młodzieżą, z którą ja razem w klasach postępowałem, było dosyć bystrzej-

szych umysłów. Doszedłszy do czwartej (t. j. piątej i szóstej gimn.) klasy, pod wpływem wykładu pastorów pobudzeni do samoistnego myślenia, zaczęliśmy sami nad własnem wykształceniem pracować, rozumie się jednak, w duchu niemieckim. Schodziło się nas kilku wieczorami i utworzyliśmy między sobą t. zw. „Gelehrtenverein“ (towarzystwo uczonych). Śmiesznem to może się komu wydawać, ale dla nas ta zabawka była korzystną, bo bawiliśmy się czytaniem różnych autorów wprawdzie niemieckich tylko, i opowiadaliśmy sobie zdania o tem, cośmy czytali. Ja wówczas umiałem Szyllera niemal na pamięć i na zapytanie mogłem zacytować, gdzie które słowa Szyller powiedział. Oprócz tego bawiliśmy się śpiewem, śpiewając wówczas pieśni niemieckie, polskie i czeskie, bez względu na cechę narodową i utworzyliśmy także kapelę, złożoną z różnych instrumentów wypożyczanych z archiwum kościoła. Przed nami i po nas nie bywało takiego ruchu umysłowego w tem gimnazjum. Tak upłynął pierwszy rok czwartej klasy. Podczas następnych wakacyj zacząłem więcej rozmyślać nad swoją przyszłością. Miałem nieprzewycięzoną ochotę do dalszych nauk, ale środków nie było. Wśród takiego rozmyślenia rozważyłem, że jedynie możliwem byłoby dla mnie udać się na teologię. Zabrałem się więc do niezbędnej do teologa konieczności, do czytania biblij polskiej; ale chociaż dawniej z ojcem ją może kilka razy przeczytałem, spostrzegłem, że mi teraz czytanie i rozumienie

jej idzie trudniej. Tyle sprawiła niemiecka szkoła. To zaś pojąłem już, że wobec polskiego ludu trzeba umieć władać polskim językiem. Było to w roku 1842. Gdy więc po wakacjach zebrali się koledzy, zacząłem z nimi rozmawiać, czem który chce być i przedstawiałem im, że trzeba nam koniecznie uczyć się języka polskiego. Zrobiliśmy więc stowarzyszenie polskie, i składając tygodniowo po czeskim, zakupiliśmy rychło gramatykę Suchorowskiego, opatrzoną w znaczny wybór wypisów z różnych autorów i słownik kieszonkowy, a pastor Kłapsia nawet darował nam zawadające mu w jego bibliotece „Satyry“ Naruszewicza i „Maryę“ Malczewskiego, które nas zajmowały, aczkolwiek mało strawne dla nas były. Uczyliśmy się więc gramatyki, deklamowali wiersze, przynosili wypracowania, któreśmy sobie poprawiali, jakeśmy umieli. Równocześnie koledzy z Czech i Morawy utworzyli także stowarzyszenie czeskie, co nas Polaków tylko tem więcej zachęcało do pracy. Ci jednak byli szczęśliwsi, bo przez znajomych w Pradze otrzymali odrazu znaczny zapas książek dla swej biblioteki. Z tych książek czeskich dowiadywaliśmy się też więcej o słowiańskich rzeczach, co naszej wyobraźni się wielce podobало i ducha narodowego w nas rozbudzało. Ze skromnych wkładek naszych, jako ubogich studentów, utworzyliśmy przecie małą, kilkunastotomową biblioteczkę. Ale ta nam nie wystarczała, w Cieszynie nie znaleźliśmy osób, któreby naszym chęciom sprzyjały, a w Galicyi nie

mieliśmy znajomego, żeby tam się udać, jak się udali czescy koledzy do Pragi. Wspomnieliśmy sobie, że przed rokiem jeden z naszych spółuczniów, Andrzej Cinciała, poszedł za ucznia do księgarni Friedleina w Krakowie, napisaliśmy więc do niego, żeby nam postarał się o niektóre książki, ale on nie odpowiedział i po paru miesiącach sam powrócił, a wyzywał tylko na Polaków. Na niektórych wywarły jego słowa złe wrażenie; uspakajaliśmy się tem: Cinciale nie chciało się uczyć w szkole i nie udała mu się także nauka w księgarni. Cinciała poszedł potem za pisarza ekonomicznego u właściciela wsi. — Potem zamierzaliśmy się udać do pastora Karola Kotschego w Ustroniu, który wydał książeczkę polską o sadownictwie i trzymał „Przyjaciela Ludu“, w Lesznie wydawanego, więc mieliśmy go za Polaka. Ja z kolegą Bujakiem wybraliśmy się w sobotę po południu do niego i zastawszy go na placu przed kościołem, wynurzyliśmy mu nasze życzenie, ale on wysłuchawszy nas, odbył nas krótko z niczem.

W poniedziałek przyjechał do Cieszyna ze skargami na nas do pastorów, mówiąc: *die treiben es ärger, wie die Polen in Paris* (ci robią gorzej, niż Polacy w Paryżu). Niestety, myśmy jeszcze o Polakach w Paryżu nic nie wiedzieli, i dopiero zaczęliśmy się dowiadywać, co to znaczy. — Pastorowie jednak na te skargi byli obojętni, a może zgadzali się na to, że się uczymy po polsku. Profesor Kajzar zaś, spotykając nas, gdyśmy na przechadzce polską

książkę czytali, mówił tylko: *lernet lieber fran-zösisch* (uczcie się raczej po francusku). Tak nie mieliśmy żadnych przeszkód ze strony naszych nauczycieli. — Jedyne, który nas trochę zachęcał, był pastor Jan Winkler z Nawsia, który przyjeżdżając do Cieszyna, by nas uczyć śpiewu chóralnego, pochwalał nasze chęci do mowy narodowej. Największego znaczenia dla nas były „*Slavische Jahrbücher*“, wydane w Lipsku, bo rozszerzały nasz pogląd na słowiańskie sprawy i wzmacniały poczucie narodowe. Otrzymywali je czescy koledzy dla swego kółka i nam ich także udzielali. Ten pierwszy śląski pojaw żywszego poczucia narodowego, jakkolwiek błądź, do porównania jest z drobnem ziarnkiem gorczycznym, bo powoli przecie wydał swe owoce.

Ponieważ w nowszych czasach korespondenci i literaci, piszący o Śląsku i chcący upstrzyć swe artykuły szumnymi frazesami i przeto bardzo często mylnie czynią podania, potrzebni są koniecznie sprostowania. Tak i co do tego pierwszego stowarzyszenia w gimnazjum ewangelickim piszą: albo tak, że dr. Ludwik Klucki, adwokat cieszyński, spowodował jego początek, albo też, że Stalmach studentem jeszcze będąc, „przy pomocy dra Kluckiego założył w Cieszynie studenckie towarzystwo polskie“

Jest to nieprawdą. Ja wówczas ledwo z widzenia znałem dra Kluckiego jako adwokata, odgrywającego rolę kawalera, a o nas studentów się on nie troszczył. Dopiero później w Preszburgu dowiedziałem się, że prenumeryje niektóre czeskie pisma i jest narodowcem.

Biblioteczkę założonego towarzystwa, choć małą, uważaliśmy za drogi i święty skarb i postanowiliśmy starać się o ciągłe jego powiększanie. Staraliśmy się również o następców z

niższej klasy, którzyby po naszym odejściu z gimnazjum dalej stowarzyszenie to utrzymywali. Ale jakież był jego koniec? Z następców tych najgorliwszy Puczek umarł, a drugi również gorliwy Górniak dla braku środków poszedł do apteki. Wtedy przyłączył się do stowarzyszenia Jan Śliwka, którego już my usiłowaliśmy też pozyskać, ale nadaremnie, bo tylko w niemczyźnie się kochał. Jak profesorowie i pastory zapatrywali się na kształcenie się w polskim języku następców naszych, nie wiadomo, ale o prześladowaniu z ich strony nie podobna mówić. Dostyc na tem, Jan Śliwka zaczął między następcami rej wodzić, wybił im z głowy zamiłowanie ojczystego języka i namówił ich do rozwiązania Kółka i do rozdzielenia biblioteki między siebie. W tym postępku Jana Śliwki odzwierciedla się już późniejsza jego działalność. Gdyśmy o tem wypadku ja z Bujakiem i kolegami czeskimi w Preszburgu się dowiedzieli, wielki uczuliśmy żal. Stowarzyszenie polskich studentów na ewang. gimnazjum ustało na kilka lat, a utrzymywało się tylko czeskie za pomocą swej biblioteki.

Wyższe nauki.

Filozofia.

Po gimnazjum, wówczas 6-klasowem, następowała filozofia. Nie odpowiadała ona dzisiejszemu fakultetowi filozoficznemu przy uniwersytetach, chociaż go niejako zastępowała, a uzupełniała właściwie tylko gimnazjum i była na miejscu dzisiejszych klas gimnazjalnych VII. i VIII., aczkolwiek miała poniekąd obszerniejszy plan nauk. Ze Śląska studenci katolicy udawali się pospolicie na filozofię w Ołomuńcu, Bernie i Wiedniu, albo też na technikę w Wiedniu. Filozoficzne klasy były urządzone według ówczesnego państwowego planu naukowego, nie różniły się też chyba przypadkowym doborem lepszych lub mniej zdolnych profesorów. Studenci z ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie zwykle zaś odbywali filozofię na ewangelickich liceach w Węgrzech, mianowicie Preszburgu (Brzetysławie), Kežmarku, Preszowie (Eperies) i Lewoczy (Leutschau). Między temi preszbugskie liceum było najslawniejsze i ja także to wybrałem.

Pragnąc wyższej nauki, odważyłem się jako ubogi student i spuściwszy się na pomoc Bożą, w roku 1843. wybrałem się do Preszburga przez Morawę, gdzie miałem się spotkać z innymi kolegami. Ojciec, co mógł, to uczynił, wypożyczył 40 reńskich i dał mi na drogę. Od pastorów, którzy się zresztą dziwowali nad

mojem przedsięwzięciem, dostałem listy rekomendacyjne, mianowicie do profesora Schroera. Tu wspomnę, że mały zapas pieniężny, jaki otrzymałem, był w srebrnych cwancygierach; dla wygodniejszego i oraz bezpieczniejszego schowania tej kwoty przy sobie, udałem się do kupca, a ten za wymianę na papiery wziął jeden cwancygier. Wówczas od papierów brano ażo. Zebrałem w końcu mój tłumoczek, składający się z trochy odzieży i kilku książek. Z ojcem wybraliśmy się przed godziną 4. z rana; ojciec niósł mi ten tłumoczek aż do Przybora (Freiberg), pięć mil i tu pożegnaliśmy się. Potem sam z tłumoczkiem na plecach, zdążyłem przez Nowy Iczyn do Hodslawic do kolegi na nocleg. W pierwszym dniu zmogłem przeszło 9 mil, ale drugiego dnia musiałem za to często spoczywać i tu doznałem nawet strachu. Przed Wałaskim Mezerzyczem przysiadł ku mnie spoczywającemu jakiś mieszczuch z czerwono zaszłemi oczyma, i zaczął wypytywać, skąd i kto jestem, czy mam pieniądze i t. d. Wymijającemi odpowiedziami przecież pozbyłem się go, i na wieczór zdążyłem do Wsecina do kolegi. Było jeszcze kilka dni czasu, i zrobiliśmy wycieczkę po okolicy aż na pamiętną górę Hostyn. Potem ojciec jednego z kolegów odwiózł nas do Preszburga, a właściwie tylko rzeczy nasze, bo po drodze przybierał jeszcze innych kolegów, i musieliśmy większą częścią iść pieszo za wozem. Podróż jednak była zajmująca i dla nas wesoła, przez Wizowice, Węgierskie Hradyszcze, Strażnicę,

Skalicę i t. d. Tu najwięcej były drogi piaszczyste, koła po osi tonęły w piasku i na wóz wsiąść już wcale nie było można.

Na Węgrzech przedstawił mi się wcale inaczej świat, aniżeli w t. zw. niemiecko-słowiańskich krajach Austrii, a przynajmniej w Cieszynie. Wrażenia, jakich tam doznałem, wogóle przyjemne i podnoszące, nie dadzą się treściwie opisać. Już wprawdzie chłopów śląskich często słyszałem wychwalających Węgry jako kraj szczęśliwy, że tam była „wolna tabaka“ (tytuł) i wino tanie. W gimnazjum cieszyńskim śpiewywaliliśmy piosnkę z taką wrotką: extra Hungariam non est vita, si est vita, non est ita, to znaczy: za Węgrami nie ma życia, jest-li jakie, nie jest takie. Prawdziwie poświadczć muszę, że ówczesne Węgry zasługiwały na taką pochwałę, bo takie życie trudno by było znaleźć w innym którym kraju. A robiła to swoboda, wolność i zamożność.

Dzis i na Węgrzech wielce zmieniły się stosunki na gorsze. Smutnym dowodem tego jest już to wieloliczna, coroczna emigracya ludności węgierskiej, wynoszącej się do Ameryki, że nie może w swej ojczyźnie wyżyć; już też ucisk narodowy i skutkiem tego upadek umysłowy ludów węgierskich przez rozkiełznanie żywiołu madszarskiego. Ówczesne, a dzisiejsze Węgry, to jakby niebo i piekło.

Przybywszy do Preszburga, nie zawiódłem się w mojej ufności. Opatrzność Boska sprzyjała mi, i zaraz dostałem lekcyę, zapewniającą mi choć skromne utrzymanie. Profesor Schroer zaopiekował się mną i polecił mnie do domu, gdzie kolegę i jego siostrę uczyłem francuskiego języka. Prócz tego profesor Schroer

jako niemiecki autor dawał mi do odpisywania swe prace, za co mnie także wynagradzał. Mój zapas pieniężny z domu wystarczył na półroczne zapłacenie obiadów w alumneum, bo tylko obiady tam dawano; jadło było tam nie tylko skromne, ale dość liche, lecz jak powiadają, głód jest najlepszym kucharzem i wtedy smakuje. Potem za przyczyną profesora Martiniego przyjęty zostałem do konwiktu, gdzie też tylko obiady były, ale jak na ubożego studenta wyborne i nadto bezpłatne, a tego dobrodziejstwa doznawali studenci odznaczający się celującami postępami i pilnością. Był miałem więc tym sposobem zapewniony i mogę teraz na inne okoliczności zwrócić uwagę.

W Preszburgu było wówczas całe społeczeństwo węgierskie reprezentowane. Tu bowiem odbywał się sejm, byli magnaci z swoim przepychem i biskupi, tudzież posłowie wszystkich narodowości węgierskich. Były wyższe szkoły, liceum ewangelickie i akademie katolicka, a w tych znowu młodzież ze wszystkich narodów na Węgrzech zmieszanych. Sam Preszburg jest niemieckie miasto, ale okolica słowacka, a niemieccy mieszczenie też prawie wszyscy rozumieli po słowacku z potrzeby, już to dla swych spraw przemysłowych, już też z powodu robotników słowackich, używanych w winogrodach; nadto wedle sposobności niejeden znał także język madziarski lub inny krajowy. Zwyczajem było, że Niemcy oddawali swych synów do Słowaków lub Madziarów, a ci znowu do Niemców i przez

taką zamianę przywłaszczali sobie nawzajem obce języki od młodości. Węgry są krajem wielojęzycznym, i tak też prawie każdy urodzony na Węgrzech wówczas był zmuszony przeplatać różnemi językami. Można powiedzieć, że nie było kraju, gdzieby nie tylko uczeni, ale i prości ludzie tyle posiadali języków, co na Węgrzech.

Kolegami moimi byli więc też synowie ze wszystkich narodowości węgierskich: Słowacy, Madziarzy, Niemcy, Serbowie, Chorwaci, Ruśniacy, Słoweńcy, Wołosi; a z poza Węgier, Czesi, Morawianie, Ślązacy, Serbi, Bułgarzy i jeden Łużyczanin. Słowianie wogóle stanowili zastęp najsilniejszy i oprócz rosyjskiego, były w nim wszystkie szczepy słowiańskie reprezentowane, my Ślązacy bowiem zastępowaliśmy Polaków. Wobec takiej wielojęzyczności powszechną mową konwersacyjną był i musiał być język łaciński, książki szkolne i wykłady profesorów były łacińskie; wszakże i językiem urzędowym był łaciński i całe wyższe społeczeństwo używało tego języka, z wyjątkiem kobiet. Węgierscy studenci już z niższych klas przywykli do tej łaciny; nam z cieszyńskiego gimnazjum przybyłym sprawiała ona z początku trudności, ale po paru tygodniach już jak tamci świegotaliśmy, aczkolwiek, rozumie się, nie była to klasyczna łacina. Tyle różnoplemieńców i nawet różnowierców przyciągało liceum presburskie do siebie z powodu wogóle znakomych nauczycieli. Profesor Gotfryd Schroer miał wykład klasyków łacińskich, etykę, estetykę

i historię powszechną: chociaż gorliwy Niemiec, był jednak sprawiedliwy i bezstronny, i z jego wykładu historii utkwilo mi szczególnie w pamięci, a oraz na mój umysł oddziało dowodzenie, że Niemcy nauczyli się od Słowian budować miasta, zaczęli Słowianie niegdyś wyprzedzali Niemców w oświecie. Profesor Gabryel Martiny, jako Słowak, lubił czasem po słowacku przemówić, lecz nie występował jawnie z barwą narodową; wykładał matematykę, fizykę, astronomię, naturalną historię, ekonomię, a jego wykłady były tak zajmujące, że często znakomite osoby przybywały i zapelniały klasę; był też dla nas wzorem pobożności i nieraz, mianowicie przy wykładzie astronomii, wzbudzał w nas uczucia religijne. Profesor Paweł Lichner miał grekę, która jednak nie była obowiązkową i dobrze objaśniał autorów; prócz tego wykładał logikę i psychologię. Profesor Michnay miał religię i metafizykę. Aleksander Nemeth miał węgierski język. Innych profesorów na oddziale prawniczym i teologicznym pomijam, gdyż ich nie słuchałem. Co do studentów, ci mieli sposobność przy pomocy dobrych profesorów dużo się nauczyć i korzystali z tego pilniejsi; ale nieraz się dziwowałem nad niektórymi, co tylko próżnowali i byli tak zaniedbani, że n. p. początkowych rachunków nie umieli. Powiększało to chwałę studentów z cieszyńskiego gimnazjum. Miała też młodzież w Preszburgu liczne środki inne do kształcenia się. Biblioteka licealna była dobrze uposażona w różnych językach i posiadała nawet wiele

dzieł dawniejszych autorów polskich. Były studenckie stowarzyszenia: słowiańskie, niemieckie i madziarskie i te miały swoje własne biblioteki. Dotąd Ślązacy zapisywali się zwykle do niemieckiego stowarzyszenia i przesiąkali mocniej duchem niemieckim; ja z Bujakiem wstąpiłszy także do tego towarzystwa, aby się obznajomić z literaturą niemiecką, którą wykładał profesor Schmidt, ale zarazem zgłosiliśmy się do stowarzyszenia słowiańskiego, jako Polacy, i był to pierwszy i jedyny przykład, że Ślązacy zamanifestowali tu właściwą narodowość swoją. Słowiańskie towarzystwo było właściwie słowackiem, lecz przyłączali się do niego również inni Słowianie, a więc i my dwaj Ślązacy korzystaliśmy z tego. Tu miał Ludowit Stur odczyty o literaturach słowiańskich, i był on bardzo lubiony nie tylko z powodu tych wykładów, ale też dla przyjacielskiego obchodzenia się ze studentami, a wogóle był u Słowaków wielce poważany, dla czego wybrano go też posłem na sejm. To słowackie towarzystwo posiadało więc też ładną bibliotekę i w niej dzieła we wszystkich językach słowiańskich: tu poznałem dzieła nowszych autorów polskich, bo Słowacy wielce lubowali w literaturze polskiej, a nadewszystko cenili Mickiewicza, Trentowskiego i Czajkowskiego. Prócz tego towarzystwo to otrzymywało mnóstwo czasopism słowiańskich, i według ustanowionego porządku otrzymywaliśmy je po kolei jeden od drugiego. Można tedy było obznajomić się z ruchem piśmiennym całej Słowiań-

szczyzny. Swoboda węgierska wówczas umożliwiała to.

Madziarscy studenci w swoim stowarzyszeniu byli także czynni. Wprawdzie Madziarzy na Węgrzech stanowią ledwo połowę ludności, więc też studentów Madziarów w Preszburgu było stosunkowo mniej, ale zastęp ich pomnażał się ze Słowaków i Niemców, którzy stawali się największymi gorliwcami madziarizmu i z tych renegatów wyrabiali się najzawziętsi przeciwnicy innych narodowości. Madziarskie studentstwo miało też pobudkę i zachętę w sejmie, w którym właśnie toczyła się walka o zaprowadzenie języka madziarskiego za urzędowy na miejscu łacińskiego. Dotąd język łaciński jako urzędowy i naukowy jednoczył wszystkie narodowości węgierskie i te w swoich dzielnicach węgietowały w spokoju; gdy jednak Madziarzy zapragnęli supremacji, rozogniały się też inne partie narodowe. Między osobistościami w sejmie, które najzapalczywiej obstawały za madziarszczyzną, był też Koszut, Słowak rodem, ale renegat, który później odegrał wielką rolę. Przypomnieć też należy, że język madziarski był jeszcze zbyt ubogim, nie wielki miał zasób wyrazów, a z tych, jak obliczano, ledwie trzecia część była istotnie madziarską. Ale temu ubóstwu językowemu zaradzała akademia umiejętności w Peszcie; tworzyła ona nowe wyrazy madziarskie, można było podziwiać, jak studenci pochwytывali te świeżo kute wyrażenia i upowszechniali w swoim narodzie. Kiedy tak Madziarzy dopiero tworzyli swój język i zaczęli

go narzucać, łatwo nasuwa się myśl, żeby lepiej byli zrobili, gdyby zamiast swego już bardzo zesłowianщеноego języka, przyjęli jeden z języków słowiańskich, słowacki lub serbsko-chorwacki, bo w takim razie przy swej energii mogliby zaszczytnie misję kulturalną na Wschodzie spełnić, do czego madziarszczyzna nie jest zdolną i wywołuje tylko nienawiść u sąsiadów przeciwko sobie. Zresztą uwagi też jest godnem, co udowodniają niektórzy badacze, że ta madziarszczyzna jest właściwie Kumańszczyzną, pochodzącą od Kumanów, którzy w czasie napadów tatarskich przybyli do Węgier. Dawniejsi bowiem Madziarzy, którzy z Arpadem przybyli w IX wieku, już wcześniej się zesłowianili. Są dowody, że już Arpad mówił po słowiańsku i później na dworze królów węgierskich panował zgoła słowiański język.*) Król św. Szczepan, który zaprowadzał chrześcijaństwo w Węgrzech, nazywał się pierwotnie Więcesław czyli Waclaw, to imię skrócone w napisie na pamiątkach po nim pozostałych odpowiada grecko-łacińskiemu Stefanos.

Życie towarzyskie, mimo tworzących się przeciwieństw narodowych, było jednak przyjemne, rzekłbym nawet rozkoszne. Zresztą na Węgrzech bywały zawsze partie przeciwne, jeżeli nie narodowe, to religijne i polityczne, które się z sobą ścierały. Do przyjemności

*) Urzędnicy ich mieli słowiańskie tytuły, a cesarze greccy nazywali krales (χρᾱλες) t. j. królami, co tylko słowiańskim monarchom dawało.

towarzyskiej przyczyniały się szczególnie swoboda, wolność i obfitość ziemi, a z tego wynikała gościnność, uprzejmość, otwartość i szczerłość charakteru u wszystkich zgoła plemion węgierskich bez różnicy. Mieszkalem w domu mieszczanina Niemca, posiadającego winogród, jak wogóle mieszczanie uprawą wina się zajmowali i w czasie winobrania obsypyani byłem winogronami i owocami wybornymi, w Cieszynie wówczas mniej znanymi (kiedy nie było kolei). Takiej szczodrości później u Niemców rakuskich w okolicy Wiednia nie widziałem. Między studentami węgierskimi, a zwłaszcza słowackimi, znalazłem szczyt gościnności, która zapewne była wrodzoną; dostawali oni często z domu różne pieczywa, pagacze, szynki, owoce, tytuń; wtedy był u nich prawdziwy komunizm, bo jedni z drugimi dzielili się; każdy miał także zupełną fajczarnię i między nimi przyzwyczaiłem się też niestety do nałogu palenia, bo nie podobna było odmówić. Mieszkało zwykle po kilku razem, a gdy w wolnych chwilach schodzili się także inni, toczyły się pogadanki poważne, przeplatane śpiewem, bo Słowacy należą do najśpiewniejszych ludów słowiańskich. Urządzano także liczniejsze zebrania dla publiczności słowiańskiej, na które oprócz studentów przybywały znakomite osoby, między nimi postowie sejmowi, mianowicie chorwaccy. Miałem sposobność poznać się z różnemi narodowcami słowiańskimi i w ich towarzystwie obznajomić się z ich językami, tylko nie z Polakami. Robiliśmy też często wspólne wycieczki

w dalszą okolicę, n. p. do Dziewina (Theben), do jeziora nezyderskiego i t. p. Ponieważ pragnąłem spotkać też jakiego Polaka, nareszcie powiedziano mi o jednym Polaku na akademii katolickiej, udałem się do niego, ale to był potomek jakiegoś wychodźcy polskiego i już zupełny madziaron, polskie i wogóle słowiańskie rzeczy były mu obce. Oprócz kolegów z cieszyńskiego gimnazjum, najwięcej styczności miałem ze słowackimi, między którymi byli: Janko Král, Pauliny, Mudroň, Tuszo i t. d. Janko Král, jako poeta, miał szczególną pasję: zwłaszcza zimowemi wieczorami, gdy wiatr szumiał i śniegiem prał, przychodził po mnie i chodziliśmy za Dunaj do gaju „Au“ a gdy drzewa od wichru nad nami się ugiwały, to było jego uciechą. Tak upływał czas wśród pracy naukowej i rozrywki studenckiej użytecznie i wesoło. Przynajmniej jeden rok upłynął w ten sposób, bo w drugim roku madziaryzm zaczął się srożyć, rozwiązano studenckie stowarzyszenie słowiańskie i zabroniono Sturowi odczyty, wskutek czego połowa studentów słowackich opuściła Preszburg i udała się do Lewoczny.

Okolica Preszburga jest piękna i wabi do siebie. Na pobliskich pagórkach, wśród winogrodów i sadów, znajdowały się ogródki, gdzie rano i pod wieczór grywała muzyka węgierska, i nie mogę opisać wrażenia, jakie jej tony na mnie wywierały. Jest to właściwie muzyka cygańska i składały ją przeważnie cygańskie bandy, po części też żydowskie. Poznać w niej łatwo

pierwiastek melodyi słowiańskiej, ale dziwnie przekształcony jakąś głęboką zadumką i szalem azjatyckim, co odpowiada charakterowi madyarskiemu, który ją sobie chętnie od owych półazyatów przywłaszczył. Można powiedzieć, że owa muzyka przedstawia jakby w zwierciadle obraz narodu madyarskiego. Narodek to mały, ale śmiały, zuchwały, przytem dumny i poważny, mimo swej małości potrafił sobie zdobyć pewne stanowisko w Europie i nawet panowanie nad spółkrajowcami. — W czasie mego pobytu w Preszburgu wielce mi się podobła myśl, jaką sobie za cel wytknął utworzony wówczas madyarski związek pod nazwą „hory“. Celem jego było podniesienie przemysłu krajowego przez kupowanie tylko krajowych wyrobów, a odpychanie zagranicznych towarów. Zamożniejsi nawet woleli grube krajowe sukna i nawet gunie przyjmować na odzienie i t. p. Zamiar jednak nie udał się. — Jedno tylko smutne i przykre wspomnienie pozostaje mi z onego czasu. Wkrótce po przybyciu do Preszburga ścinano dwóch huzarów, którzy swego pana zabili i ciało jego w Dunaju utopili. Niebacznie poszedłem też na to widowisko okropne i od tego czasu nie mogę krwi widzieć.

Po ukończeniu dwu lat na liceum presburskim, powracałem do domu znowu pieszo, tym razem przez Węgry w towarzystwie kilku kolegów. Podróż była przyjemna, szliśmy nie prostą drogą, ale zygzakiem, wstępując do kolegów i znajomych, a tu znowu przekonałem

się o gościnności i dobroduszości słowackiego ludu. W dolinie rzeki Wagu zajmowały nas zabytki dawnych zamków. Koło Trenczyna i llawy jednak spotkały nas awantury, bo były prawie wybory, kandydatami byli Csaky i Neuman, za oznaki miała jedna partya kolor czerwony, a druga zielony. My jako studenci rwaliśmy w zbożu kwiaty czerwone i niebieskie za kapelusze lub do dziurek guzikowych, a tu przy każdej gospodzie były gromady wyborców, którzy podług koloru kwiatów, mając nas za stronników lub korteszów przeciwnej partyi, zaczepiali nas groźnie i ledwo zdołaliśmy się wytłumaczyć, żeśmy studenci ze Śląska i do ich spraw się nie mieszmamy. Dla zadośćuczynienia im musieliśmy przynajmniej kwiaty zrzucić. Poznaliśmy więc, jak się wybory na Węgrzech odbywają. W końcu przekonał się jeszcze o wielojęzyczności ludzi na Węgrzech. Przybywszy bowiem do Turzówki, tu ściągł nas deszcz i nie mogliśmy przejść przez góry do Śląska, jak zamierzaliśmy; musieliśmy nająć chłopka, który nas odwiózł przez Czacę aż do Bystrzycy do pastora Raszki. Chcąc, aby nas chłopiek słowacki nie rozumiał, mówiliśmy po łacinie, ale chłopiek mieszka się w to i odpowiada też po łacinie; rozumiał nawet trochę po niemiecku i po madyarsku. Dowód to, jak zdolny jest lud słowiański do przyswojenia sobie cudzych języków, co jednak często na jego szkodę wychodzi. Szczególniej łacina wtenczas i między prostszymi Słowakami była dosyć upowszechniona, że to był język urzę-

dowy; z innemi językami zaś obznajmiało się wielu przez to, że wędrowali daleko i szeroko w świecie, jako kramarze, druciarze i olejkarze, podobnie jak za czasu Rzymian sławni Hermunduny czyli Turyngowie.

Najważniejszą okoliczność, odnoszącą się jeszcze do Preszburga, wspominam na ostatku. Już w gimnazjum cieszyńskim, widząc u kolegów czeskich pisma czasowe czeskie, które otrzymywali do swego stowarzyszenia, rozmyślałem, jakby i dla ludu polskiego na Śląsku polskie czasopismo mogło być pożytecznem. W Preszburgu znalazłszy w stowarzyszeniu słowiańskim tyle różnych czasopism słowiańskich, między niemi także kilka polskich, przeświadczyłem się jeszcze więcej o ich pożyteczności i o ich wpływie na naród, i wtedy powziąłem myśl starania się, aby i w Cieszynie mogło wychodzić pismo polskie. Zachęcał mnie do tego także Ludowit Stur, który po rozwiązaniu stowarzyszenia studentów słowackich zaczął wydawać „Slovenske Noviny”. Żyłem z nim w przyjaźni i często pomagałem mu w odpisywaniu niemieckich korespondencyj jego; pochwalał on moją myśl i poradził mi udać się do dra Kluckiego w tej sprawie. Żeby mieć powód zaznajomienia się z drem Kluckim, Stur dał mi dla niego prospekt i zaproszenie do przedpłaty swych „Novin”. — Za powrotem do Cieszyna czem prędzej udałem się więc do dra Kluckiego i wzywałem go, aby się zajął wydawnictwem polskiego pisma dla Śląska, a ze swej strony obiecałem

pomagać artykułami podczas nauk w Wiedniu. Dr. Klucki namyśliwszy się, przyrzekł, że będzie się starał o pozwolenie rządu. Było to podczas wakacyj 1845. r.

Przy tej sposobności zastałem też u dra Kluckiego dawniejszego kolegę gimnazyalnego Andrzeja Cinciałę, który porzucił stanowisko pisarza ekonomicznego i przyjął obowiązek pisarza w kancelaryi dra Kluckiego. Zawiazawszy z nim stosunki, starałem się najprzód wybić z głowy dawniejsze niechęci do Polaków i uprzedzenia przeciwko narodowości polskiej, dalej zachęcałem go do wstąpienia znowu do szkoły, przedstawiając mu biedną przyszłość jako pisarza gminnego, oraz namawiałem go, żeby odnowił stowarzyszenie polskie między studentami gimnazyalnymi. Nie była moja rada bezskuteczną. Chodziło mi nadewszystko, aby między młodzieżą gimnazjalną w Cieszynie budzić zamiłowanie ojczystego języka i ducha narodowego, i do tego zdołałem powoli nakłonić Andrzeja Cinciałę. Inaczej możeby on był pozostał zawsze podrzędniejszą osobą.

Uniwersyteckie nauki.

Uniwersyteckie nauki za dawniejszych czasów pobierali Ślązacy, mianowicie Górnoślązacy najczęściej w Krakowie albo też w Pradze, później także w Wrocławiu, gdy tam uniwersytet założono, oprócz tego na innych uniwersytetach niemieckich i włoskich. Po zabrze pruskiego Śląska dla teologów katolic-

kich z austriackiego Śląska wyznaczono seminaryum w Ołomuńcu. Dla teologów ewangelickich z Austrii otwartym został w r. 1821. fakultet teologiczny w Wiedniu.

Na ten fakultet udałem się w roku 1845., znowu pieszo aż do Lipnika na Morawie a potem koleją. Z cieszyńsko-preszburzskich kolegów Jan Bujak poszedł do Lwowa, gdzie poświęcił się naukom prawniczym na tamtejszym uniwersytecie. Wybrał on sobie Lwów do dalszych nauk z popędu narodowego, ale następnie zostawszy w Galicyi, gdzie pomyślny znalazł awans jako urzędnik skarbowy, zapomniał prawie o Śląsku i stracił się dla niego. We Wiedniu natomiast zastałem także na oddziale prawniczym Andrzeja Kotulę, który przedemną ukończył szkoły w Cieszynie i Preszburgu, i już też myślą narodową był ożywiony.

W Wiedniu. Po węgierskiej swobodzie nie mało odczułem różnicę władztwa Meternichowskiego w stolicy rakuskiej. Zwykły wiedeńczyk wprawdzie jest a przynajmniej wówczas był prostoszczy i prostoserdeczny; ale nie można było z nim mówić o czem innem jak o codziennych rzeczach; bał się i oglądał, czy kto nie przysłuchuje się, i ostrzegał, że są szpicle. I między studentami znany był ten postrach. Przykro na umysł oddziaływało też mgliste powietrze, podobno przyczyną tego była wielkość miasta i dymy fabryczne. Okolice poza Wiedniem jest piękna, ale dla rozległości miasta rzadko można było ją zwiedzać; nagradzała to t. zw. glacyja, t. j. plantacye między

śródmieściem i przedmieściami; tudzież ogrody w mieście n. p. volksgarten i inne. Życie w Wiedniu było nadzwyczaj tanie, ale dla takiego, który posiadał jakieś środki.

Co do mej osoby w szczególności, przybywszy do Wiednia, miałem tylko 10 złr., i to był cały fundusz na dalsze nauki. Zapisawszy się na fakultet i przedstawiwszy się profesorom, a mianowicie dyrektorowi, do których miałem listy rekomendacyjne, spodziewałem się otrzymania lekcyj, lecz niestety starsi teologowie zabierali takowe. Dopiero po trzech miesiącach, z początkiem grudnia, uszczęśliwiony zostałem także lekcją przez dyrektora Ernesta Pauera, a po pierwszym semestrze pierwszą połową udzielonego mi większego stypendyum w całej kwocie 80 złr., bo teologowie z pierwszego roku otrzymywali zwykle tylko 50 złr. Przez owe trzy miesiące żyłem prawie tylko o chlebie i wodzie: na rano była szklanka wody i bułka sucha, na obiad także bułka i czasem talerz zupy w taniej kuchni, na wieczór znowu bułka. Na tak skromny wikt musiałem przecież zapożyczać się, a w tem był mi pomocnym jako prawdziwy przyjaciel, kolega nazwiskiem Martin, siedmiogrodzki saksończyk, który lubił zajmować się piśmiennictwem, co nas obu ściślej łączyło pomiędzy innymi kolegami. Niestety ten przyjaciel z powodu jakiegoś artykułu, przesłanego do pewnej redakcyi w Lipsku, a podchwyczonego na poczie, został poszukiwanym przez policję i w drugim półroczu zniknął na Węgry. Wszystko to przypominało mi nieraz

pomyślniejsze położenie moje w Preszburgu, aniżeli w Wiedniu. Trudny był więc początek na fakultecie wiedeńskim.

Pomimo tak trudnego początku w Wiedniu dobry humor i ufność nie opuszczały mnie. Po kolegiach ślęczałem nad książkami z biblioteki teologicznej; południowe godziny przepędzałem w cesarskiej nadwornej bibliotece, gdzie studowałem dawne kroniki Helmolda, Dytmara, Długosza i t. d., robiąc z nich wyciągi. Pomny umowy z dr. Kluckim co do wydawania polskiego czasopisma, zbierałem materiały do artykułów przy pomocy różnych innych dzieł i z czasem uzbierałem dosyć znaczny zapas. Równocześnie zająłem się drugą myślą, t. j. wydaniem polskiego kancjonału dla zborów śląskich. Chociaż bowiem w nich kazania i reszta nabożeństwa odbywały się w polskim języku, śpiew był jednak czeski z kancjonału, ułożonego przez Trzanowskiego. Pobudką dla mnie była nietylko niestosowność języków, ale również przykład Słowaków, którzy także kancjonału Trzanowskiego używali, ale wówczas właśnie go zarzucili, ułożywszy nowy dla swoich zborów, ponieważ Trzanowski był za wielki i drogi, a przecież na niektóre okoliczności kościelne nie wystarczający. Gdy w drugim roku przybył do Wiednia Jerzy Heczko, dawniejszy kolega z gimnazjum cieszyńskiego, który jednak rok strawił na nauczycielstwie w Morawie, wspólnie zajęliśmy się tą pracą; wybieraliśmy z Trzanowskiego używające pieśni i tłumaczyli. Napisałem wówczas list do pastora

Kłapsi w Cieszynie o naszym przedsięwzięciu. Obaj pastrowie cieszyńscy zdumieni się nie mało; pastor Kłapsia odpowiedział mi, że niepodobieństwem będzie oderwać lud od kancjonału Trzanowskiego na równi z biblią za świętą księgę szanowanego, a to tem więcej, że Trzanowski też jako Ślązak z Cieszyna rodem jest w pamięci ludu. Pobudka nasza jednak nie została bez skutku, jak się później okaże.

Życie towarzyskie między teologami ewangelickimi w stosunku do innych studentów było dosyć rozwinięte, ale na sposób niemiecki. Mianowicie kwitnęło u nich burszowstwo. Dość ciekawem to jest, że rząd austriacki wówczas burszowstwa zabraniał, a u teologów ewangelickich je tolerował albo ignorował. Że ci teologowie składali się z różnych narodowości, nie tylko z Niemców, ale też z Czechów, Ślązaków i Węgrów, miał ten związek przeważnie cechę koleżeńską, a że wszystkich teologów było około 30 40, należeli zgola wszyscy do niego; jednakowoż Niemcy nadawali mu piętno ze wszystkimi formami niemieckich burszów. Przyjdzieli wrona między wrony, musi krakać jak i ony. Należałem więc też do tego burszowstwa, w którym codzienna knajpa wprawdzie nie była obowiązkiem, chociaż zaszczytem, ale udział w komersach był powinnością. Przy ceremonii chrztu na bursza nadałem sobie imię greckie Utis (Οὔτις), przez co dałem do zrozumienia, że w niemieckim związku chcę być jakby żadnym. Często pozwalaliśmy sobie za-

zartować z burszowskich zwyczajów: ale Niemcy przebaczały to.

Od pierwszej chwili pobytu w Wiedniu spodziewałem się i starałem się zapoznać z Polakami, wiedząc, że znaczna ich liczba na uniwersytecie. Poszukiwałem ich w t. zw. polskiej kawiarni. Lecz przy zawiązaniu rozmowy jeden i drugi odpowiadał mi: „Ślązacy to nie Polacy,” niektórzy dodawali: „Nam na Śląsku nie zależy.” Każdego innego mogłyby takie słowa zrazić, jak też istotnie często podobne wydarzenia, choć słabo odzywające się poczucie narodowe u Ślązaków dobiły. Wiadomo, jak Niemcy dbają o swych spółplemieńców, gdziekolwiek ich jest choć kilku, czy nad rosyjskim Bałtykiem lub na Kaukazie albo w Ameryce: a Polacy swoich pogranicznych rodaków odpychali i staropolską dzielnicą swej ojczyzny pogardzali. Mogłem bliżej zaznajomić się tylko z galicyjskimi Rusinami, a ponieważ starałem się o odnowienie polskiego stowarzyszenia i biblioteki na cieszyńskim gimnazjum, uzyskałem od nich trochę książek polskich, jako też od innych słowiańskich studentów niektóre słowiańskie dzieła. Wszelako co do Polaków to jeszcze w późniejszych nawet czasach podobnego obejścia się doznałem, jak tu we Wiedniu. Później też dopiero zrozumiałem przyczynę zachowania się polskich studentów w Wiedniu. Był to czas spisków. Między sobą więc mieli ciche i tajne rozmowy, a do poufałości innego dopuścić nie chcieli. Stwierdza się to przez powstanie galicyjskie w początku 1846. roku.

Już z dawniejszych lat ciągnęły się owe spiski, i wtedy przez Cieszyn odwożono często Polaków na Szpilberg albo Kufstein. Na zapytanie odpowiadano ludowi, że to „zbójnicy polscy”. Jako studentik biegłem też, by ich widzieć i zadziwiało mnie tylko, iż zbójcy mogą być przystojnie po pańsku ubrani i że od władzy doznawali pewnych względów.

Znowu i we Wiedniu, oprócz kolegów teologów, obcowałem najwięcej z innymi Słowianami: Chorwatami, Serbami, Słowakami, Rusinami i Czechami, którzy uczęszczali na oddziały uniwersyteckie i do techniki. Poznałem się również z teologami katolickimi Pazmaneum i jeden z nich Chorwat nazwiskiem Berlič nauczył mnie pisma głągoliciego, bo kirylicę już z Presz-burga znałem. Ponieważ niemieckie burszowstwo między teologami kilku nas nie zadowalniało, utworzyliśmy słowiańskie „bractwo”, a godłem naszym był kielich. Do grona naszego w krótkim czasie przyłączyło się kilkunastu innych studentów z techniki i uniwersytetu; co więcej, za naszym przykładem podobne bractwa studentckie utworzyły się wkrótce też po innych miastach. (Później w latach 70. znajdował się w cieszyńskiej „Czytelnicy Ludowej” podobny drewniany kielich, jakiśmy w Wiedniu wymyślili; ale o znaczeniu jego mało kto wiedział.) Czesi w Wiedniu już wówczas prym wiedli między Słowianami, i urządzali wspaniałe zabawy, koncerty i bale, a na tych miałem sposobność widywać niektórych magnatów polskich n. p. książąt Czartoryskich, bo tylko między magna-

tami dawała się dostrzedz myśl o słowiańskiej wzajemności.

Przy wspomnieniu o zabawach i balach nasuwa się myśl o nauce tańców, która zwykle dużo kosztuje, a zdaje się, niepotrzebnie. Wspomnę, jak sam na balu nauczyłem się tańczyć. — Teologowie ewangeliccy używają studenckiej swobody, i gdy w pierwszym roku mego pobytu w Wiedniu podczas karnawału urządzili też „bal teologów“, nie można było się usuwać, musiałem też iść. Nie tylko nie umiałem tańcować, ale nie widziałem przedtem nigdy balu, ani zgoła muzyki chłopskiej. Tu znajoma panienka zachęcała mnie, nie pomogło wymawianie się; lecz próbując, zamiast obracać się w kole, wpadam na środek sali, gdzie stali profesorowie, a dyrektor wskazuje im na mnie po imieniu, jak się znam na sztuce Terpsychory; usłyszawszy to, starałem się wejść znowu w koło i doprowadzić pannę na jej miejsce i przeprosić ją. Lecz ona zachęcała ponownie. Próbując dalej, głowa się już nie zawracała, a bacząc na takt, do rana nauczyłem się zwyczajnych tańców. — W późniejszych latach w Cieszynie, gdzie jeszcze polskość miała znaczenie i na balach polski mazur był niezbędny, z widzenia nauczyłem się tego tańca i uważam ten taniec narodowy nie tylko za najpiękniejszy ale i za najłatwiejszy. — Aczkolwiek są ganiciele tańców, przekonałem się przecie, że taniec rozsądnie używany jako rodzaj gimnastyki też służy ku zdrowiu; zganić atoli należy, gdy matki wcześniej swe dzieci

do takiej zabawy wprawiają, bo robią je też wczesnymi starcami.

Postęp nowoczesny, mianowicie fabryczny, który właśnie wydobywał się na większe rozmiary, a prawie równocześnie z pierwszą koleją żelazną austriacką, t. zw. Północną, też pobudzał do myślenia. Wspomnę tu drobnostkę, t. j. zapalki. Pojawiły się one w Wiedniu w r. 1845., były jeszcze jednak drogie. Dotąd i w Wiedniu równie jak w śląskiej wiosce, posługiwano się jeszcze krzesiwkiem, hupką i siareczką, albo przechwowywanem zarzewiem w piecyku dla wzniecenia ognia i światła. Do Cieszyna przybył ten wynalazek o trzy lata później. Dziś każdy poczytuje: zapalki za drobnostkę, nie pomnąc, jaką wygodę sprawiły w domostwie. Ale mimo tej wygody pomnożyły nieszczęścia, bo dawniej nie bywało tyle pożarów. — Podobieństwo w tem, ma także upowszechnienie nowo wynalezionych maszyn i fabryk, zwłaszcza na naszym Śląsku. Widząc ten nowy ruch przemysłowy, wyobrażałem sobie, że maszyny ułatwią i ukróć pracę ludziom, a ludzie wyręczając się maszynami, będą mogli więcej poświęcać czas swój na swe duchowe udoskonalenie przez środki oświaty. Żłudne były te marzenia młodociane. — Dziś widzimy, że maszyny fabryczne pomnożyły pracę, ukróciły zarobek ogółu i powiększyły szeregi ubóstwa, szerząc w nich niezadowolnienie i demoralizację a tworząc rodzaj nowego niewolnictwa, proletaryat. Miasteczka zubożały przez upadek tkactwa, sukiennictwa i t. p. We

wiejskich chatach znikło użyteczne, a prawie poetyczne zatrudnienie, jakim było prządnienie lnu i wełny przy śpiewkach i opowiadaniach, a tego nie ma ludźk czemu zastąpić dla wypelnienia wolniejszych chwil w domu, jeżeli nie zachęca się go do zajęć duchowych. zwłaszcza do czytania; a skutkiem tego mnoży się próżniactwo. Wspomnę, że chłopcem jeszcze będąc, słyszałem nieraz, gdy te fabryki dopiero powstawały, iż lud kiedyś przeciw nim burzyć się będzie. Dziś stwierdza się to przez ruchy zubożonych robotników. I to jest prawdą, że dzisiejsze wyroby fabryczne, zwłaszcza płótna i sukna, nie zdolają dorównać w dobroci i trwałości dawnym ręcznym wytworom.

W Cieszynie wronczas nie było t. zw. chacharów; ci bowiem, równie jak ich nazwa, poczęli się znajdować w miarę rozwoju przemysłu fabrycznego i kultury żydowsko-niemiecko-liberalnej. Robotnik zapewne nie może iść do pracy ufrakowany w gładkich rękawiczkach i eleganckich bucikach; ale takich obszarpanców jak dziś przed 50 laty nie widziano. Namnożyli się oni za rządów Demla i zarówno z napływem żydów.

Z narodowych spraw zajmowały młodzież słowiańską wówczas toczące się rozprawy w tym celu, aby zespolić południowych Słowian, mianowicie Chorwatów, Serbów, Dalmatów i Słoweńców pod dawną nazwą Ilirów albo lepiej Ilurów, ponieważ mało różnią się językiem, a tylko pismem łacińskim i cyrylskim. Lecz różność wiary była tu najwięcej na przeszkodzie jak i dotąd. — Więcej jednak budził uwagę żarliwy spór między Słowakami a Czechami. Gdy południowi Słowianie myśleli

o swem jednoczeniu, przeciwnie u Czechosłowian powstało rozdwojenie, ponieważ Słowacy postanowili w swym narzeczu pisać, oddzielając się od Czechów. Stawiano różne dowody za i przeciw. Słowacy podnosili, że za pomocą swego własnego narzecza ułatwią ludowi słowackiemu przystęp do większej oświaty, i że język czeski w nowszych czasach odmieniwszy się znacznie, stał się dla Słowaków mniej zrozumiałym. Z drugiej strony zarzucano im, że naród słowacki jest za mały dla wytworzenia własnej literatury i że przez oderwanie go od Czechów łatwiej zdolają go Madziarzy przygnębić. Tego zdania byli też Kolar i Szafarzyk, rodowici Słowacy.

Co się tyczy samego fakultetu teologicznego, był obsadzony profesorami posiadającymi gruntowne wiadomości. Daniel Schimko wykładał historię kościelną, prawo kościelne i encyklopedyę teologiczną; lubił on ubarwiać swe wykłady ciekawemi szczegółami, bawiącemi słuchaczy. Znakomitym hebraistą był Jan Wenrich, który miał isagogę i exegezę nowego i starego testamentu i archeologią biblijną. Jan Patay, także dobry hebraista, był nauczycielem hebrajskiego języka i greckiej filologii kościelnej. Dr. Henryk Staeklin wykładał dogmatykę i katechetykę; Paweł Laitner miał teologię moralną i pastoralną i homiletykę. Mimo odpowiednich sił profesorskich dawały się we znaki dwie wady tego fakultetu.

Jedną z tych był zagnieżdżony skeptycyzm, a podobno jest on spólny wszystkim ewange-

lickim fakultetom teologicznym. Bywszy wychowanym w mocnej wierze i wyniosłszy ją z domu, dopiero w teologii skutkiem wykładów profesorskich zacząłem powątpiewać o prawdziwości zasad chrześcijańskich i o powadze biblij, jedynej podstawie kościoła ewangelickiego. Takie samo uczucie ogarnęło kilku kolegów i trzech nas najwięcej wzruszonych: Wacław Szubert, Czech, Adolf Pileczka, Morawianin i ja zabraliśmy się do własnego wykładania ewangelii i listów apostołskich. Pokrzepialiśmy w ten sposób nasze umysły przeciw skeptycznym zdaniom. Mnie jednak spowodowała ta okoliczność do marzenia tylko o profesurze przy ew. gimnazyum w Cieszynie, gdzie często był brak profesorów, a teraz tem więcej, gdyż była już mowa o utworzeniu filozofii (t. j. dwóch najwyższych klas) przy temże gimnazyum.

Przytoczę inny dowód tego sceptycyzmu. W kilka lat później kandydat teologii wystąpiwszy z kazaniem w tutejszym ew. kościele, nie wahał się biblię nazwać „splęsniałą księgą”. Cóż pozostaje ludowi ewangelickiemu za podporę, jeżeli się jemu uszanowanie biblij a zwłaszcza nowego testamentu odejmie! Również w późniejszych latach napotykałem między pastorami sceptyczne wyrzucenia i rozmyślałem, jak można przy braku mocnej wiary wygłaszać słowa ewangeliczne. Mógłbym jednak twierdzić, że lud ewangelicki na Śląsku, o ile wpływom sceptycznym skądkolwiek bądź nie ulega, zachowuje wiarę ewangeliczną.)

Inna wada teologicznego ew. fakultetu w Wiedniu nie była od niego zawistą, ale wypływała z meternichowskiej polityki, polegającej na niwelowaniu wszelkich narodowości, a raczej na podżwiganiu niemieczyzny i paraliżowaniu przez nią słowiańskich szczepów. Dawniej,

gdy ewangeliccy teologowie kształcili się w Niemczech, tam między Niemcami mimowolnie poczuli się tem więcej do swojej narodowości i pielęgnowali swój język; a nawet i niemieccy teologowie, starający się o posadę wśród ludu polskiego, dopilnowali się w języku polskim; więc też dawniejsi kaznodzieje wogóle dobrze władali językiem polskim. W Wiedniu zaś, gdzie stek różnych narodowości amalgamował się z niemieczyzną, różnica narodowa ścierała się i poczucie swojskości nikło, zaczęła młodzież swój język zaniedbywać. Odtąd kaznodzieje, nawet najstłynniejsi, mniej władali czystym językiem polskim, świadomość narodowa została w nich przytępiona, i chociaż polskiego pochodzenia, poczytywali się sami za Niemców. Wiadomo, jaki wpływ wywiera książdź na lud, zwłaszcza też pod względem narodowym, a w tym kierunku fakultet wiedeński wcale nie mógł korzystnie oddziaływać. Ta okoliczność i inne jeszcze przyczyny, o których wspominać nie chcę, skłoniły mnie do tego, że później poruszyłem myśl, aby ten fakultet przeniesiono do Cieszyna, skoro tu krzątano się około założenia wyższej szkoły czyli filozofii.

Czy ślęczenie nad książkami, czy wielkomięskie powietrze nadwyrężyło moje zdrowie tak, że na wiosnę 1845. r. wątpilem o sobie. Lekarz fakultetu przepisywał mi prószki, ale bezskutecznie. Cierpienie piersiowe odbierało mi dech i sam nareszcie w prosty sposób się wyleczyłem. Wychodząc wcześniej rano lub

wieczorem z książką do volksgartenu, przypadkiem wyprężywszy piersi, doznałem mocnego ziajania, ale potem nastąpiła ulga. Rozważywszy to, robiłem codziennie takie ćwiczenia prężeniem piersi i nieuniknionem na to ziewaniem, aż słabość minęła. Doświadczyłem też, że przy słabości piersiowej koniecznym jest powolne chodzenie. Te reguły zachowuję do dzisiejszego dnia na przechadzkach i mogę je polecić młodym ludziom w podobnym położeniu. — Przez następne wakacje pozostawszy w Wiedniu, po odbyciu lekcji używałem wolnego czasu do wycieczek na górę Kahlenberg, i tak ukończyłem moją kurację. Raz na takiej wycieczce byłem jednak w niebezpieczeństwie życia. Wyszedłszy wcześniej rano, a ponieważ właśnie dla owej kuracji samotnie chodziłem, żeby mi ani rozmowa nie przeszkadzała, gdy szedłem aleją przez las, nagle z gęstwiny wyskoczyło dwóch urwiszów i biegli wprost ku mnie; ale w tym okamgnieniu dał się słyszeć bęben na blizkim skraju lasu, gdzie ćwiczyło się wojsko. Łazęgi zmierzili mnie tylko groźnym wzrokiem i odeszli. Zwróciłem się za głosem bębna, i tu spotkałem człowieka zbierającego zioła, który opowiadał, że takie niebezpieczeństwa zdarzają się tam często, i odtąd już sam nie bywałem na Kahlenbergu.

Minął rok 1846., pamiętny rewolucją, a raczej rzezią galicyjską, i nastąpił rok 1847., zaznaczony chorobą tyfusową, zarazą ziemniaków i głodem. W Galicyi uznawano tę klęskę za karę Bożą za bunt poprzedniego roku. Ale i

Śląsko tak austriackie jak pruskie zostało nią boleśnie dotknięte, a co do niego pamięci godnem jest prusackie oświadczenie. Prusy lubią się nazywać krajem bogobojności i dobrych obyczajów, chociaż bezbożne uczynki temu zaprzeczają; tak też prusak Wuttke bezbożnie się wyraził o nieszczęśliwych Ślązakach polskich, nazywając ich plemieniem pędraczem, przeznaczonem na wyginienie. W tym smutnym roku postanowiłem odwiedzić rodziców, którym nie choroba, ale drożyzna mocno dała się uczuć. Na drugie wagacje więc wybrałem się do Cieszyna.

Otrzymawszy licentiam concionandi, miałem tu w czasie tych wakacji kilka kazań, pierwsze jednak w Ligotce, o którym pastor Filipek pochwalnie się wyraził, i odtąd zawiązały się między jego rodziną i mną bliższe stosunki. — Osobliwszym powodem przybycia do Cieszyna była też dla mnie sprawa wydawania czasopisma polskiego. Udałem się przeto znowu do dra Kluckiego, oświadczając mu, że przygotowałem już trochę materyałów; on jednak przez minione dwa lata nic zgola nie uczynił, powołując się na trudność uzyskania koncesyi do wydawnictwa. Z pastorami omawiałem potrzebę wydania polskiego kancynału, wskazując na tę konieczność, iż czeski kancynał Trzanowskiego, dotąd używany w zborach śląskich, nie będzie więcej drukowany, ponieważ Słowacy przyjęli nowy. To przedstawienie więcej skutkowało, niż dawniejszy mój list. Przywiózłem też z Wiednia trochę

książek polskich i słowiańskich, uzbieranych między studentami i oddałem je Andrzejowi Cinciale, który z mojej namowy wstąpił znowu do gimnazjum i utworzył kółko studenckie. Aby bibliotekę tego kółka pomnożyć, namówiłem także Cinciagę do wycieczki do Krakowa; piechotą odbyliśmy tę podróż, i uzyskawszy kilkadziesiąt książek, mianowicie od profesora Muczkowskiego, który wielce naszą myślą się zainteresował, na własnych plecach przynieśliśmy je do Cieszyna. Kraków wówczas wywierał smutne wrażenie; wyglądał opuszczony, pokazywano domy niezajęte; ale wszystko było nadzwyczaj tanie. Było to w czasie przejścia jego z wolnej republiki do poddaństwa austriackiego, i był jeszcze kordonem otoczony; aby dostać się do niego, poradzono nam w Podgórzu, byśmy wobec straży, stojącej przed mostem nad Wisłą, jako miejscowi szli śmiało; udało się to, i zabawiliśmy w Krakowie dwie doby. Z tej wycieczki wspomnę jeszcze drobnostkę. W bliskości Kalwarii, którą też pooglądaliśmy, chciało się nam bardzo pić, i pytamy żydka w gospódecie, czy ma piwo. „O gdzieby tu piwo dostać, ale wódka jest dobra,” odpowiada. „Wódki nie pijemy.” „Ej, dam wina ku zdrowiu,” rzekł i po chwili przyniósł z piwnicy. Była to kapuśnianka z wódką, ale dobrze posłużyła i żydek wziął tylko kilka krajcarów.

Powróciwszy z wagacyj do Wiednia dla ukończenia kursu trzeciorocznego teologii, wdrożyłem się znowu do trybu studenckiego

i do prac ulubionych. Znajomości ze słowiańskimi studentami i innymi osobami powiększyły się, lecz z Polakami nie można było wejść w żadne stosunki; po roku 1846. jeszcze byli trwożliwsi i nieufniejsi, niż przedtem. Ale natomiast szczęśliwem wydarzeniem dla mnie było poznanie się z księciem Jerzym Lubomirskim. Stało się to przez Ludowita Sturę, znającego mnie już z Preszburga, i on przy pewnej sposobności będąc w Wiedniu i dowiedziawszy się odemnie, jak nadaremnie szukam zbliżenia się do Polaków, przedstawił mnie księciu Lubomirskiemu, który, jak wiadomo, zajmował się sprawami słowiańskimi i zainteresowało go także Śląsko. Książę zapraszał mnie odąd i bywałem często u niego; u niego też i przez niego poznałem kilka innych osób z arystokracji, i tak najprzód zaszczytną znajomość zrobiłem z arystokracją polską. Ta znajomość z księciem Jerzym Lubomirskim pokierowała też znacznie moimi przyszłemi losami.

Najbliższy dla Śląska austriackiego uniwersytet wówczas był w Ołomuńcu, tam więc młodzież austriacko-śląska po większej części uczęszczała. Lecz uniwersytet ten w roku 1581. założony, został w r. 1778. zniesiony, i potem dopiero znowu w r. 1827. przywrócony. Podczas przerwy tego uniwersytetu okazał się brak księży na Morawie, i za sprawą cesarza Józefa II. utworzono w r. 1785. w klasztorze Grodziskim (Hradiszczce) pod Ołomuńcem c. k. seminaryum jeneralne dla całej Morawy. Wtedy

też przeznaczono w tem seminaryum dla teologów ze Śląska austriackiego, podlegających biskupstwu wrocławskiemu, t. j. z Księstwa Cieszyńskiego i z części Księstwa Nysskiego, 24 miejsca zwyczajne (ordinarii) i 3 miejsca nadzwyczajne (extraordinarii). Zwyczajni otrzymywali całkowite zaopatrzenie w seminaryum, podczas gdy nadzwyczajnym udzielano stypendyum po 100 złr., z którego musieli się sami utrzymywać „na mieście“. Zniesiono jednak to seminaryum już w r. 1790., a teologów przeniesiono do opróżnionego klasztoru Dominikańskiego w Ołomuńcu, gdzie dotąd się mieszczą. W tem nowem seminaryum nie było jednak z początku miejsca dla wszystkich teologów, pomieszczono w niem tylko tych z 4. roku, a inni otrzymując stypendya mieszkali na mieście. Dopiero w r. 1842., gdy seminaryum to znacznie rozszerzono i do stanu, w jakim jest dziś, doprowadzono, znaleźli w nim pomieszczenie także teologowie ze Śląska austriackiego.

Najważniejszym czynnikiem wśród ludu jest duchowieństwo ze względu na swe wysokie powołanie, mające nauczać tenże lud w języku narodowym. Atoli bogosłowcy ślascy, a więc polscy, w seminaryum ołomuńckiem nie znajdowali dogodności, by swój język pielegnować, owszem nadwyreżali go morawszczyzną, a wychowywani w średnich szkołach niemieckich, nawet zapominali rodowitą mowę. Odczuwali to powszechnie, gdy potem wstępowali do zawodu duszpasterskiego. Uznano więc

potrzebę, by teologowie ślascy w Ołomuńcu mogli się kształcić w języku polskim za pomocą książek polskich. I powstała tamże „ksiąznica bogosłowców wrocławskich“ z początkiem roku 1845., gdy ówczesny Jeneralny Wikary ks. dr. Mateusz Opolski zakupił dla tychże bogosłowców kilka polskich gramatyk, katechizmów, ewangelij i innych książek. Do jej wzrostu przyczyniły się jeszcze inne dary, ale szczególnie składki samychże bogosłowców austriackiej części dycezyi wrocławskiej, którzy od tego czasu skrzętnie nad „ksiązniczką“ pracować zaczęli. Do tych usiłowań (jak zaznaczono w katalogu z r. 1850.) „powodowała ich jawnie wynikająca potrzeba wydoskonalenia się w języku polskim, żeby przez użytkowanie z onych książek w języku polskim się udoskonali, albo jeżeli w nim jeszcze żadnej umiejętności nie posiadają, onenże sobie przywłaszczyć starali.“ Książnikiem (bibliotekarzem) bywa jeden ze starszych teologów. Pierwszym najprawdopodobniej był ś. p. ks. Józef Michałek, książ. bisk. komisarz i kanonik, albo ks. Antoni Janusz, wydawca polskiego kancyonału. Pierwsza wyraźna wzmianka o książniku jest z roku szkolnego 1847. 8. a był nim wówczas ś. p. ks. Franciszek Danel. — Pierwszy potwierdzony spis książek tej biblioteki wypracował ks. monsignore Karol Hudziec w r. 1853., w którym kończył nauki teologiczne.

Sięgnijmy jeszcze trochę dalej. Mieli też nasi teologowie w Ołomuńcu ustawy, według których odbywał się wybór bibliotekarza. Przy-

najmniej istnieją już z r. 1850. ustawy polskie aczkolwiek nie potwierdzone. Te same ustawy w języku niemieckim potwierdził w r. 1853. przełożony seminarium za wskazówką śląskiego Jeneralnego Wikaryatu. Ale w tych ustawach nie ma jeszcze wzmianki o nauczycielu języka polskiego, tylko o bibliotekarzu. Jednakże w „spisie użytkowników z księgozbioru“ w r. 1852. rozpoczętym, znajduje się uwaga: „Podług rozkazu Najprz. Jeneralnego Wikaryatu n. 969 obowiązani są wszyscy wrocławskiej dyecezyi teolodzy zdawać popis z języka polskiego. R. 1854.“ Przynajmniej od tego czasu stała się nauka języka polskiego obowiązkową dla wszystkich teologów wrocławskiej dyecezyi w seminarium ołomunieckiem. Nauczycielem był zwykle bibliotekarz. — Gdy owe ustawy z r. 1853. nie odpowiadały wzrostowi, ustanowiono nowe w r. 1867., i te zostały potwierdzone. W „pamiętniku“, spisany przez ks. Henryka Dziekana i następców, doczytać się można o chwalebnej i zaiste szlachetnej pracy naszych teologów. Najgorliwiej pracowali dla księżnicy w swym czasie jako słuchacze teologii: wspomniany już ks. Henryk Dziekan, ks. Monsignore Jan Sikora, ks. Józef Londzin.

Opowiedzianym zarządzeniom w seminarium ołomunieckiem, co do polskiego języka, zawdzięcza Śląsko austriackie, w szczególności Księstwo Cieszyńskie, że tu duchowieństwo katolickie zawsze od naszej pamięci sprzyjało sprawie narodowej. Poświadczyć to należy na jego cześć, aczkolwiek za to, niestety, do-

znawało i doznaje napastowań ze strony przeciwniej, a co gorsza, nawet w polskich dziennikach pomówień niesprawiedliwych.

Rok 1848.

Zaraz z początkiem roku 1848. pokazywało się w Wiedniu jakieś naprężenie umysłów, o czem nie tuszono na prowincyi. W Wiedniu nie wychodziło wówczas tyle gazet, co dziś; oprócz rządowej „Wiener Zeitung“ było ledwie kilka pism laudajakich i przez cenzurę obłaskawionych; ale naraz pojawiało się wiele obcych, głoszących wolnomysłne zasady, które podawano sobie z rąk do rąk; oczywiście potajemnie i między studentami krążyły też licznie. Po rewolucyi w Paryżu, we Francyi, i ogłoszeniu tamże republiki, już głośniej szeptano o politycznych sprawach, o czem Wiedeńczyk przedtem nie zwykł myśleć, wypowiadano życzenia większej wolności i z nietajoną już nadzieją oczekiwano dnia zebrania dolnorakuskich stanów (sejm) w Wiedniu. Kto tym pierwotnym ruchem kierował, nie było wiadomem; dosyć na tem, że było pewne poruszenie między studentami i w mieszczaństwie. Różne figury rej wodzące i znane pokazały się dopiero po dniu 13. marca. Ja nie dowierzałem jednak wszystkiemu, nie zdawało się mi, żeby w Wiedniu mogło nastąpić coś stanowczego i sprowadzić zmianę polityczną. I w dniu 13. marca, jak zwykle po kolegiach poszedłem do cesarskiej nadwornej biblioteki przez południe i zająłem się

czytaniem. Przysiadł ku mnie nieznajomy, tylko widywany także w tej bibliotece pan, i szepnął mi do ucha: „es geht schon los.“ Była godzina druga, wyszedłszy napotkałem w Pańskiej ulicy około domu stanowego tłum ludu, zapelniający całą ulicę. Jeszcze nie przyznawałem temu znaczenia, obszedłem inną ulicą, udając się na obiad. Koledzy przychodzili z coraz groźniejszymi wiadomościami. Idziemy na miejsce rozruchu, tu już wojsko konne i piesze rozpędza tłumy w ulicach, i wyruszają armaty. Zaczyna się strzelanie do upornych, wieczorem bombardowanie, zaświeciły ognie podpalonych budynków na przedmieściach przez robotników. Byli ranni i zabici. Lecz te powszechnie znane wypadki mogę opuścić z mojego opisu.

Cesarz Ferdynand, słusznie Dobrośliwym nazwany, dowiedziawszy się, co się dzieje, nie pozwolił więcej strzelać do ludu swego. Porozumiał się z przewodcami ruchu, i następnego dnia wyszedł manifest cesarski, przyrzekający konstytucję, a razem wolność druku, wolność wyznań religijnych, gwardyę narodową, zniesienie pańszczyzny i t. d. Radość w Wiedniu była niezmierna, której i pogrzeb w pierwszym dniu zabitych nie zdołał przerwać. Studenci rej w tym ruchu wodzący utworzyli legię akademicką, a mieszczaństwo tworzyło gwardyę narodową. Należałem też do legii akademickiej z innemi teologami ewangelickimi, a że oddział teologów był szczupły, przydzielono do niego część medyków i techników; kome-

dantem tego oddziału był Kofler, Tyrolczyk. Nosilem więc wtenczas także strzelbę, ale odbywaliśmy tylko ćwiczenia zwyczajne, do strzelania nie przyszło; przeto jak tu, tak i później w życiu nigdy nie strzelałem. Oprócz tego powstały różne towarzystwa, i czasopisma mnożyły się niebawem. Do odległych miast dochodziły wiadomości o wypadkach wiedeńskich dość późno z powodu nielicznych kolei żelaznych, a telegrafów wcale nie było. Do Cieszyna n. p., chociaż już kolej Północna do Mor. Ostrawy była dobudowana, przywiozła poczta wiadomość o konstytucyi dopiero 16. marca po południu, i tu w momencie powstał niesłychany, radosny zapal, i tego samego wieczora urządzono oświetlenie miasta, korowód z pochodniami, muzyką i t. p., a niebawem wzięto się do utworzenia gwardyi narodowej. Do stolicy wkrótce potem przybywały liczne deputacje krajowe: Czeska, Węgierska, Polska, Chorwacka i t. d., witane z uniesieniem, które dziękowały monarsze za nadanie konstytucyi i wolności, a domagały się swych praw historycznych i narodowych. Prócz tego mianowicie deputacje polska i czeska wyraźnie żądały zniesienia pańszczyzny, aczkolwiek wypływało to już z poprzedniego przyrzeczenia cesarskiego, i ogłoszona następnie konstytucya też o tej sprawie nadmienia, a w sejmikach krajowych wówczas zebranych też ją głośno podnoszono. Warto o tem wspomnieć, ponieważ w późniejszych czasach Niemcy zrobili Kudlicha bożkiem uwolnienia chłopów, iż on w zebranych później

sejmie pierwszy wyrwał się z głosem za zniesieniem pańszczyzny, a przeto chcą sobie Niemcy przypisać zasługę, jakoby z ich środka wyszło wybawienie chłopów. Lecz powyższe fakty kłam temu zadają.

Sam w owych chwilach unosiłem się marzeniami o przyszłym szczęściu ludzkości. Myślałem, że już gotuje się królestwo Boże na ziemi. Pierwszem staraniem mojem było jednak uskutecznienie wydawnictwa czasopisma polskiego w Cieszynie. Zaraz po ogłoszeniu wolności druku napisałem więc do dra Kluckiego, aby rozpoczął to wydawnictwo, że teraz koncesyi czyli pozwolenia na to nie potrzeba, i ja przygotowanym zapasem artykułów i dostarczaniem nowych zaopatrzę czasopismo. Wkrótce potem przyjechał dr. Klucki do Wiednia, porozumiałem się z nim osobiście, oddałem mu zebrane materyały i przedstawiłem go także księciu Jerzemu Lubomirskiemu, który zaraz kilkanaście egzemplarzy zaprenumerował dla gmin we swoich dobrach. Wyczekiwałem niecierpliwie tego pisma, i opowiem jego początek.

Pierwszy numer wyszedł w dniu 6. maja pod nazwą: „Tygodnik Cieszyński“. Podpisywali się jako wydawca: Dr. Ludwik Klucki, a jako główny współpracownik Andrzej Cienciąła. Nad podpisem współpracownika zastanowiano się niemało w Cieszynie, i szkodziło to nawet „Tygodnikowi“, ponieważ Cienciąła po kilkoletniej przerwie dopiero znowu wstąpił do gimnazjum i odpowiednich nauk nie posiadał,

by pismo redagować. Dr. Klucki widział się jednak zmuszonym dać podpis byłego pisarza swojej kancelaryi za głównego współpracownika, ponieważ wiadomem było, że sam po polsku pisać nie umie, chociaż dość biegle tym językiem mówił. Atoli od początku pierwszego numeru i przez wszystkie następne numery za mojej nieobecności z wyjątkiem ledwie kilku innych nazwisk, były wszystkie artykuły mojego pióra, a tylko drobiazgowe wiadomości wymowano z obcych gazet. I dziś mógłbym się jeszcze poszczycić owymi artykułami; jedyńie język polski w nich nie był dość poprawny, czemu nie można się dziwić, gdyż przez cały czas nauk w Preszburgu i Wiedniu obcowiałem z różnemi innemi Słowianami, a z Polakami nie było możliwości. Lecz i to w krótkim przebiegu czasu, gdy objąłem sam redakcyę, naprawiło się.

Wypada tu odrazu sprostować fałszywe rozgłosy, które w późniejszych czasach nastąpiły. Tak „Pamiętnik“ jubileuszowy „Czytelnik Ludowej“ w Cieszynie, odznaczający się kłamliwością, wydany w r. 1887. przez jej wydział, do którego należeli: Dr. Andrzej Cinciąła, dr. Jan Michejda, Hilary Filasiewicz i Jan Glajcar, usiłuje sfalszować rzecz o początku „Tygodnika Cieszyńskiego“. Sam dr. Andrzej Cinciąła (nie piszący się już Cienciąła) w swoim przemówieniu jubileuszowym wspominając najprzód o „Towarzystwie uczących się języka polskiego na ewang. gimnazjum w Cieszynie“ zawiązanem w roku 1847., powiada dalej: „Jeden z członków tego „Towarzystwa“ umożliwił pracą swoją rozpoczęcie wydawnictwa pierwszego pisma ludowego na Śląsku, pisma politycznego i naukowego, którego pierwszy numer wyszedł dnia 6 maja 1848. r. w Cieszynie pod nazwą „Tygodnik Cieszyński“. Oczywiście dr. Cinciąła sam o sobie tu mówi i oddaje sobie pochwałę, bo on był członkiem rzeczono-

„Towarzystwa“ i był w podpisywany na początkowych numerach „Tygodnika“ jako główny współpracownik. Ale każdy łatwo pojmie, że on jako gimnazjalista, dla braku potrzebnych nauk, nie mógł „swoją pracą“ umozębnić wydawnictwa „Tygodnika“. Rzeczywiście ani w początkowych numerach ani w dalszych rocznikach tego pisma niema ani jednego artykułu Andrzeja Cinciały, któryby świadczył o jego pracy. Wezwałem go w swym czasie publicznie, aby wykazał jaki swój artykuł. Nie może tego uczynić. Ale dr. Cinciała, dr. Michejda, jako prawnicy powinni wiedzieć, i nawet chłop Glajcar może zrozumieć, co to znaczy: Przywłaszczanie sobie cudzej pracy! Wina w tem spada głównie na dra Cinciałę, bo on sam tylko mógł ten fałsz wmówić spółczłonkom wydZIAŁ. Od samego początku zaopatrywałem „Tygodnik“ z Wiednia i także z Pragi artykułami, aż do mego przybycia do Cieszyna. W miejscu, w Cieszynie, tymczasem właściwie kierował redakcją dr. Roic, Słowieniec, koncypient adwokacki u dra Kluckiego, który umiał po słowieńsku i tak polski język przynajmniej rozumiał, choć nim nie władał; ale mimo to z powodu swych nauk mógł kierować redakcją, mając odemnie artykuły. Dr. Cinciała, podpisywany za głównego współpracownika, był tylko figurantem dla podanej powyżej przyczyny. Podobnie w późniejszych czasach, gdy pastor dr. Otto w Cieszynie wydawał „Zwiastuna ewangelickiego“, a niemając obywatelstwa austriackiego, nie mógł się podpisywać za redaktora, służył mu nauczyciel W. za takowego figuranta; a dziś na organie dra Haasego „Nowym Czasie“ tak samo zwykły szynkarz Sk. figuruje jako wydawca.

Cóż spowodowało dra Cinciałę do mówienia nieprawdy? Mogę się powołać na inne świadectwa i później przy sposobności podam dowody, jak prawie powiększałem jego zasługi, t. j. że figurował swym podpisem na „Tygodniku“, i że udało mi się nakłonić go do utworzenia Kółka uczących się po polsku gimnazjalistów, bo chciałem w nim uzyskać pracownika narodowego. Dr. Cinciała za to ani słówkiem nie wspomina o mojej inicjatywie i pracy dla „Tygodnika“, żeby ją sobie snadniej przywłaszczyc. Tak samo taji, że za moją namową do gimnazjum powrócił, aby w nim utworzył to Kółko czyli Towarzystwo uczących się po polsku w roku 1847., a nazywa je niesłusznie pierwszym na Śląsku, zamilczając ostrożnie o istotnie pierwszym takim Kółku powsta-

łem w r. 1842., do którego należałem. Również dr. Cinciała nawet w obecności mojej nieraz chwalił się, że on sam dla tego Kółka książki w Krakowie wybrane w owym roku na plecach piechotę do Cieszyna nosił, a pomija także, iż to też z mojej namowy i ze mną czynił, chociaż w „Pamiętniku Czytelnii“ koniecznie podać musiał, że było do tego „dwóch“, ale nie wymienia ich nazwisk dla osobistej przyczyny. Widooczna rzecz, że tu jakaś zawiść drem Cinciałą kierowała; kiedy ja w dobrym zamiarze zawsze jego zasługi powiększałem, czego on nadużywa, więc teraz te jego zasługi do prawdziwej miary ograniczyć muszę.

Co więcej, drowi Cinciale, przywłaszczającemu sobie cudzą pracę, przyczynia jego zięć dr. Bystron niezasłużonej a wcale zmyślonej chwalby. Dr. Bystron zapragnął wielkości pisarskiej przez wydanie kilku broszurek o Śląsku, napuszonych kłamliwemi, zmyślaniami i przekręcaniem faktów. Piszę on (n. p. w broszurze „z Cieszyńskiego“) między innymi to: „Dr. Cinciała... jeszcze jako uczeń gimnazyalny zaczął za czasów metternichowskich w roku 1846. wydawać „Tygodnik Cieszyński“, pisemko z dobrą i zaczął tendencją.“ A dalej dodaje: że „Cinciała starał się zawsze o wzrost biblioteki polskiej, należącej do Czytelnii, którą rzecz można, założyć.“ Wszystko to jest czystym kłamstwem.

Dodać tu można jedną okoliczność aż do śmieszności dochodzącą. Gdy w latach 1885.—6. chodziło o wybór katolickiego kandydata ks. Świętego za posła, pewna garstka tutajszych narodowców z pomocą krakowską usiłowała przeszkodzić temu jedynie możliwemu wyborowi, i mnie chciano zmusić do wystąpienia w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ przeciw temu kandydatowi. Ze tego nie uczyniłem, obsypywały mnie dzienniki krakowskie, nadewszystko „Czas“, niesłychanemi obelgami. W tej walce przeciwko mnie odmawiały mi wszelkiej zasługi około sprawy narodowej, mianowicie też co do początku „Tygodnika“. A tu „Czas“ posunął się tak daleko, że do pierwszych opiekunów „Tygodnika“, pomijając moją osobę, policzył nawet Jana Glajcara. Risum teneatis amici! Prosty parobek wiejski w r. 1848. miałby się godzić do takiej sprawy, o której nigdy nie słyszał, a tem mniej myślał. Redaktorowie „Czasu“ snadź dla siebie mieli wzory z galicyjskich parobków i sądzą, że parobek śląski potrafiłby to także.

Czytelnik z tego i dalszych podobnych przytoczeń w tym opisie nabierze wyobrażenia, jak w przebiegu czasu wytworzyła się kilka egoistyczna i przewrotna, która nie tylko wypadki fałszuje na swoją korzyść, ale swoim egoizmem tamuje rozwój narodowy i dopomaga germanizacji.

W Wiedniu tymczasem, po sławnych dniach marcowych, kipiało życie nowe i rozlewało się strumieniami po prowincjach. Wolność: druk bez cenzury, uwolnienie chłopstwa, wypuszczenie na wolność Polaków uwięzionych za dawniejsze powstania i spiski, spodziewane równouprawnienie narodowości, wszystko to budziło najlepsze nadzieje i rozgrzewało umysły pod rządami metternichowskimi zaziębłe i przytępione. Wszystko jednak, trzeba tu powiedzieć, szło spokojnym trybem. Tworzyły się stowarzyszenia. Wspomnę tu „Związek austriackich Ślązaków“, do którego oprócz innych osób także studenci ze Śląska należeli. Wcześniej, bo na jednym z pierwszych zebrań tego Związku, podniesiono sprawę wysłania posłów do Frankfurtu także ze Śląska. Mowcy wystawiali użyteczność i potrzebę łączności z Niemcami, a dowodzili, że pastory w Cieszyńskim są za obesłaniem Frankfurtu i popierać będą agitację w tym celu. Zabrałem także głos i powiedziałem, że Księstwo Cieszyńskie jest słowiańskie i pójdzie za innymi Słowianami, którzy nie chcą posyłać swych reprezentantów do Frankfurtu: a pastory nie mogą i nie powinni prowadzić agitacji przeciwnej ludowi. Zdania mojego nikt więcej nie poparł. Przemówienie moje jednak zwróciło uwagę obecnego ks. dra Prutka na mnie, który przystąpił

do mnie, i zrobiliśmy znajomość z sobą, która później zamieniła się w przyjaźń. Przyznać się muszę, że inni studenci i członkowie rzeczowego Związku, chociaż katolicy, lepiej byli przeświadczeni o niemieckiej dążności panów pastorów, aniżeli ja, bo sądziłem tylko podług dwóch czy trzech pastorów. Studenci zaś napełnieni szalem germanizatorskim i wychowani w niemieckim duchu, chociaż polskiego pochodzenia, wyjeżdżali z Wiednia do Cieszyna i tu propagowali niemieckie zachcianki.

Trzeba uważać, że po wypadkach 13. marca w Wiedniu, podobny ruch nastąpił w Berlinie d. 18. marca a wprzód już ogarnął całe Niemce. We Frankfurcie tedy, jako w wolnem mieście, gdzie nadto była siedziba centralnego rządu całej rzeszy niemieckiej, zebrał się pojedynczy przywódca narodu niemieckiego, tak zwani mężowie zaufania, na naradę, czyli vor-parlament i głównem ich postanowieniem było zwołanie stanowczego parlamentu, na co rządy niemieckie pozwoliły. W tym parlamencie okazały się rychło zamiary republikańskie, dążące do usunięcia panujących książąt; przyjęta chorągiew trójkolorowa: czarno-czerwono-złota stała się godłem republikańskiem. Przebiegała się w tem żądza zupełnego wcielenia austriackich krajów z częścią Galicyi aż po Wadowice do utworzyć się mającego zjednoczonego państwa niemieckiego, jak wcielono do niego Wschodnie i Zachodnie Prusy. Agitatorowie pracowali po całej Austrii dla idei frankfurckich, chociaż swe ostateczne

cele ostróżnie ukrywali; pospólstwo ludziło się uzyskaniem wielkich swobód z Frankfurtu. Wtenczas wybuchło też powstanie w Poznaniu, z nadzieją przywrócenia Polski, i w Krakowie zaszły niepokoje. Słowianie austriaccy za powodem Czechów, zaniepokojeni zamiarami frankfurczyków, które groziły narodowościom słowiańskim, sprzeciwiali się wystąpieniu swych posłów do Frankfurtu, obstając za niepodległością Austrii. Ale i między Niemcami, mianowicie wśród szlachty, wielu było takich, którym chodziło o całość i niezawisłość naszego cesarstwa, i oponowali również szalowi frankfurtskiemu. Przeto nie wybrano wszędzie posłów do tego parlamentu.

Pisałem wtenczas znowu do dra Kluckiego, żeby także w Cieszynie nie wybierano do Frankfurtu. Już tu i inni powiadomieni przez dzienniki myśleli o tem i była w Cieszyńskim opozycja anti-frankfurcka, lecz nie dość silna. Agitatorzy marzący o wielko-niemieckim państwie, mający siebie i innych jego zbawicielskim powołaniem dla ludzkości, a osobliwie studenci wiedeńscy, znajdowali posłuch u na pół zniemczonej inteligencji; ogół ludu zaś pozbawiony był świadomości narodowej, bo ledwo co „Tygodnik“ zaczął głościć, co to jest narodowość. Największymi zwolennikami frankfurtyzmu okazali się rzeczywiście panowie pastorowie, i za nimi szła ewangelicka część ludności. Wybory do Frankfurtu odbyły się w Cieszyńskim d. 13. maja. I tu w Cieszynie najwięcej dowodził wspomniany już Jan Śliwka

który był wtedy nauczycielem w Końskiej. Jak mi opowiadano, przodował on tłumowi ewangelickich wyborców z chorągwią niemiecką i wyzywał osobliwie na dra Kluckiego, jako wiadomego przywódcę narodowego. Dr. Klucki nie mógł tego Sliwce zapomnieć i nieraz potem uskarżał się na niego. Wybrano z Cieszyńskiego trzech posłów do Frankfurtu, mianowicie: w Cieszynie Kalchberga, dyrektora arcyksiążęcej kamery, w Polskiej Ostrawie dra Kolaczka, profesora przy cieszyńskim ewang. gimnazjum, w Bielsku dra Wanderstrassa, adwokata i za jego zastępcę Karola Kotschego, pastora z Ustronia. Dr. Wanderstrass rzekł się rychło poselstwem, a więc pastor Kotschy zasiadał w Frankfurcie. Wkrótce potem wycofał się stamtąd także Kalchberg, i na jego miejsce wybranym został dr. Jan Demel, ukończony prawnik, który przy tej sposobności przemawiał po polsku do ludu. Lud nie pojmował całej sprawy, i wyborcy wysłani głosowali według namowy. Pamiętnem z tego czasu zostanie to, że gdy niektórzy przemawiali do wyborców, aby nie wybierali do Frankfurtu, iż jesteście Polakami a nie Niemcami, jeden ewangelicki siedlak S. z Nieborów odezwał się łamaną niemieczyzną: wir sprechen polnisch, aber wir sind doch Deutsche; t. j. my mówimy po polsku, ale jesteśmy przecie Niemcami. Dowód to wielkiego obalamucenia ludu.

Tymczasem w Wiedniu zaczęło się powiększać zaniepokojenie umysłów. Z jednej strony przyczyniały się do tego podżegania

republikańskiej partii w Frankfurcie, która już w różnych stronach Niemiec wszczęła bunt. Z drugiej strony pojawiły się reakcyjne dążności arystokracji, grożące cofnięciem lub ścieśnieniem praw i swobód przez cesarza przyrzeczonych, i wywołały ogólną obawę. Ministerstwo dlatego odwłaczało spełnienie przyrzeczeń cesarskich. Pamiętnym tu jest znowu dzień 15. maja. W dniu tym wyruszyły legia akademicka i gwardya narodowa przed pałac cesarski dla poparcia prośby podanej do cesarza, a poruszono także robotników i tłumy ludu się zebrały. Narady ministrów trwały długo, i dopiero po północy nadeszła odpowiedź uspokajająca. Przez tę noc razem z legią akademicką spoczywałem od zmęczenia na bruku. — Lecz reakcja szła dalej; ministerstwo wydało rozkaz, żeby studenci złożyli broń, i uniwersytet otoczono wojskiem; ugodzono się jednak, że studentom pozwolono potrzymać broń. Atoli cesarzowi wmówiono, że w Wiedniu nie ma bezpieczeństwa, i nakłoniono go, że z całym dworem opuścił stolicę w nocy 18. maja, udając się do Insbruku. Chciano snadź przez to wywołać rozruchy, aby poskromieniem tychże poskromić żądania narodu. Istotnie dały się słyszeć głosy: niech żyje rzeczpospolita; ale rozważna część mieszkańców i gwardya narodowa łapała tych republikańców i oddała do więzienia. Wiedeńczycy wysłali deputację do Insbruku z prośbą, żeby cesarz powrócił, zapewniając mu wierność i miłość. Cesarz Ferdynand Dobrotliwy

więc po kilku tygodniach powrócił znowu do Wiednia.

Cprócz Niemiec, gdzie część austriackiego wojska stała w załogach, wyczerpywała Austria swe siły przeciw rewolucji we Włoszech, i ku temu przybyło powstanie węgierskie. Prowincje włoskie Austrii chciały się od niej oderwać, i zaraz po dniach marcowych zbuntowały się, a pomagały im całe Włochy, na czele król sardyński Karol Albert. Węgry nie zadowolniając się uzyskanymi już ustępstwami, dążyły do samoistności, a podżegane frankfurckimi urojeniami, ludziły się nadzieją, że im to ułatwione będzie przez wcielenie rakuskich krajów do Niemiec. Dlatego może, posądzony o zdradę generał Zichy, madzias, wydał Włochom Wenecję bez oporu; jednakowoż Radecki dzielnie się opierał przemagającej sile włoskiej. Na Węgrzech inaczej poszły rzeczy. Madziarzy, choć mniejszość w kraju stanowiący, przywłaszczali sobie uzyskane od cesarza swobody, a odmawiali ich innym narodowościom, Słowianom, Wołochom i Niemcom; stąd powstały wewnętrzne rozruchy i domowa wojna. Mianowicie Słowianom wzbraniłi Madziarzy używania słowiańskiego języka w szkołach, urzędach i sądach. Poruszili się Słowacy, żądając równych praw; za to prześladowano ich, chwymano i więziono ich zastępców, a przed domami tych, którzy zdołali uciec, stawiano szubienice. Mężniej stanęli południowi Słowianie, Chorwaci, Sławońcy, Serbowie, Granicznarze z dodatkiem Wołochów (Rumunów). Pod wodzą bana

chorwackiego Jelaczycza gromili wojska ma-
dziarskie.

Wśród tych zamieszek i frankfurckich uroszczeń, zagrożeni Słowianie zachodni postanowili koniecznie radzić o swem położeniu. Jak Niemcy do Frankfurtu, tak samo Słowianie zwołali w r. 1848. zjazd słowiański do Pragi. Pochop dali Czesi, a pierwsi zgodzili się na tę myśl Poznańczycy. Najbardziej uciśnione i zagrożone od Niemców szczepy słowiańskie uczuły gwałtowną potrzebę jednomyślnego postępowania w celu ocalenia swego. A więc zjazd słowiański miał obradować nad tem: żeby wszyscy Słowianie jako dzieci jednej matki podali sobie ręce ku odpieraniu nieprzyjaciół; żeby żadna narodowość przez drugą nie była udręczaną, jak tego wymaga równość i sprawiedliwość; żeby Słowianie utworzyli ściślejszy związek na podstawie piśmiennej wzajemności; żeby odeprzeć pangermańskie zachcianki Frankfurtu w celu obrony całości i niepodległości cesarstwa rakuskiego, a niedopuszczyć wcielenia Austrii do Niemiec, pod której opieką miałyby się skupiać zachodnie i południowe narody słowiańskie. Uchwały zjazdu słowiańskiego przeto miały być zwłaszcza cesarzowi austriackiemu przedstawione. — Program zjazdu tego wzbudzał wielką otuchę wśród Słowian. Książę Jerzy Lubomirski zachęcił mnie także, abym pojechał na ten zjazd. Wprzód napisałem do dra Kluckiego, aby z Cieszyna wysłano też mężów zaufania do Pragi. W Wiedniu właśnie zakończono wcześniej rok

szkolny, bo nikt już o kolegia nie dbał; moje nauki teologiczne też się ukończyły; była więc możność pojechania. Do tego zdecydował się także Andrzej Kotula, który również ukończył nauki prawnicze i kilku innych Ślązaków, którzy więcej z ciekawości do nas się przyłączyli. W Wiedniu zebrało się tymczasem wielu deputowanych i mężów zaufania z różnych ziem słowiańskich, i dnia 30. maja powołał nas pociąg kolejowy w liczbie przeszło 160 osób. Wesoła to była jazda, radosne potem powitanie w Pradze i serdeczne przyjęcie na wyspie zofijskiej, dokąd przybywających nas prowadziły tłumy studentów i ludności z chorągwiami słowiańskimi niebiesko-czerwono-białymi i czerwono-białymi, wśród okrzyków: Sława! Sława!

W dniu 1. czerwca ukonstytuował się zjazd czyli sobor słowiański, liczący ogółem 140 członków. Podzielił się na trzy sekcye według narodowości i krajowości: czesko-słowiańską, polsko-rusińską i południowo-słowiańską. Prezesem pierwszej sekcji był Paweł Szafarzyk, drugiej Karol Libelt z Poznania, trzeciej Paweł Stamatowicz z Nowego Sadu. Starostą czyli prezesem całego zjazdu obrano Franciszka Palackiego, a podstarostami księcia Jerzego Lubomirskiego i Stanka Wraza. Ponieważ Ślązaków przydzielono do sekcji czeskiej, udałem się do ks. Lubomirskiego, oświadczając, że my Ślązacy jako Polacy chcemy i możemy tylko do polskiej sekcji należeć. Poradził mi, abym napisał

stosowne oświadczenie, do którego przyłączył się także Andrzej Kotula, i w chwili przyszło przyzwolenie ze strony Czechów. Zdarzyło się wskutek tego, że dr. Purkinie, który był profesorem w Wrocławiu, chociaż rodem Czech, ale chcący reprezentować Śląsko pruskie, zaraz z czeskiej sekcji przeszedł do polskiej. Gdy zaś następnego dnia przybył z Cieszyna profesor dr. Plucar, także rodem Czech, a zgłoszwszy się do mnie zapytał, do której sekcji by miał wstąpić, odpowiedziałem zapytaniem: czy w swoim tylko imieniu, czyli na podstawie upoważnienia śląskich narodowców chce brać udział w zjeździe. I dr. Plucar przyłączył się również do sekcji polskiej. — Powyższe oświadczenie moje było wówczas pierwszą, głośną manifestacją przynależności Śląska do narodu polskiego. Czesi zgadzali się wtedy nawet na przyłączenie Księstwa Cieszyńskiego do Galicyi z powodu wspólnej narodowości. Oprócz tego zamanifestowania spełniałem na zjeździe jeszcze inną ważną czynność. Sekretarzem sekcji polskiej był Walewski, a mnie przydzielono jemu do pomocy, ponieważ obznajomiony byłem z słowiańskimi narzeczami i umiałem szybko pochwytywać główną treść mowców, dla ułożenia protokołów, gdyż stenografów nie było.

Dnia 2. czerwca po uroczystem nabożeństwie odbyło się pierwsze ogólne posiedzenie. Na ogólne posiedzenia zgromadzały się wszystkie trzy sekcje; oprócz tych odby-

wały się secyjne posiedzenia codziennie nawet po dwa. Program zjazdu na pierwszym posiedzeniu przyjęty obejmował następujące punkta: wzajemny stosunek Słowian austriackich i stosunek ich do innych narodowości monarchii austriackiej, stosunek tychże Słowian austriackich do innych Słowian, t. j. pod panowaniem Prus lub Rosyi i Turcyi, oraz do wszystkich narodów europejskich. Jedną z pierwszych czynności zjazdu była odezwa do węgierskiego ministerstwa, aby Madziarzy udzieliili Słowakom równych praw i przestali ich prześladować. Następnie zjazd ułożył dwa manifesty: jeden do narodów europejskich, drugi do cesarza austriackiego. Manifesty te tchną prawdziwą ludzkością i sprawiedliwością i lojalnością wobec zaborczych i wywrotnych zamysłów sejmu frankfurckiego. Obrady miały się już ku końcowi, gdy naraz przerwane zostały niespodziewanemi wypadkami.

Prażanie zatrwożyli się ściąganiem wielkiego wojska i ustawianiem dział na wzgórzach około Pragi. W dzień Zielonych Świątek udała się przeto deputacja legii akademickiej do komendanta księcia Windischgrätza z zapytaniem, co te przygotowania wojenne mają znaczyć. Windischgrätz dumnie ją zbył. Życzyli też sobie Czesi pozbyć się Windischgrätza, jak się go wprzód we Wiedniu pozbyto. W poniedziałek świąteczny, d. 13. czerwca odprawiano św. mszą na Końskim Targu z wielką uroczystością, poczem część ludu powracała około mieszkania Windischgrätza i niektórzy studenci

zawołali mu: pereat. Wojsko przygotowane uderzyło na lud bagnetami i zajęło głównejsze ulice. Lud zaś zaczął stawiać barykady i bronić się. Oddział wojska zaczął strzelać do narodowego muzeum, gdzie się odbywały posiedzenia zjazdu słowiańskiego, twierdząc, że stamtąd padł strzał na wojsko, chociaż nieprawdziwość tego zaraz dr. Dworzaczek protokolarnie stwierdził. Tak samo strzelało wojsko do hotelów, gdzie mieszkali członkowie zjazdu, pod pozorem, że stamtąd strzelano, czemu też zaprzeczono. Walka toczyła się na barykadach w ulicach. Na drugi dzień przyjechał z Wiednia generał Mensdorf celem przywrócenia pokoju, i był z radością witany, ale nic nie wyjednał. Potem Windischgrätz, gdy lud coraz więcej był rozjątrzony, zaczął bombardować miasto, które nareszcie w piątek poddało się na łaskę i niełaskę. Widocznie całe zajście było zamachem reakcyi, obmyślonem na przytłumienie młodej wolności. Nieprzyjaciele Słowian głosili, że zjazd słowiański dał powód do rozruchu; temu dostatecznie zaprzeczono, ale pewnem jest, że zjazd ten, chociaż spokojnie obradujący nad dobrem narodu, był też solą w oku reakcyi. Zawistni Niemcy głosili także, iż na tym zjeździe Słowianie w niemieckim języku się porozumiewali, i temu stanowczo jako świadek zaprzeczyć mogę, bo wszyscy w swoich narzeczach słowiańskich mówili. — Po uspokojeniu Pragi dopiero większa część członków zjazdu mogła wyjechać, i ja też powróciłem do Cieszyna.

Tu na miejscu odtąd już sam trudziłem się redakcją „Tygodnika“. Dostarczali już też do niego artykułów: pastor Jan Winkler, Andrzej Kotula, dr. Roic, Eisenberg, a później ks. dr. Prutek, ks. dr. Janota i inni, tylko od podpisywanego za głównego współpracownika Jędrzeja Cieniawy nie ma nigdzie żadnej pracy. Widocznie za wpływem „Tygodnika“, który podnosił narodowość polską w Cieszyńskim i czego ta narodowość wymaga, stało się też, że już z końcem maja przyszło do urzędu cyrkulowego Cieszyńskiego rozporządzenie, by dla ludu wszelkie pisma urzędowe w narodowym języku wydawano. Do Sejmiku śląskiego w Opawie mało było ustanowionych zastępców stanu chłopskiego, a żądano od nich języka niemieckiego; dlatego lud nie wybrał żadnych, aż warunek ten nieprzyjazny narodowości usunięto. Ministeryalny nakaz, ażeby w gimnazyach, w których nauka jest niemiecka, a większość uczniów słowiańska, przynajmniej język słowiański jako przedmiot wykładano, przyszedł także do Cieszyna, i tak na obu tutejszych gimnazyach, katolickim i ewangelickim powoli języki polski i czeski stały się obowiązkowymi dla Polaków i Czechów.

Jednakowoż te rozporządzenia jeszcze niewiele narodowości polskiej dopomogły, i trzeba było dalsze wymagania stawiać. Przewodnie moje myśli całej pracy dla ludu składały się z dwu wyrazów: narodowość i oświata, i pozostały niemi na zawsze. Narodowość bez oświaty nie może się rozwijać i żyć; oświata

możliwą jest tylko w narodowej mowie i musi służyć dla dobra narodu. Lud bez oświaty w duchu narodowym musi zginąć. Wśród trudnych i smutnych stosunków ludu polskiego na Śląsku było i jest to jedynie zdrowe hasło ku ocaleniu jego polskiej narodowości i zarazem jego bytu. Atoli już po zbombardowaniu Pragi, bez jej winy, już pojawiały się smutne troski o wolność narodową, i przewidywano nawet, że Wiedeń, cieszący się ze szkody miasta Pragi, nie ujdzie też podobnej klęski.

Ża powrotem do Cieszyna ubiegałem się o posadę profesora przy ewang. gimnazjum, która była otwartą, aby mieć pewną podstawę bytu. Lecz efor tego gimnazjum, pastor Andrzej Żlik, oświadczył mi wprost: *Aber Sie waren bei dem Slavencongres in Prag, so wird es nicht thunlich sein.* I na tem się skończyło. Później dowiedziałem się, iż także Andrzej Kotula ubiegał się o to miejsce, i jemu byłbym go życzył, bo przyrodniczymi wiadomościami byłby zaszczytem szkoły, ale eforowie z kolatorami obrali ukończonego także kandydata teologii, który był zawsze słabym studentem, lecz synem posiadacza wioski. Doznawszy takowego zawodu, myślałem przecie osiągnąć miejsce przy jakimś gimnazjum, i w tym celu przygotowywałem się dalej; starałem się nawet o profesurę języka polskiego przy uniwersytecie ołomunieckim, który jednak wkrótce zniesionym został. Szczególnie też zachęcali mnie znajomi Serbowie, bym się starał

o posadę w Serbii. Gdy o tem dr. Klucki i Andrzej Cienciąła się dowiedzieli, aby mnie uwięzić przy redakcyi „Tygodnika“ jakimś tytułem, podpisali mnie bez mojej wiedzy za redaktora. W nr. 14. z d. 5. sierpnia więc w naczółku „Tygodnika“ umieszczone były po pierwszy raz obok siebie takie tytuły: Wydawca dr. Ludwik Klucki. Redaktor P. Stalmach. Na tylnej stronicy w ostatnim rzędku jeszcze figurował kilka razy jak główny współpracownik: Andrzej Cienciąła. I w końcu dodano też: Z niniejszem bierze na się odpowiedzialność redaktora P. Stalmach. Nie podobało się mi to i oświadczyłem drowi Kluckiemu: że pracowałem i pracuję bezinteresownie dla „Tygodnika“ jako dla dobrej sprawy, a nie żebym chciał się czemś nazywać, dlatego umieszczenie mego podpisu bez umówienia wszelkiego jako igranie z moją osobą jest dla mnie ubliżeniem; nadto zauważyłem, że mi jeszcze brakuje krótkiego czasu do pełnoletności, którą ustawa przepisuje dla redaktora. Dr. Klucki łagodził to wszystko. Napomknąłem, że każdy tytuł ma swoje obowiązki i prawa, a więc jako redaktor miałbym też pobierać jakie wynagrodzenie, i dr. Klucki przyrzekł, że mi będzie płacił miesięcznie. Odtąd przy końcu każdego miesiąca jak redaktor pobierałem 5 złr. (pięć złr.). Później uczyłem dra Kluckiego także języka polskiego i za te lekcye otrzymałem drugie 5 złr.

Taki jest sposób wprowadzenia nazwiska mojego na widownię dziennikarską, a inne podania o tem są niepraw-

dziwe i próżnem upiękniemem zajścia. Andrzej Cienciąła pewnie obawiał się, iżby odejściem mojem okazało się, że on nie był w stanie pracą swoją umożliwić -wydawnictwo „Tygodnika“; takim tedy fortelem pomógł sobie. Przyznać się muszę, że pragnąłem pracować nadewszystko dla ludu swego we własnej krainie, i widocznie Opatrzność tak zrzędziła, że postanowiłem nie opuszczać Cieszyna. Skromne swoje potrzeby zdołałem zaopatrzyć z lekcyj.

Propaganda frankfurcka dziwne skutki w Cieszynie wywierała. Studenci wiedeńscy umieli ją prowadzić. Prosty mieszczuch wierzył, że Frankfurt zgotuje mu rajskie szczęście i kto choć kilka słów niemieckich wiedział, już chciał uchodzić za Niemca. Szał frankfurtczyków był zwrócony osobiście przeciwko zjazdowi słowiańskiemu i przeciwko Czechom, którzy ten zjazd spowodowali. Łatwo było też wmówić Cieszyniakom, że na tym zjeździe traktowano o wcieleniu Śląska do Czech i podniecano przez to nienawiść ku Czechom, która upamiętniła się wybuchem szczególnie przeciwko jednemu z członków zjazdu drowi Plucarowi. Na mnie skroili się tylko odmówieniem mi profesury, bo chociaż spowodowałem udział Ślązaków w zjeździe Słowiańskim, jednak ob-szerniejszej publice cieszyńskiej nie byłem znany do tej chwili, co przyjsz miała. Wkrótce po powrocie dra Plucara z Pragi poruszono całe miasto przeciw niemu i przygotowywano mu olbrzymią „kocią muzykę“. Na następną niedzielę zwołano wielkie zgromadzenie do ogrodu browaru zamkowego na godzinę 5. po południu, gdzie każdy miał się najprzód piwem posilić a potem o zmierzchu wziąć udział w

zaprojektowanej serenadzie, dlaczego też każdy powinien był przybyć z odpowiednim instrumentem do dzikiego koncertu. I dziwna, że nawet poważni obywatele dali się zwieść. C. k. starosta Pokorny i komisarz policyi dr. Ligocki usiłowali odwieść mieszczaństwo od tego zamiaru, ale nadaremnie, od przywódców ruchu ledwo uzyskali przyzwolenie, żeby dr. Plucar mógł sam przybyć na to zgromadzenie i wytłumaczyć się. W ustanowioną godzinę przybył dr. Plucar w towarzystwie starosty Pokornego i komisarza policyi dra Ligockiego. Wyraz zawziętego oburzenia był zamiast powitania. Dr. Ligocki przemówił do obecnych, aby się uspokoił i otwarcie powiedzieli, o co im chodzi, żeby dr. Plucar mógł się bronić od zarzutów. Zaczęła się straszliwa scena. Sfanatyzowani Niemcy występowali z dziwnymi oskarżeniami, obelgami i groźbami, i tu można się było przekonać o surowości niemieckiej, bo już niektórzy byli gotowi porwać się na słowiańskiego w oczach ich wielkiego winowajcę. Nareszcie dostał się dr. Plucar do głosu, mówił przekonywująco, zbijając czynione mu zarzuty, i potrafił większą część zgromadzonych przekonać i na swoją stronę pozyskać. Teraz też niektórzy z mieszczaństwa, mianowicie kupiec Jan Bernacik ośmielili się przemówić w obronie Plucara, a nie bez wpływu na całe zgromadzenie było to, że po stronie dra Plucara stoją wysocy urzędnicy, c. k. starosta i c. k. komisarz policyi. W końcu przeciwko najupartszym przeciwnikom wystąpił kancelista

cyrkułowy Englisch, potępiając ich niestusne i nieusprawiedliwione zaczepki. I stąd nastąpił zwrot taki, że dr. Plucar z starostą Pokornym i komisarzem policyj Ligockim mógł odejść spokojnie — a kocią muzykę wyprawiono potem nie jemu, ale — kanceliście Englischowi. I co więcej: od tegoż dnia nikt nie chciał ani wspomnieć o tym wypadku, wstydząc się swego rozumu.

Uderzyć tu musi brak świadomości narodowej. Mieszkaństwo cieszyńskie było jeszcze prawie całkiem polskie, bo pochodzenia polskiego, i mimo szkół niemieckich mówiło w familiach powszechnie po polsku. I temu mieszczaństwu zdołała garstka przybyszów niemieckich i kilku studentów wiedeńskich głowy przewrócić. Tak, bo chociaż Cieszyńszanie mówili po polsku i nawet tylko po polsku, nie poczuwał się jednak za Polaka. Czemu? Bo Polska zaprzedała Śląsko, Polak dotąd nie uznawał Ślązaka za brata i nie podawał mu nigdy ręki i Ślązak obrażony w swych najgłębszych uczuciach nie poczuwał się ani nazywał się Polakiem; w taki sposób wygasło w nim poczucie narodowe. I otóż propagatorom frankfurckim łatwo było przechylić Cieszyńszan do Niemców, łudzając ich zbawiennością wielkości rzeszy niemieckiej. „Tygodnik“, dopiero od kilku tygodni istniejący, nie zdołał objaśnić tłumowi, a nie było towarzystw, jak n. p. Rady Narodowe w Galicyi.

Kapitałniejsze jeszcze było to: Gwardya narodowa w Cieszynie rychło się utworzyła, i nawet w niektórych wsiach się zawiązała. W Cieszynie składała się z 5 kompanij i oprócz tego z kompanij uprzywilejowanych strzelców miejskich. Z początku komendantem był dr. Ludwik Klucki, później wybranym został dr. Antoni Demel. I w tej bowiem instytucji wybuchło prędko spółzawodnictwo narodowe. Dr. Klucki reprezentował partyę polską, a dr.

Demel niemiecką. Obydwaj byli jedynymi naówczas adwokatami w Cieszynie, i jako tacy w sądach zwykle przeciwko sobie stawali. Stąd wypływało, że i w innych stosunkach byli sobie przeciwnikami. Gdy chodziło o uniformowanie gwardyi narodowej, powstał spór o kolor wyłóżek (paspulów); jedni chcieli mieć czerwony, jaki miała morawska gwardya narodowa, drudzy obstawali za żółtym, który nosiła już istniejąca kompania strzelców miejskich, a przyjęty też był przez gwardyę narodową w Galicyi. Spór ten rozstrzygnąć miano na ogólnem zgromadzeniu gwardzistów. Dr. Demel pierwszy zabrał głos za czerwonym kolorem, przekonywując obecnych, że Śląsko należy do morawskiej gubernii i powinno też przyjąć oznakę morawskiej gwardyi narodowej, poczem zakończył wezwaniem: aby panowie, którzy są za czerwonym kolorem po prawej stronie sali stanęli, i prawie wszyscy przeszli na prawą stronę, a po lewej został tylko dr. Klucki z kilku zwolennikami swojemi. Lecz teraz zaczął znowu dr. Klucki, przemawiał siarczyście i stanowczo, że Śląsko jest polską krainą i mowa łączy go z Galicyą, więc cieszyńska gwardya powinna przyjąć kolor, jaki ma galicyjska gwardya; poczem wezwał także, aby panowie gwardziści, chcący mieć żółte paspule, przeszli na lewą stronę, i — tu znowu wszyscy przeszli na lewicę, a dr. Demel został samotny na prawej stronie. Śmiech rozległ się po sali, świadczący o stałości przekonań mieszczaństwa. Komenda cieszyńskiej gwardyi narodowej jednak udała

się potem do naczelnej komendy w Bernie, która rozstrzygła na korzyść czerwonego koloru, i tak niemieckość wzięła górę.

I dziś pomimo wielkiego postępu niemczyzny możliwą byłaby podobna igraszka. Dziś mieszczaństwo cieszyńskie idzie za kiwnięciem dra Jana Demla (syna). Gdyby jednak był odpowiedni następca dra Kluckiego, ocuciłoby się ono. Ale dzisiejsi arcyarodowcy, narzucający się do przewodnictwa, odpychają właśnie mieszczaństwo od sprawy narodowej, bo nie umieją i nie chcą się nim zająć i w taki sposób pociskają je w paszczę germanizacji.

Stronnicy Frankfurtu i niemczyzny nie mogli niezwrócić swej uwagi na „Tygodnik Cieszyński“ i rychło musieli nań wymierzyć swe pociski, ponieważ śmiało podnosił głos za narodowością polską i słowiańską, dlatego też obstawiał za niepodległością Austrii i jej niezależnością od Niemiec, a w Frankfurcie zbawienia dla Słowian nie upatrywał, owszem stamtąd grożące dla nich niebezpieczeństwo przewidywał, jak było w istocie. — Pierwszym publicznym pociskiem przeciw „Tygodnikowi“ było pismo ulotne pastora Karola Kotschego z Ustronia, które „na przestroagę dla tych, co czytają „Tygodnik Cieszyński“ wydał d. 17. czerwca 1848., a więc po 6-tygodniowym istnieniu „Tygodnika“. Pastor Kotschy wybrany za posła do Frankfurtu usiłował zgromić dążności narodowe „Tygodnika“ i jego opozycję przeciw Frankfortowi. Ja byłem wtenczas jeszcze w Pradze, a właściwie na wyjeździe z Pragi po sejmie słowiańskim. Dr. Klucki jako wydawca „Tygodnika“ nie chciał osobno odpowiadać na owe pismo Kotschego,

choć narodowcy odpowiedzi oczekiwali. Nareszcie nadesłał taką odpowiedź pan Stokowski ze Lwowa, którą umieszczono w nr. 12. „Tygodnika“. Było to nawet lepiej, że Polak ze Lwowa odezwał się w sprawie dotyczącej Śląska, przyznając słuszność zasadom „Tygodnika“ i zbijając zwodnicze twierdzenia Kotschego.

Wolno to już zwrócić uwagę, że wszelki opór przeciw usiłowaniom narodowym w Księstwie Cieszyńskim wychodził głównie od pastorów ewangelickich. I o tem usposobieniu ich przekonanie swe wyrazili już po dniach marcowych członkowie Towarzystwa austriackich Ślązaków w Wiedniu. Łatwo to sobie zresztą wytłumaczyć: wiara ewangelicko-luterska z Niemiec pochodzi.

Jednakże przestroga Kotschego mało skutkowała. Donioślejszem było przedsięwzięcie pastora Andrzeja Żlika, by przeszkodzić narodowym dążnościom „Tygodnika Cieszyńskiego“. Zaczął bowiem wydawać: „Nowiny dla ludu wiejskiego“ i pierwszy numer tychże wyszedł d. 5. lipca 1848., a więc dwa miesiące po rozpoczęciu wydawnictwa „Tygodnika Cieszyńskiego“, a w miesiąc przed umieszczeniem mego podpisu na tymże „Tygodniku“. „Nowiny“ zatem uwielbiały frankfurcki parlament i co z niego przychodziło, wysławiały Niemców, a występowały przeciw Słowianom, domagającym się niezależności od Niemiec i równych praw dla swej narodowości i wogóle hasło „narodowość“ ze strony Słowian uważały za bunt. „Tygodnik“ postępował swoją drogą, nie odpowiadając na zdania „Nowin“. Pastor

Żlik nie kontent z tego, pragnął polemiki. Ja unikałem jej, ale raz musiałem przecie się odezwać. Ponieważ stanowczo walczyłem za narodowość i dlatego w kilku artykułach „Tygodnika” przemawiałem za koniecznością polskiej nauki w szkołach śląskich, użył tego pastor Żlik do osobistej zaczepki. Pojawił się w nr. 23. „Nowin” artykuł pod napisem „o polszczyźnie w ewangelickim gimnazjum cieszyńskim”, zaczynający się temi słowy: „W „Tygodniku Cieszyńskim” już przez kilka numerów ktoś na to łaje, iż w ewangelickim gimnazjum cieszyńskim nie wszystkie wiadomości się wykładają po polsku i t. d.” Było to kłamstwo, bo nigdy nie mówiłem o ewangelickim gimnazjum z osobna, tylko w szkołach śląskich wogóle; ale według przysłowia: uderz w stół, a nożyce na nim się odezwą, odezwały się też „Nowiny”, bo im chodziło o niemieczynę w ewang. gimnazjum. Odpowiedziałem więc, wykazując, że w „Tygodniku” nie było nigdy mowy o ewang. gimnazjum w szczególności, i odparłem niedorzeczne wywody „Nowin”. Jednakowoż „Nowiny” jeszcze dalej na tej fałszywej drodze polemizowały. Wszakże, gdy chodziło o polecenie ministerialne względem zaprowadzenia języka „słowiańskiego” w cieszyńskich gimnazyjach, przełożeni ewangelickiego gimnazjum oświadczyli się za zatrzymaniem niemieckiego języka, podając za dowód, „że Ślązacy radzi się uczyć po niemiecku”. Wobec widoczna, że „Nowiny” w tym duchu z góry zapobiegały.

Należy tu dodać, że na pierwszych numerach „Nowin” podpisany był także dziekan cieszyński ks. Józef Paduch jako współredaktor. Pastor Żlik w porozumieniu z innemi pastorami przedsięwziawszy wydawnictwo tych „Nowin” dla większej powagi namówił do tego ks. dziekana Paduchę, pod pozorem: aby w tym niespokojnym czasie powstrzymać lud od niepokoju i buntów i ks. dziekan Paduch za pozwoleniem swej zwierzchności zgodził się na to, bo któżby na taką dewizę nie przystał. Pierwsze numery „Nowin” nosiły więc taki podpis: „Redakcja: J. Paduch, A. Żlik.” Ale jak świadczą przeciwnarodowe „Nowiny”, pastor Andrzej Żlik uważał za bunt głównie dążności narodowe Słowian, opór słowiański przeciwko Frankfurtowi, zatem te same objawy na Śląsku, a zwłaszcza żądanie polskiej nauki w szkołach; te bowiem dążności zwalczał pastor Żlik w „Nowinach”. Oprócz tego pastor Żlik sam jeden prawie zajmował się redakcją tychże „Nowin”, i bez względu na podpisanego katolickiego współredaktora i ludność katolicką pisał je jakby do samych tylko ewangelików, obrażając tem katolików. — Widząc to ks. dziekan Paduch, po kilku tygodniach odmówił swego podpisu i ogłosił swe odstąpienie z redakcji „Nowin” w publicznej odezwie, którą wydał do czytelników tychże „Nowin”. W odezwie tej ks. dziekan Paduch winuje pastora Żlika, że religię katolicką naruszał, a dalej między innemi mówi tak: „Szanownym czytelnikom oznajmić muszę, że

społeczną ową pracę z pozwoleniem zwierzchności mojej tak duchownej jak świeckiej podjąwszy, dobro ojczyzny naszej, pożytek bliźniego i chwałę Boską za cel najprzedniejszy sobie obrał i tegom jedynie pragnął, aby lud wiejski tak katolickiego jak i ewangelickiego wyznania w tychto burzliwych i niespokojnych czasach, w porządku i zachowaniu ustaw krajowych zostawając do pospolitego uspokojenia wspólnymi siłami dopomagał, a złym radcom, buntowniczym podszeptom złośliwych ludzi ucha nie nadstawiał, skoroby oni bądź ustnie, bądź przez drukowane pisma go zwieść i zbałamucić chcieli.“ Tę odezwę rozesłał ks. dziekan Paduch nawet z „Tygodnikiem Cieszyńskim“. I pastor Żlik w swoich „Nowinach“ poświadcza, że gdy ją z „Tygodnikiem“ odebrał, dopiero się dowiedział, „czemu ks. dziekan Paduch od redakcyi „Nowin“ odstąpił, bo szanowny spółredaktor to wypowiedzenie się od redakcyi do drukarni posłał, nie powiedziawszy ni słowa.“ To znowu jest dowodem, że pastor Żlik nie porozumiewał się wcale z katolickim spółredaktorem i redagował sam na swoją rękę. Wczesnem odłączeniem się od „Nowin“ dał też ks. dziekan Paduch świadectwo, że nie podzielał ich tendencyi przeciwnarodowej i nie myślał występować przeciw narodowym dążnościom, których nie uważał za bunt; owszem stwierdził, że podziela także narodowe zasady „Tygodnika Cieszyńskiego“, nazwanego później „Gwiazdką Cieszyńską“, którego to pisma był wiernym zwolennikiem

aż do śmierci. Łapka pastora Żlika, by mieć katolickiego dostojnika za zasłonę w pracy przeciwko narodowości, nie udała się.

Co do ostatniego ustępu zechce Czytelnik rozważyć, jak go sfałszować usiłowała w późniejszych czasach utworzona klika, o której była już wzmianka. Tutaj w imieniu kliki rolę fałszerza i kłamcy przyjął pastor Franciszek Michejda z Nawsia w tym zamiarze, aby spotwarzyć redaktora „Tygodnika“ i „Gwiazdki Cieszyńskiej“, Pawła Stalmacha, a to z następującego powodu. — Gdy w r. 1883. utworzyło się towarzystwo polityczne katolickie p. n. „Związek śląskich katolików“ zwłaszcza w tym celu, aby przeprowadzić wybory w duchu narodowym i wzmacniać poczucie narodowe wśród ludu, i Związek ten okazał się od razu potęgą, wtenczas jako redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej“ pochwaliwszy to usiłowanie strony katolickiej, wezwałem ewangelickich narodowców, aby oni również utworzyli „Towarzystwo polityczne ewangelickie“ dla podobnego działania i rozkrzewiania myśli narodowej wśród ludności ewangelickiej, gdyż największą część ewangelików glosuje zawsze z przeciwnem stronnictwem niemieckiem. Radziłem nadto, aby oba rzeczone Towarzystwa, katolickie i ewangelickie, paralelnie działając, porozumiewały się w sprawach politycznych i narodowych, gdyż poprzednie moje wezwania do utworzenia silnego „wspólnego Towarzystwa narodowego“ zostały bez skutku. Temu właśnie przeciwni byli ewangelicy narodowcy, i żądali odemnie jedynie, abym rozbił ów Związek katolicki. Przeciwno temu Związkowi, a głównie przeciwko mnie, żem go nie chciał rozbić, wydał więc pastor Franciszek Michejda broszurkę, w której wszystko fałszując i przekręcając, walczy niesłuszanem kłamstwem i w swej zajażdżności obdarza mnie największymi obelgami, jakie tylko zdołał zmyślić. — Otóż w tej broszurce pastor Fr. Michejda, zaczynając od r. 1848., czepia się nawet oświadczenia ś. p. ks. dziekana Paducha, z jakiej przyczyny od redakcyi „Nowin“ odstąpił i przekręcając słowa tego dostojnika kościelnego, powiada z dodatkami kłamstwa: że ten dostojnik kościelny „nie przypadkowo brał udział w redakcyi „Nowin“, ale — aby uchronić lud od złych rad i buntowniczych podszeptów narodowców, względnie p. Stalmacha i jego „Ty-

godnika". Notuje też pastor Franciszek Michejda wyraźnie, że ś. p. ks. dziekan Paduch w swoim oświadczeniu „przez drukowane pisma” rozumiał „Tygodnik” p. Stalmacha. — Tu już czytelnik może poznać zuchwałość i brak sumienia pastora Fr. Michejdy. W r. 1848. pastor Fr. Michejda śnać jeszcze nie był na świecie albo był jeszcze dzieckiem i z własnego doświadczenia nie może nic powiedzieć, a świadek z owego czasu nie ma i nie znajdzie, któryby p. Stalmacha śmiał nazwać buntownikiem. Więc pastor Fr. Michejda pracuje dla swego celu jako łgarz i kłam. a U niego ósmem przykazaniem śnać jest: „zmyślaj kłamstwa, aby fałszem spotwarzyć i oczernić bliźniego twego”. Chrześcijańskiego i moższowego przykazania ósmego: „nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu” on nie przestrzega i nie szanuje. I cóż myśleć o takim kaznodzieju. Teraz niechaj czytelnik i to uważy, o czem poprzednio umyślnie wspominałem. Początkowo podpisywali na „Tygodniku” dr. Klucki jako wydawca i Andrzej Cinciała jak współpracownik, bo ja jeszcze byłem we Wiedniu i potem w Pradze na zjeździe słowiańskim, a chociaż stamtąd zaopatrywałem „Tygodnik” artykułami, publiczności nie było to wiadomem. „Nowin” pierwszy numer wyszedł 5. lipca a mój podpis na „Tygodniku” pojawił się dopiero 5. sierpnia i do tej chwili ks. dziekan Paduch nie znał mnie ani z imienia ani z osoby, ażeby był chciał wystąpić przeciwko mnie jako buntownikowi, lub iżby był mógł uważać „Tygodnik” za moją własność. Tym anachronizmem zbija się pastor Fr. Michejda sam. a mógłby był jawnie w owym czasie podpisywać dra Kluckiego i Cinciałę wystawić za buntowników, jeżeli „Tygodnik” był buntowniczym. — Gdy zaś ówczesny „Tygodnik” jedynie obstawiał za narodowością i stawiał opór propagandzie frankfurckiej a pastor Fr. Michejda jeszcze w r. 1883. poczytał to „za złe rady i buntownicze podszepty narodowców, względnie p. Stalmacha i jego „Tygodnika”, otóż czytelniku sam utworzysz sobie wniosek, jaki to miły naród! więc ten pastor Fr. Michejda, kiedy dążności narodowe i budzenie narodowości śmiał nazwać buntownictwem. — Ale pastorowi Fr. Michejdzie przy tem fałszowaniu i kłamstwie jeszcze o coś więcej chodziło. Chciał on z tego, że ks. dziekan Paduch udzielił „Nowinom” swego podpisu na początkowych numerach, wysnuć dowód, że także katolicy sprzeciwiali się naro-

dowym dążnościom „Tygodnika Cieszyńskiego”. I tu pastor Fr. Michejda swawolnie oczernił w grobie spoczywającego ś. p. dziekana ks. Paducha. Otóż kiedy pastor Andrzej Żlik przedsięwziął wydawnictwo „Nowin”, gdyby był otwarcie powiedział, że chce walczyć o Frankfurt i przeciw narodowości, nie byłby uzyskał podpisu ks. dziekana Paducha. Ale gdy pastor Żlik podmówił, że „Nowiny” w owych burzliwych czasach chcą dopomagać do uspokojenia ludu i utrzymania go w porządku i zachowywaniu ustaw, a ostrzeganiu przed buntowniczymi podszeptami, na takie hasło byłby się podpisał każdy uczciwy i rozsądny obywatel, a więc na to i ks. Paduch łatwo mógł dać swój podpis. — Skoro jednak ks. Paduch przekonał się o przeciwnej tendencji „Nowin”, odmówił wkrótce swego podpisu, a oświadczenie co do tego rozesłał z „Tygodnikiem” i stanął szczerze przy stronnictwie narodowem, stwierdził przez to dostatecznie, że nie miał zamiaru sprzeciwiać się dążnościom narodowym na Śląsku, a na pastora Fr. Michejdę spada tu cały ciężar kłamstwa. — Z kłamstwami pastora Fr. Michejdy, jako też innych członków istniejącej klikki, jeszcze dalej spotykać się będziemy; zaznaczamy tu już, że wszyscy ci członkowie klikki nie mogą się obejść bez kłamstwa, a niestety składa się ta klika przeważnie z narodowców ewangelickich. Jak do wytworzenia się tej klikki szkodliwej przyszło, wykaże przebieg historyczny wypadków śląskich.

Jeszcze innego rodzaju agitację rozpoczęto przeciw „Tygodnikowi Cieszyńskiemu”, a to z powodu, że przyjął litery łacińskie, jakich ogólnie w piśmiennictwie polskim się używa, a nie szwabaskie, jakich Niemcy używają. „Tygodnik” przeto w 12. numerze odpowiada i objaśnia, że w czasie uzyskanej wolności „postęp” w oświacie ludowi jest potrzebny i dlatego lud powinien czytać i pouczać się z książek polskich, a te są drukowane łacińskimi literami, bo takowe przyjęli Polacy jak również i Czesi. Chociaż ewangelicy w swych szkołach więcej uczyli się po

polsku, jednakowoż oni tylko za powodem pastorów powstał przeciwko łacińskim literom „Tygodnika“, opierając się na tem, że ewangelickie nabożne książki mieli drukowane literami szwabaskimi czyli niemieckimi. Katolicy, chociaż dotąd w swych szkołach tylko po czesku się uczyli, nie czynili podobnego zarzutu przeciw przyjęciu i upowszechnieniu liter łacińskich. Nie dość na tem, zarzucano „Tygodnikowi“, że przyjął łacińskie litery, ponieważ to są katolickie litery i ponieważ naród polski jest katolicki; a że „Tygodnik“ bronił narodowości polskiej przeciw tendencyom frankfurcko-niemieckim pastorów, już wtedy nazywali go pismem katolickim, aczkolwiek z żadnego artykułu nie udowodnią mu tej katolickości, owszem znajdują, że obstawał on szczególnie także za wolnością wyznania ewangelickiego; bo miał na oku prawdziwą wolność a nie jaką wyjątkową.

Chodziło tu jawnym stronnikiem frankfurtyzmu czyli niemczyzny o odwołanie ewangelickiej ludności od dążeń narodowych i zaślepiano ją takimi matactwami, co możnaby nazwać chęcią utrzymania ewangelików w politycznej ciemności czyli obskurantyzmem. — Pastor Fr. Michejda pewnie także litery łacińskie „Tygodnika“ uznał też za złe rady i buntownictwo.

Wróćmy znów na szerszą widownię polityczną. Konstytucya z dnia 25. kwietnia, nadana przez cesarza Ferdynanda Dobrotliwego, została cofnięta z powodu, że według niej Sejm austriacki miał się składać z dwu Izb, a lud sprzeciwiał się temu. Przeto Sejm miał sam konstytucyę ułożyć. Do tego Sejmu wybrani zostali

z Księstwa Cieszyńskiego: W Cieszynie Hołdurek, mieszczanin ze Strumienia, we Frydku Józef Motyka, pens. audytor, w Polskiej Ostrawie Stieber, urzędnik prywatny, w Bielsku Karol Schneider, pastor. Pierwsze posiedzenie Sejmu odbyło się 10. lipca, ale posłów zebranych było jeszcze mało i nie można było rażno przystąpić do obrad. Na wstępie żądali też Niemcy, aby język niemiecki ustanowiono prawnie za język sejmowy, co wywołało rozdrażnienie. Polacy, a z nimi Czesi i inni Słowianie oświadczyli: Kiedy do tego Sejmu wchodzi tyle narodowości, uznajemy to, że najprędzej porozumiemy się w niemieckiej mowie, i dlatego tymczasowo tej mowy użyjemy, ale żeby Niemcy chcieli sobie przywłaszczyć to prawo i stąd wyższość nad nami, iżbyśmy ich mowę za mowę sejmową jako ustawę przyjąć musieli, tego nigdy nie dopuścimy; przybyliśmy bronić spraw naszego ludu i prawo używania naszego języka jest nam równie święte; ponieśliśmy ciężkie rany, które goić a nie jątrzyć należy. Polacy i inni Słowianie szli zgodnie i Niemcy przyznali się do klęski. Dopiero 22. lipca zagajony został Sejm przez arcyksięcia Jana w zastępstwie cesarza i odtąd obrady toczyły się regularnie, ale posłowie brali się głęboko do rzeczy i rozprawy rozwlekły się. Poseł Kudlich przeto już na posiedzeniu 26. lipca podał wniosek, żądający zniesienia poddaństwa. Zgadzało się na to wszyscy posłowie i dnia 31. sierpnia uchwalił ustawę znoszącą poddaństwo z pe-

wnem wynagrodzeniem dominiów; pomiędzy tem bowiem pracował nad łożeniem konstytucyi. W pierwszych dniach po swem zebraniu wysłał też Sejm deputacyę do cesarza Ferdynanda do Insbruku, żądając jego powrotu do Wiednia i zapewniając mu bezpieczeństwo w stolicy, i cesarz powrócił. Lecz ledwo kilka tygodni mógł jeszcze Sejm spokojnie obradować, bo następnie przeszkodziły mu nadzwyczajne i smutne wypadki.

Ponieważ dzisiejsi Niemcy z pewną chęlnością i prawie z bałwochwalczą czcią wysławiają umyślnie swego rodaka Kudlicha, jakoby jemu włościanie zawdzięczać mieli zniesienie pańszczyzny, a przez to samymże Niemcom chcą przywłaszczyć zasługę wiekopomnego wypadku, przypominamy tu jeszcze następujące okoliczności. Nietylko od pamiętnych dni marcowych było postanowionem zniesienie poddaństwa i żądały tego w owym czasie wyraźnie deputacye krajowe, polska, czeska i inne jakoteż konstytucya, nadana 25. kwietnia tę sprawę polecała, a sejmiki krajowe, mianowicie śląski i morawski też ją uchwałyły, ale nadto przed odezwaniem się Kudlicha dawno już wyszły ważne i stanowcze w tej sprawie patenty cesarskie. Tak patent cesarski wydany dnia 28. marca 1848. orzeka zniesienie pańszczyzny w Czechach, na Morawie i Śląsku już od dnia 31. marca owego roku z zastrzeżeniem pewnego wynagrodzenia, które poddani dla właścicieli spłacić mieli. Patent cesarski z dnia 17. kwietnia 1848. zaś zniósł pańszczyznę w Galicyi od dnia 15. maja, ustanawiając, że tam włościanie uwolnieni zostaną od powinności wynagrodzenia, które właścicielom ze skarbu państwa uskuteczniomem będzie. I ten patent ogłoszonym był we wszystkich gminach w Galicyi i chłopci galicyjscy przyjęli to uwolnienie jako dar cesarski. Niemieckie przechwalania Kudlicha nie są więc na miejscu. (Dodać tu można, jak niesprawiedliwem było ostatniemi czasy żądanie niemieckich liberalów w Radzie państwa, aby teraz Galicya spłaciła całe wynagrodzenie za włościan darowane tymże przez cesarza, a ponoszone przez skarb państwa od r. 1848.; gdy zaś to wbrew cesarskiemu słowu

było niepodobnem, piszą dziś chytrze o 100-milionowej darowiznie dla Galicyi.)

Wichrzenia frankfurcistów w porozumieniu z Madziarami wywołały we Wiedniu wielki niepokój i następnie groźny rozruch. Republikańska partya Sejmu frankfurckiego dążyła do rozbicia cesarstwa austriackiego, które miało przewodnictwo w rzeszy niemieckiej, bo myślała, że potem łatwiej obali też inne rządy niemieckie, utworzy ze zjednoczonych Niemiec republikę i zagarnie do niej kraje austriackie, chociaż przeważnie słowiańskie. Ta partya republikańska w Frankfurcie, będąc jednak w mniejszości i czując się słabą, sprzymierzyła się z Madziarami i podżęgała ich do oderwania Węgier od Austrii, łudząc ich uzyskaniem niepodległości ich państwa. Obie strony zwracały więc swą uwagę na Wiedeń, starając się wywołać tu powstanie przeciw monarchii. Tym konszachtom zapobiegali jednak Słowianie, usiłując zachować Austryę i w niej swoją niezależność od Niemców. Hasłem Słowian stało się: Gdyby Austrii nawet nie było, musieli-byśmy ją utworzyć. Robili tedy Niemcy i Madziarzy rachunek bez gospodarza. Atoli podżeganie frankfurckie i madziarskie nie pozostawały bez skutku w Wiedniu. Umysły Wiedeńczyków rozszalały urojeniem jakiejś nieokreślonej wolności i żądzą panowania z jednej strony Niemców, z drugiej Madziarów i ten szal doprowadził do wybuchu. Madziarzy utworzyli własny rząd pod naczelnictwem Koszuta, lecz nie mogli pokonać wojny do-

mowej, którą przeciw ich panowaniu podnieśli Słowianie, mianowicie południowi pod wodzą bana chorwackiego Jelaczycy. Wtedy Madziarzy wysłali deputację do cesarza, a gdy ta nic nie uzyskała, wysłali drugą deputację do Sejmu w Wiedniu. Lecz Sejm nie przyjął tej deputacji, iż to nie było zwyczajem, a oparli się temu Słowianie, bo Niemcy szli za Madziarami. Madziarzy byli w rozpacz. Wtedy miał Koszut powiedzieć: „Dam milion za to, jeżeli teraz w Wiedniu bunt się stanie.“ I stał się istotnie. — Wysłany od cesarza generał Lamberg jako pełnomocnik do Węgier, został w Peszcie zamordowany d. 28. września. Dlatego wysłano z Wiednia oddział wojska na pomoc Jelaczycowi. Gwardya narodowa i legia akademicka, wstrzymują pochód wojska. Część jednak gwardyi wyruszyła przeciw tamtej; rozpoczyna się walka i wznoszą się barykady. Lud odgraża się ministrowi Latourowi, tłum wpada do jego mieszkania, a mimo, że go zastaniają prezydent Sejmu Smolka i inni posłowie, tłum rzuca się nań z toporami i jakiś Madziarz zadaje mu cios ostateczny. Trupa Latoura wywleczono na ulicę i powieszono na latarni. Lud potem uderzył na zbrojownię i zdobył ją, odparłszy wojsko i uzbroił się. Działo się to 6. i 8. października. Rewolucya była gotowa. Cesarz Ferdynand opuścił znowu Wiedeń i wyjechał do Ołomuńca. Sejm nie mógł już także obradować we Wiedniu i przeniósł się do Kromierzyża 15. listopada. Windischgrätz i Jelaczyc otoczyli stolicę wojskiem, rozpoczęło się bom-

bardowanie i po kilkuniedniowym oblężeniu musiał się Wiedeń poddać. Przywódców buntu ukarano śmiercią.

Nie lepiej powiodło się Frankfurtowi, który w Austrii taki niepokój zgotował, a w Niemczech wywołał ruchy republikańskie, mianowicie w Badeńskim. W Frankfurcie samym już 7. lipca był wielki rozruch i przyszło do walki wojska z ludem. Sejm frankfurcki, chcąc utworzyć nowy rząd dla całych Niemiec, wybrał do 29. czerwca austriackiego arcyksięcia Jana za wielkorządcę i ustanowił ministerstwo przy jego boku. Nie podobało się jednak Niemcom, że Sejm uczynił wielkorządcę nieodpowiedzialnym. Królowie i książęta niemieccy ułękli się, że utracą swoją samodzielność i niepodległość. Wolnomyślni, tak w Sejmie jako poza Sejmem, dążący do republiki, niezadowoleni zaś byli z postępowania Sejmu. upatrując, iż stare stosunki tylko w nowej formie przywraca. Niespokój powiększyła wojna z Danią, którą Prusy o Szlezwik-Holsztyn niezręcznie prowadziły i niepomyślny dla Niemiec rozejm zawarły, a Sejm frankfurcki uchwalił ten rozejm. Lud na zgromadzeniach ogłosił członków Sejmu za zdrajców narodu i powstała burza przeciw Sejmowi. Minister wojny użył obecności wojska (austriackiego i pruskiego); nastąpiła straszna walka uliczna d. 18. września, w której między innymi dwaj pruscy deputowani, książę Lichnowski i hrabia Auerswald, zostali od ludu zathuczeni. Wojsko zwyciężyło, ale niepokój rozszerzył się na całe Niemce,

przypisując Sejmowi reakcyjność. Odtąd Sejm frankfurcki tracił powagę i dziwne też było jego postępowanie. Radził raz, żeby roztargać Austrię, mianowicie oderwać od niej niemieckie prowincje, to znów żeby cesarza austriackiego ogłosić cesarzem niemieckim. Pierwsze było niemożliwym, drugie nie podobało się. — Po takich kłopotach Sejm frankfurcki d. 27. marca 1849. ogłosił króla pruskiego cesarzem niemieckim, ale król pruski nie przyjął wyboru, iż to stało się bez woli panujących książąt niemieckich. Zatem arcyksiążę Jan rzekł się wielkorządnictwa i deputowani z Austrii zostali odwołani; rząd pruski taksamo odwołał swoich deputowanych. Dnia 30. maja Sejm frankfurcki zakończył swój byt. Reszta deputowanych zgromadziła się w Sztutgardzie, ale i tam wkrótce musieli się rozejść. Bunt wzniesione w różnych stronach zostały przez wojska pruskie stłumione. Przywrócono dawny stan rzeczy, t. j. Bundestag. Nastąpiły jednak zakłócenia między Austrią i Prusami o przodownictwo w Niemczech.

Propaganda frankfurcka i w Cieszynie szerzyła w r. 1848. swoje zasady pod płaszczykiem demokracji. A pocieszni byli ci demokraci cieszyńscy owego czasu. Ledwo który wiedział, co to jest demokracja, chyba tajni przywódcy, którzy mieli wytknięty cel i do niego pod tym wyrazem pozornie niewinnym dążyli; ale wszyscy mówili frazesami wyuczonymi, jakby z jakiego katechizmu. Tak nie wahali się twierdzić: Austria utrzymać się nie

może. Gdy im kto zarzucił: Słowianie ją obronią i utrzymają! temu pospolicie odpowiadali: Tyś jest czarno-zółty! Tak wyrazem tym pogardliwie oznaczano wiernych cesarzowi i porównywano ich z reakcyonistami. Co Ignęło do niemczyzny, w tym duchu przemawiało, a niestety mieszczenie i po części wieśniacy dla braku świadomości narodowej, bo przez wieki pozbawieni poczucia narodowego, podzielali te przewrotne zdania. Wobec tego można śmiało twierdzić, że istotnie Słowianie w owym czasie Austrię ocalili. Polacy cieszyńscy, jako Słowianie, byli zwykłe na takie dysputy przeciwnie narażeni. Głównem hasłem tych demokratów było słowo: wolność, bo na to każdy się zgadzał. Słowianie powiadali: Dobrze, wszak nam równie droga jest wolność i zdamy jej przedewszystkiem też dla naszej narodowości. Na to mniemani demokraci odpowiadali: Bojujcie o wolność, a nie o narodowość, bo ci, co podnoszą narodowość, tworzą reakcję przeciw wolności. Słowianie odpowiadali znów: My chcemy wyraźnie wiedzieć, co ma ta wolność znaczyć, i tak mówimy, chcemy mieć wolność włościan, wolność wyznań, wolność narodowości i t. d. Demokraci zaś udawali, że to wszystko już z Frankfurtu zapewnione. Słowianie odpierali im, że od Sejmu frankfurckiego Słowianie wolności nie oczekują i Słowianie do Niemiec nie mogą i nie chcą należeć, tylko do Austrii. Po takich dysputach demokraci związy się wolnomyślnymi okrzykiwali tych, co bronili narodowości za

przeciwników wolności, sami jednak nie wyjawiali, co pod wolnością mają na myśli. — Tak to szło w Cieszynie, dopóki Frankfurt nie utracił swej powagi, a w Wiedniu powstanie zostało uśmierzone. Za wpływem owych demokratów, utworzyły się też towarzystwa demokratyczne, naprzód w Bielsku i następnie w Cieszynie, przez które szerzyły się tendencje niemieckie. O niejednym z tych demokratów możnaby dodać, jak później stali się dręczycielami ludu, byli więc pseudodemokraci, którzy jakimś przewrotem spodziewali się czegoś dopiąć.

Gdy nadeszły dni październikowe i do Cieszyna wieści o powstaniu w Wiedniu dochodziły, powszechne i ogromne było zatrzwożenie. Wieści te były sprzeczne, a pewnej wiadomości nie dostawało się znikąd; gazet i korespondencji z Wiednia poczta nie dowoziła, telegrafów jeszcze nie było. Szły pogłoski już to, że Madziarzy pobili Jelacyca i cesarskie wojsko i pomagają Wiedniowi, już zaś, że Windischgrätz i Jelacyca wojska burzą i plądrują Wiedeń. Tak niemiecka jak słowiańska partya wielce się niepokoiły w tej niepewności. Inne pogłoski donosiły też o ruchach w różnych stronach. To naprowadziło na myśl ostrzeżenia i pouczenia ludu śląskiego przez zwołanie go na zgromadzenie, aby się spokojnie zachował w tych niebezpiecznych czasach. Podjęło tę myśl towarzystwo demokratyczne, ale w swoich zamiarach przezornie ukrywanych. Zwołano więc zgromadzenie

ludowe na dzień 19. października 1848. w Cieszynie, na które zostały wezwane przełożenia wszystkich gmin cyrkułu cieszyńskiego. Chodziło o mowców polskich, i Paweł Oszelda (doktorand medycyny z Nieborów) i dr. Juliusz Kozieł (osiadły wtenczas na gruncie chłopskim w Puńcowie) namówili mnie także za mowę. Miejsce na zgromadzenie urządzono w starych Solarniach, które zapełniło przeszło 5000 chłopstwa a wielu musiało pozostać poza ścianami. Tu pokazał się dr. Adolf Kolatschek, profesor cieszyński i poseł do Frankfurtu, jako przewodniczący tego zgromadzenia, co mnie nie-mało zraziło i zagaił po niemiecku krótkimi słowy zgromadzenie. Byłem ustanowiony za pierwszego mowcę. Objaśniałem, jakie nabytki i prawa uzyskana wolność przyniosła ludowi i jak lud, zwłaszcza też lud wiejski, ma te prawa sobie ważyć i o nie dbać. Gdy skończyłem, dosłyszałem słowa przez Kolatschka po niemiecku wymówione: nic nam nie uszkodził. Domyśliłem się, iż obawiali się, że wystąpię przeciw frankfurtyzmowi i jego tendencyom, co jednak pominąłem. Drugim mowcą był Oszelda i pierwsze słowa jego były, że nie będzie mówił jako ksiądz, jak jego poprzednik, mniemając moją osobę. Mówił on porywająco, wzywając do czynu, do pomocy Wiedniowi, wspominał nawet o kosach. Wspomnienie o kosach zdziwiło mnie nawet, nie przypuszczałem bowiem takiej pochopności u ludu śląskiego. Kolatschek i Fritsch z Bielska mówili po niemiecku, ale że w samym Cieszynie

było jeszcze nie wiele Niemców, a lud zgromadzony był polski, przeto wyzywające ich mowy były grochem rzucanym na ścianę. Nareszcie mówił dr. Kozieł i zakończył wezwaniem, aby obrano deputację do Wiednia dla wywieżenia się, co Ślązacy mają czynić. Do tej deputacji wybrani zostali: Nikel, lekarz z Cieszyna, Kolatschek i Oszelda. — Nie spełniła jednak ta deputacja swego mandatu. Z Bielska tymczasem wysłana gwardya narodowa na pomoc Wiedniowi w liczbie 130 osób została w Przerowie przez wojsko zatrzymana, rozbrojona i na powrót odesłana; ledwo kilku z księciem Sułkowskim bez broni przedarło się do oblezionej stolicy. Zatem i wspomniana deputacja pozostała w domu. — Nastąpiła komisya śledcza. Oszeldę, dra Kozła i kilku urzędników zgromadzenia osadzono w areszcie; dr. Kolatschek, oskarżony o zdradę stanu, ułotnił się do Niemiec. Mnie powołano raz na świadka.

Wspomniony już pastor Franciszek Michejda, który w roku 1883. usiłował złośliwym kłamstwem mnie spotwarzyć, z powodu wydawania „Nowin“ przez pastora Zlika przeciw „Tygodnikowi“ 1848. r., zmyślił na mnie oszczerstwo, wystawiając mnie za buntownika owego czasu. Otóż i tu może on znaleźć świadectwo przeciwko swojemu kłamstwu, iż komisya sądowa uważała mnie za spokojnego i za świadka tylko co do odbytego zgromadzenia mnie powołała. Także przytoczone wyrażenia mowców, Oszeldy i Kolatschka o mnie na tem zgromadzeniu, świadczące o mojem umiarkowaniu i prawem postępowaniu, mogłyby pastora Fr. Michejdę teraz skruszyć. Co do „Nowin“, gdyby były w tej porze zaburzonej zaczęły wychodzić, mogłyby być ogłosić, że chcą do uspokojenia ludu dopomagać, bo pierwszej podobnego zaniepokojenia nie było; ale „Nowiny“ sprzyjały frankfurtyzmowi, który właśnie dopiero groźliwe ruchy i rozruchy wywoływał.

W tym czasie obwiniały się nawzajem: kamaryla (otoczenie dworskie) i demokracja. Kamaryli zarzucano reakcję; demokracji buntowanie ludu. Istotnie demokracja podsycana mrzonkami republikańskimi z Frankfurtu, była przyczyną nieszczęsnych zawichrzeń. Po uspokojeniu Wiednia, Wiedeńczycy powszechnie wyjawiali i uskarżali się, że przyczyną zbuntowania ich miasta byli Frankfurci i Madziarzy, którzy chcieli zaburzyć Austryę na korzyść Niemców i Madziarów. Zajęci w powstaniu wiedeńskim zeznawali, że węgierski sekretarz Pulsy zapłacił na ten cel demokratom wiedeńskim 50.000 złr. Ależ i reakcyi nie można uniewinniać, a zwłaszcza wpływała ona na usposobienie wojska nieprzyjazne ludowi. Tak przez żołnierzy zwłaszcza madziarskich został wywołany rozruch we Lwowie 1. listopada i nastąpiło bombardowanie tego miasta. W Cieszynie zdarzyło się też, iż żołnierze z pułku Deutschmeister zdzierali studentom legionistom kapelusze i robili podrażnienie.

Deputacya na zgromadzeniu w solarniach wybrana, jak powiedziano, nie poszła do Wiednia. Natomiast, za wezwaniem „Tygodnika“ i za przykładem niektórych miast i krajin, inna deputacya, wybrana z okolicznych wsi, udała się d. 4. listopada do cesarza w Ołomuńcu, by mu złożyć podziękowanie za uzyskane konstytucyjne prawa i swobody i zapewnienie przywiązania ludu śląskiego do tronu, a oraz prosić o obronę i pomnażanie praw narodowych. Cesarz Ferdynand odpowiedział,

że konstytucyjnych praw i wolności strzedz i one pomnażać będzie. Potem deputacya wyraziła ministrowi Wessenbergowi jeszcze osobno życzenie, by w Cieszyńskim rozporządzenia urzędowe w polskim języku wydawano, a nie w czeskim, co też minister Wessenberger obecnemu gubernatorowi morawskiemu hr. Łażeńskiemu zaraz polecił. Hr. Łażeński spełniał poniekąd to polecenie, a przychylny temu był także starosta cieszyński Pokorny. Przeszkadzała jednak okoliczność, że urzędnicy polskim językiem nie władali, a przynajmniej po polsku pisać nie umieli, chociaż jako Ślązacy po polsku mówili. — Podobna trudność co do polskiego języka zachodziła w szkołach, mianowicie w obu gimnazyach cieszyńskich, wskutek pierwiej już wydanego rozporządzenia ministeryalnego dla Czech, Morawy i Śląska, żeby w gimnazyach, gdzie młodzież ucząca się jest przeważnie słowiańska, wykładano tymczasem język słowiański jako przedmiot, zanim język słowiański jako wykładowy się zaprowadzi. Za słowiański język w Cieszynie, jako krajowy, można było uważać tylko język polski. Na katolickiem gimnazyum z początkiem roku szkolnego 1848. przyjęto jednak język czeski, lecz na żądanie obywateli cieszyńskich wkrótce zaprowadzono również język polski; odtąd uczono tu obu języków, a tak samo na ewangelickiem gimnazyum. O zaprowadzeniu języka polskiego jako wykładowego później nie było mowy. Wszakże i we Lwowie, gdy na tamtejszem gimnazyum profesorowie

poczęli uczyć w polskim języku, rozkazano przywrócić niemieckie wykłady.

Oprócz wysłania wspomnianej deputacyi do cesarza utworzył się w Cieszynie także komitet z powodu niezadowolenia, iż sejm frankfurcki postanowił włączenie krajów austriackich do Niemiec. Komitet ułożył dwa adresy. Pierwszy adres wyrażał niezauwanie do posłów śląskich w Frankfurcie i dotyczył w szczególności dra Demla i pastora Kotschego. Drugi adres, wystosowany do sejmu w Kromierzyżu, wyrażał życzenie zachowania całości i niepodległości Austrii i odwołania posłów z Frankfurta.

Wspomnieć należy też o zachowaniu się ludu naszego w czasie poprzednich wypadków, że było wzorowo spokojne. Do tego upominał także „Tygodnik“. Jedyne zaszedł tylko wybryk, ale nie można zgoła zapisać go na karb ludu. Spowodowany był niechęcią Michnika, posiadacza wioski Żywocic, do zarządu dóbr hr. Larischa. Na gruncie tegoż Michnika w Olbrachcicach polowali 27. września jego syn (student) i z nim włościanie. Właśnie polowali tam także myśliwcy państwa Larischowskiego a napotkawszy onych, zajęli ich, odebrali im strzelby i zaprowadzili do jeneralnego sekretarza Stańka w Karwinej. Tenże uderzył Michnika ręką w głowę, aż mu się krew puściła. Potem związano Michnika i jednego chłopca i razem z nimi odwieziono wszystkich do Cieszyna, gdzie ich jednak studenci z niektórymi gwardzistami uwolnili. Za to d. 30. września

ojciec Michnik zebrał parę set chłopów i ruszył z nimi do zamku w Karwinej, żądając wydania stolicy i barbory (żyły), narzędzi używanych do karania, tudzież strzelb odebranych: a gdy to otrzymał, dał sobie od Stańka świadectwo napisać, że przyszedł jako przyjaciel do niego, i na tem skończyło się.

W jesieni 1848. r. często pokazywali się słowaccy przywódcy w Cieszynie, z powodu wojny węgierskiej i ucisku od Madziarów, szukający pomocy w Wiedniu, Pradze i Ołomuńcu. W końcu listopada zebrał się w Cieszynie oddział kilku set ochotników słowackich, by zrobić pospolite ruszenie między Słowakami, z nimi przybyli: Stur, Hurban, Zach, Borik i Bludek, ostatni jako komendant. Oddział ten otrzymawszy dla posiłku kilka kompanij wojska, na wymarszu złożył w Ropicy przysięgę wierności cesarzowi i narodowi, i przez Jabłonków wyruszył do Węgier. Wyrażali ci Słowacy życzenie, by ziemię słowacką połączono z krajami austriackimi tak, żeby wspólnie z niemi posłów do sejmu austriackiego wysyłać mogła, w tym celu wysłali też później deputację do cesarza. Mieszczaństwo cieszyńskie wogóle sprzyjało Słowakom, widząc ich udrczenie przez Madziarów, a oprócz pewnych frankfurcistów nie pochwalało pomocy niesionej przez Polaków Madziarom.

Znane w następstwie dziejowe wypadki możemy krótko tylko zanotować. Cesarz Ferdynand I. złożył koronę na rzecz

synowca swego Franciszka Józefa I. dnia 2. grudnia 1848., co uroczystym manifestem ludom Austrii oznajmiono. Cesarz Ferdynand przeniósł swą siedzibę do Pragi, gdzie stale zamieszkał. Następnie dnia 4. marca 1849. cesarz Franciszek Józef I. nadał konstytucję nową dla Austrii, przez ministerstwo wypracowaną i także na węgierskie kraje rozciągniętą, a zarazem sejm w Kromierzyżu został rozwiązany, ponieważ wypracowanie konstytucyi przewlekał i ponieważ część jego członków w październiku 1848. r. postępowaniem swoim zgorszenie dawała. Równocześnie t. j. 4. marca 1849. wyszło rozporządzenie o zniesieniu poddańczych ciężarów z ustanowieniem wynagrodzenia.

Przychodzi teraz zważyć ściślej postęp i rozwój sprawy narodowej w Cieszyńskiem. O głębszem poczuciu narodowem wówczas nie podobna mówić; zamarło ono w piersiach ogółu skutkiem wiekowego oderwania i zaniedbania Śląska od matki Polski i przygłuszała je umiejętnie także polityka od czasów cesarza Józefa II. Na brak tego poczucia może czytelnik znaleźć żale w ówczesnym „Tygodniku“; Ślązak doprowadzony do tego, że nie wiedział, czem sam jest, nie poważał dalszego Polaka jako swego brata, i Słowianina nie poczytał za krewniaka. Pojęcie narodowości było mu obcem; przez nieustanne artykuły w „Tygodniku“, przedstawiające narodowość jako obszerniejszą rodzinę, dopiero zaczęło się budzić i poczucie naro-

dowe u ludu. Za językiem polskim obstawał lud śląski od chwili uzyskanej wolności, jak dowodzą przytoczone żądania używania tego języka w urzędach i szkołach; a to z przyczyny, iż mu ten język tylko był zrozumiałym. Byli jednak przeciwnicy, bałamucący, że lud śląski nie mówi po polsku, chociaż jego narzecze jest najlepszem z polskich dyalektów; albo podsuwali, że należemy do morawskiej gubernii i język nasz jest morawski (czeski). „Tygodnikowi“ wypadało zwalczać te przeciwności, a że pismo samo nie wystarczało, potrzebnem okazało się nadto żywe słowo. Zwracałem więc uwagę na potrzebę towarzystw narodowych, jakie już w okolicznych krajach istniały, przez które możnaby ducha narodowego ożywiać. Podałem myśl założenia „Czytelni Polskiej“, i ta myśl przyjęła się. Za przykład posłużyła znana mi skuteczna działalność czytelni w Czechach i na Morawie, które szczególnie przyczyniły się do rozbudzenia życia narodowego wśród ludu czeskiego.

Założono tedy „Czytelnię Polską“ jako „Towarzystwo dla wydoskonalenia się w języku polskim“. Na kilku zebraniach w ciągu października ułożono i uchwalono ustawy, ogłoszone pod d. 29. października 1848., a uroczyste otwarcie „Czytelni“ nastąpiło potem 15. listopada. Lokal dla niej ofiarował bezpłatnie dr. Klucki w swym domu nr. 150. pod kasarniami. Do osiągnięcia wytkniętego celu „Czytelni Polskiej“, t. j. do wy-

doskonalenia się w polskim języku, służyły jako środki czasopisma, założenie biblioteki podręcznej, rozmowy i metodyczna nauka języka polskiego. Naukę tę mnie powierzono i była dość spora liczba uczących się, przychodzili na nią i niektórzy wyżsi urzędnicy. Dla utworzenia zaś biblioteki rozpisałem listy do redakcyj i znajomych osób i powoli nadchodziły dary. Dalej dla powyższego celu ustanowiono urządzenie zabaw raz na tydzień, które składały się z deklamacyj, czytania ciekawych ustępów z dzieł autorów i śpiewu. Te zabawy szczególnie znajdowały lubowników, a mianowicie podobały się piosnki polskie i słowiańskie, i utworzyło się towarzystwo śpiewu, a nawet kwartet muzyczny, który mu towarzyszył. Tu na miejscu będzie krótka historia tej „Czytelni Polskiej“. Według ustaw liczba członków wydziału miała się stosować do ogólnej liczby członków czytelni, tak iżby na 10 członków przybywał jeden do wydziału. Do pierwszego wydziału należeli trzej: Ks. dziekan Józef Paduch jako prezes, dr. Ludwik Klucki i dr. Józef Fischer: ci przybrali mnie do pisania protokołu i innych czynności. D. 27. grudnia ks. dziekan Paduch rzekł się prezesostwa, i na jego miejsce wybranym został ks. dr. Jerzy Prutek za prezesa, a z powodu powiększenia się liczby członków wybrano również mnie za czwartego członka wydziału i oddano mi sekretarstwo. Tak samo dnia 2. stycznia 1849. wstąpił Andrzej Kotula za piątego członka. Gdy członków „Czytelni“ ciągle przybywało,

pomnażał się następnie jej wydział; wstępowali do niego Jan Bartok, Franciszek Adamczyk i t. d. Ks. dr. Prutek d. 10. kwietnia zrzekł się także prezesostwa, jednak pozostał we wydziale i z osobliwszej dla „Czytelnia” życzliwości zobowiązał się oprócz rocznej wkładki wspierać ją kwotą 25 złr. rocznie. Odtąd dr. Klucki był stale prezesem. Ważniejsze z tego czasu uchwały wydziału dotyczyły wypracowania ustaw dla założyć się mającej „Biblioteki ludu kraju Cieszyńskiego” i wydania narodowych pieśni polskich słowiańskich. Były to dobrze obmyślane środki ku ożywieniu ducha narodowego. Gdy w lecie r. 1849. spalił się dom dra Kluckiego, w którym mieściła się „Czytelnia”, uchwalili wydział, żeby nowy lokal dla „Czytelnia” i „Biblioteki” znajdował się przy pomieszkaniu redakcji „Gwiazdki” i następnie za ten lokal wyznaczył kwotę 60 złr. rocznie. Odtąd „Czytelnia” z „Biblioteką” zostawała pod moją opieką, aż do jej zniesienia rozporządzeniem rządowym 1854. roku. W r. 1850. oddany też został „Czytelnia” księgozbiór byłego „Towarzystwa dla kształcenia się w polskim języku” na ewangelickiem gimnazjum i przyłączono go do „Biblioteki ludu kraju Cieszyńskiego”.

Pastor Franciszek Michejda winien tu znowu uderzyć się w piersi za swoje rozmyślne kłamstwo i oszczerstwo. Zwłaszcza że rzucił potwarz na ks. dziekana Paducha, jakoby tenże był przeciwnikiem narodowości, ponieważ na początkowych numerach „Nowin” razem z pastorem Żlikiem był podpisywany. Właśnie, iż frankfurtyzmu pastora Żlika nie po-

dzielał i dlatego od „Nowin” wkrótce się usunął a do „Czytelnia” jako prezes przystąpił, udowodnił ks. dziekan Paduch, że był przyjacielem narodowej sprawy. Może pastor Fr. Michejda przeciwko temu chciał podnieść, że ks. Paduch rychło zrzekł się prezesostwa „Czytelnia”. Aliści po nim ks. dr. Prutek także zrzekł się tego prezesostwa. Przyczyną było, iż księża chcieli, aby prezesem „Czytelnia” był raczej świecki członek, a więc dr. Klucki. Dalej pastor ks. Michejda, który przy tej samej sposobności usiłował mnie wystawić jako buntownika w oczach ks. Paducha, może się przekonać, że ks. dziekan Paduch nie uważał mnie za takowego, ponieważ ze mną pracował dla dobra „Czytelnia”.

Zapewne najlepszym dowodem starań wydziału ówczesnej „Czytelnia” jest zamiar założenia „Biblioteki polskiej dla ludu kraju Cieszyńskiego”. Ułożywszy dla niej ustawę wraz z odezwą, wydział wydał takowe i ogłosił drukiem pod d. 18. marca 1849. jeszcze za prezesostwa ks. dra Prutka. Biblioteka ta miała zostawać pod opieką „Czytelnia” polskiej, póki istnieje, a dla przyszłości obmyślano jeszcze osobny zarząd. Odezwa znalazła dobre przyjęcie między rodakami w Śląsku i poza Śląskiem. Ustanowiony za bibliotekarza, ponowiłem listowne prośby do redakcyj i księgarzy polskich oraz znajomych osób i rychło przybywały dary. Szczególnie księgarz Jan Milikowski we Lwowie, z którym już miałem stosunki, jako rodowity Ślązak przyczynił się nietylko swoim darem, ale także uzyskaniem sporej liczby książek od innych księgarzy lwowskich. Światlejsi z pomiędzy wieśniaków okolicy zaczęli też ochotnie korzystać z tego zakładu, jakkolwiek w począt-

kach skromnego. Przedsięwzięcie takie było koniecznością, ponieważ książki polskie, oprócz niektórych religijnych, były na Śląsku jeszcze rzadkością jak jaskółki białe; a nie tylko nie stało funduszów na zakupno dzieł, lecz trzeba też było zachęcać do obeznania się z literaturą polską. Powoli pomnażała się ta biblioteka aż do chwili rozwiązania „Czytelni Polskiej“, zaczem rozkazem rządowym oddaną została do biblioteki założonej przez Szersznika w Cieszynie.

Drugim chwalebnem staraniem wydziału „Czytelni Polskiej“ było upowszechnienie pieśni narodowych. Śpiew nie tylko rozwesela umysł, ale też podtrzymuje ducha narodowego. Gdy naród czeski w poprzednich stuleciach czuł się poniżonym przez smutne położenie, jedynie piosnki ludowe kupami rozpowszechniane na targach i śpiewane w chatach, jakby zarzewie utajone służyły do następnego jego ożycia. To uznał także wydział „Czytelni Polskiej“, gdy już w niej troszczył się o śpiew narodowy, a jak dalej w tej mierze postąpił, nie od rzeczy będzie wspomnieć. Jednym z pierwszych wieśniaków, który się do narodowego stronnictwa głosił, był Jan Harwot z Mistrzowic, ukończony gimnazjalista, osiadły na gruncie ojcowskim, pojmujący przeto ducha czasu. Przed ważniejszym i stanowczym zdarzeniem wspomnę o przypadku, jakie się dawniej nieraz zdarzyły. W lecie 1848. z profesorem drem Plucarem wybrałem się do tegoż Harwota. Mieszkanie jego jest obok drogi, mieliśmy je już przed

sobą, pytamy się do niego, ludzie odpowiadają: „W Mistrzowicach Harwota nie ma, ale w Mostach po drugiej stronie drogi.“ Zaszedłszy do wskazanego Harwota, słyszymy: „To nie tu, Harwot też jest w Mistrzowicach, ale go nazywają Wolny.“ Wkrótce potem byłem na weselu u tegoż Harwota mistrzowskiego, wydawał córkę za mąż. Pod wieczór miała być zabawa w karczmie, muzyka jakimś przypadkiem nie przyszła, i towarzystwo chmurzyło się; zachęcam do śpiewu i zacząłem pieśni narodowe. Towarzystwo całe rozweseliwszy się, brało udział w śpiewie i bawiło się do nocy, gdy niektórzy zaraz odpisywali te piosnki i powtarzali. Tam był pierwszy początek upowszechnienia śpiewek narodowych. Przedstawiłem tę rzecz wydziałowi i przedłożyłem zbiór stosownych piosnek, a wydział najchętniej uchwalił także d. 18. marca 1849. wydanie takowych drukiem na koszt i korzyść „Czytelni Polskiej“ pod nazwą: „Zbiór pieśni sławiańskich“, który wyszedł niebawem w tymże roku. Znalazła ta książeczka najlepsze przyjęcie, i odtąd śpiewano po wsiach podane pieśni narodowe. Pisarze polscy nieraz potem wyrażali podziwienie w pismach publicznych, że śpiewy narodowe polskie więcej są upowszechnione między ludem na Śląsku, aniżeli w innych krajach polskich. Zawierał zaś rzeczony „Zbiór pieśni sławiańskich“, oprócz pieśni polskich, także niektóre czeskie, słowackie, chorwackie i ruskie. Dodać jednak winienem, że nie zebrałem tych pieśni z pierwowzorów czyli

wprost z pism autorów, których nie mogłem posiadać, lecz jak krążyły między studentami słowiańskimi, z którymi jedynie podczas nauk miałem styczności; przeto do uniewinnienia są zdarzające się w nich myłki. Mimo tego warły one dobry skutek.

Dziś znowu gwałtowna okazuje się potrzeba zajęcia się śpiewem. Piosnki ludowe giną, zapominane bywają, bo ustały prządkli, już i pasterki nawet rzadko śpiewają. Śpiewki narodowe w r. 1848. 9. rozpowszechnione, po części już też poszły w zapomnienie, i wogóle mniej widać teraz u ludu naszego ochoty do śpiewania. Już nawet i pieśni pobożne, rzadziej odzywają się po domach. A prawdziwe jest przysłowie: naród, który rad śpiewa, nie tylko wesół ale i dobry bywa. Popatrzmy się na Niemców, chociaż lud niemiecki mniej śpiewny niż słowiański, jak oni przez swoje „gesangvereiny“ i swoje „liedertafle“ do siebie naszych ludzi wabia i przez to narodowość naszą osłabiają, bo się przeświadczyli, jaki wpływ wywierają śpiewem. Dzisiejsza „Czytelnia Ludowa“ w Cieszynie powinna sobie wziąć przykład z bylej „Czytelni Polskiej“ i nawet ze swoich własnych początków, a opiekować się śpiewem i przezeń upiększać zabawy urządzić. Ale ona zamiast śpiew pielęgnować, tworzy raczej fundusz śpiewacki. Widać w tem materializm górujący, a idealniejszy bo przyrodzona ochota niknie, stać i zabawy niema. Wprawdzie wydział „Czytelni Ludowej“ w swoich ogłoszeniach i pamfletycznym „Pamiętniku“ jubileuszowym mówi o zabawach, lecz oprócz rocznych wieczorków Mickiewiczowskich nikną wcale zabawy umysł podnoszące, dawniej tyle lubiane i ledwo jakie wieczorek tańczący się sklei. Nie ma osób do urzędu i nie ma ludzi do uczestniczenia. Według przysłowia, nie umieją się bawić, i nie umieją też pracować. Nie umieją i nie chcą za pomocą „Czytelni Ludowej“ pracować dla rozwoju narodowości naszej, co w dalszym ciągu dowodnie się wykaże, a zwłaszcza, że członkowie wydziałowi występowali przeciw zabawom.

Kiedy prawie najlepiej zaczęła się rozwijać praca narodowa, gdy „Tygodnikowi“ przy-

szła w pomoc „Czytelnia Polska“, wtem niespodziana nastąpiła przeszkoda. Wysłała ustawa prasowa, ustanawiająca kaucję od pism czasowych. Dr. Klucki, jako wydawca „Tygodnika“, oświadczył, że nie może złożyć kaucyi wymaganej. Inna atoli jeszcze powodowała nim przyczyna, oświadczył, że na dotychczasowe wydawnictwo tego pisma dopłacił 200 złr. mon. konw. i dalej dokładać nie może, przeto „Tygodnika“ wydawać nie będzie. I z dniem 31. marca 1849. nastąpiła przerwa w wydaniu „Tygodnika Cieszyńskiego“.

Skoro w „Tygodniku“ ogłoszono że przenieście wychodzić, ogłosiły „Nowiny“, których redakcyę po pastora Zliku objął profesor Kajzar od 1. stycznia 1849., że i one już wychodzić nie będą. Snać nie miały powodu ani ochoty walczyć w duchu niemieckim na przeciw narodowemu „Tygodnikowi“.

Odmówienie przez dra Kluckiego dalszego wydawania „Tygodnika“ bardzo mnie zmartwiło, iż doznałem takiego zawodu w chęci pracowania dla ludu. Wypadało rozmyślać nad sobą, co by dalej począć. Do pastorstwa nie miałem skłonności; wprawdzie w tym czasie, po ukończeniu nauk teologicznych, miewałem często kazania w Cieszynie i okolicy, bo pastorem chętnie dali się zastępować, aż mi się to sprzyrzyło, a szczególnie jedna okoliczność mnie zniechęciła. Pastorem lubią między sobą teologizować i zwykle pokazywał się tu skeptycyzm; zastanawiałem się, jak bez całkowitej wiary można co prawić ludowi w ka-

zaniach. Nie było też wówczas widoków na Śląsku, a starać się o posadę indziej było mi wstrętne. Marzyłem tem więcej o profesurze, a mając jakie takie utrzymanie z lekcyj, przygotowywałem się do egzaminu rządowego, licząc tem pewniej na umieszczenie przy ewangelickim gimnazjum w Cieszynie, ponieważ już traktowano o oddanie tegoż gimnazjum w utrzymanie państwowe, co istotnie w r. 1850. skutecznionem zostało. Na takim stanowisku wydawała się mi możliwą praca dla ludu własnego. Wkrótce jednak, rozważywszy rzecz, uznałem, że „Tygodnik Cieszyński“ przecie znowu dalej wychodzić może.

Umyśliłem podzielić go na dwa czasopisma i wydawać: „Tygodnik“ jako pismo niepolityczne, zawierające rzeczy naukowe, przemysłowe, gospodarskie i zabawne, a wychodzące raz na tydzień w sobotę, z wyjątkiem trzeciej soboty w miesiącu; tudzież „Przegląd“ wypadków politycznych, wychodzący co trzecią sobotę każdego miesiąca. Albowiem czasopisma niepolityczne, jakoteż polityczne, ale tylko raz na miesiąc wychodzące, nie podlegały obowiązowi składania kaucyi. Po tym namyśle wydałem odezwę z d. 3. czerwca 1849. i rozpisałem listy do znajomych rodaków; z tych niektórzy po kilku i kilkunastu prenumeratorów w swej okolicy przysporzyli, tak n. p. na Śląsku: ks. Franciszek Pawełek, proboszcz w Niemieckiej Lutyni, ks. Józef Paduch, dziekan w Cieszynie, ks. Józef Biłowski, proboszcz w Ligocie, ks. Franciszek Śniegoń,

(wówczas) proboszcz w Trzycieżu, ks. Wilhelm Raschke, pastor w Bystrzycy, ks. Jan Winkler, pastor w Nawsiu, Jerzy Oleownik, kupiec we Frysztacie, Franciszek Mira, gospodarz w Karwinie, Jan Matuszek, gospodarz w Olbrachcicach, Kotas, urzędnik prywatny we Frydku; w Galicyi zaś szczególnie. Książę Jerzy Lubomirski, Aleksander Sękowski, adwokat we Lwowie, Jan Milikowski, księgarz we Lwowie, Feliks Poradowski, dzierżawca w Kotowie pod Brzeżanami, Szymon Wróblewski, dr. medycyny w Krakowie, Józefat Kałuski z Zegartowic pod Gdowem i inni. Zebrawszy w ten sposób sumę zapewniającą utrzymanie pisma na niejaki czas, chociaż jeszcze według odezwy požądanych 300 przedpłacicieli nie było, zacząłem przygotowywać wydanie pierwszych numerów ogłoszonych czasopism. Tu wypada objaśnić okoliczność, która później niektórym osobom była zagadkową. Dr. Klucki, pierwiej nie chcący przystać na projekt, jaki teraz dla dalszego wydawania „Tygodnika“ do skutecznienia doprowadziłem, iż przedtem musiał dopłacić na wydawnictwo „Tygodnika“, oświadczył mi teraz, że chce znowu jak dawniej wspólnie ze mną do wydawnictwa należeć. „Dobrze,“ mówię, „pan doktor chce jak pierwiej być i podpisywać się jako wydawca?“ „Tak jest,“ oświadcza. „Rad będę temu,“ mówię dalej, „i pan doktor weźmie na siebie część administracyjną, a właściwie kwestyę pieniężną jak wprzód.“ „O tego nie biorę na siebie,“ odmawia stanowczo. „A to ja,“ rzekłem na to, „nie mam stąd żadnej pomocy.“

Gdy więc dr. Klucki na ten warunek się nie zgodził, wziąłem sam na siebie cały ciężar wydawnictwa. Dr. Klucki jednak potem prenumerował też na kilka egzemplarzy.

Wyszedł zatem najprzód d. 21. sierpnia 1849. pierwszy numer „Przeglądu“, zawierający opowiadzenie wypadków politycznych od chwili przerwy „Tygodnika“, t. j. od marca aż do sierpnia. Pierwszy numer odnowionego „Tygodnika Cieszyńskiego“ zaś wydanym został d. 1. września 1849. Zwłokę rychlejszego wydania obu tych pism spowodował pożar, który dotknął kilka domów, między temi także dom dra Kluckiego, gdzie się znajdowała „Czytelnia Polska“ z „Biblioteką“ i moje mieszkanie. Pierwszy numer „Tygodnika“ zacząłem od abecadła. Z przyczyny, że część czytelników oświadczała się, iż nie zna liter łacińskich, podałem więc porównanie tychże liter ze szwabaskimi, używanymi w druku polskim, czeskim i niemieckim, aby prościejszy lud mógł się z niemi oswoić. Następnie wychodziły oba pisma według programu i drukowane łacińskimi czcionkami, bo się do nich czytelnicy przyzwyczajali.

Po założeniu „Czytelni Polskiej“ z „Biblioteką dla ludu kraju Cieszyńskiego“ najważniejszym i najpotrzebniejszym dla oświaty ludu wydało się „Towarzystwo gospodarskie“. W tej myśli napisałem artykuł, umieszczony w Nr. 5. „Tygodnika“ z d. 6. października 1849., który znalazł poparcie w Nr. 8. Ale więcej trzeba było ustnie niż piśmiennie za-

chęcać, z powodu ociążałości i dla braku głębszego poczucia narodowego, wiekami przytłumionego u ludu śląskiego. Tymczasem pochwycili tę myśl Niemcy. Kiedy tu wzmianka o Niemcach, trzeba wiedzieć, że wówczas (jak nawet i teraz jeszcze) mało tu było prawdziwych Niemców, i to przychodniów, ale główny ich zastęp tworzyli poniemczeni przez szkoły Polacy ślascy, a zajmujący znakomitsze posady. W marcu 1850. zawiązało się tedy „Towarzystwo gospodarskie“ w Cieszynie pod przewodnictwem Gruberna, dzierżawcy dóbr w Bażanowicach, ale według ułożonych statutów obliczone zgola tylko na większych gospodarzy i inteligencyę fachową, więc w duchu niemieckim, a uniemożliwiające korzystać mniejszemu rolnikowi. Głównemi przeszkodami (które w Nr. 11. „Tyg.“ wykazałem) były: wstępne 5 złr. i wkładka miesięczna 30 kr. mon. konw., tudzież rozprawy w języku niemieckim. Początek zrobiony w Cieszynie spowodował namiestnika śląskiego Kalchberga, że zamiast cieszyńskiego postanowił utworzyć „Towarzystwo gospodarskie śląskie“, t. j. dla całego Śląska austriackiego z siedzibą w Opawie. Namiestnik Kalchberg lepiej pojął rzecz o tyle, iż posiadaczy gruntów chłopskich uwolniono od wstępnego a wkładkę miesięczną dla nich niższono na 6 kr. mon. konw. Utworzeniu polskiego „Towarzystwa gospodarskiego“ w Cieszynie położono w ten sposób tamę, iż wszystkich obywateli, na których czynność ono liczyć mogło, zaciągnięto do „Towarzystwa gospo-

darskiego śląskiego“ w Opawie. Wkrótce jednak i to „Towarzystwo gospodarskie śląskie“ dla niesprzyjających mu okoliczności zamarło na dłuższy czas.

Język polski w tym czasie zyskiwał z jednej strony na ważności, z drugiej strony jednak natrafiał znowu na różne przeszkody. Nadzieja żywiona od r. 1848. i opierająca się na rozporządzeniach ministeryalnych, co do zupełnego równouprawnienia języka krajowego powoli malała. Mianowicie ważnym był też okólnik ministra Bacha z 15. sierpnia 1849., orzekający: aby w krajach koronnych, które kilka narodowości obejmują, każdy urzędnik obeznał się dokładnie z językiem krajowym i wogóle starał się równouprawnieniu wszystkich plemion rzetelne znaczenie nadać. Nauka języka polskiego w szkołach już od r. 1848. rozporządzeniem rządowym została nakazaną. — W szkołach, mianowicie w gimnazyach cieszyńskich, w katolickiem, które od r. 1849. siódmą a od r. 1850. ósmą klasą uzupełniono, i w ewangelickiem, które od r. 1850. przyjęte zostało za państwowe, tudzież w urządzonej dwuletniej preparandzie, zaprowadzono naukę języka polskiego i czeskiego dla uczniów narodowości polskiej lub czeskiej, jako przedmiot nadobowiązkowy, pozostawiając język niemiecki za wykładowy. Względem miejskich szkół na zapytanie ministerstwa oświadczyli się dozorczy szkolni za polskim językiem wykładowym; lecz rada miejska, w której zasiadali koryfeusze niemieccy, uchwaliła pozostawienie

języka niemieckiego, a to ze względu na urzędników, a nie na ludność: nie przyjęła nawet języka polskiego za przedmiot obowiązkowy, tylko pozwoliła uczyć się go dzieciom, które chcą. Lepiej postąpiły inne gminy miejskie, które przynajmniej w początkowych klasach przyjęły język polski za wykładowy ze stopniowem przechodzeniem do niemieczyny we wyższych klasach. Natomiast wielka zmiana stała się w szkołach wiejskich. Zamiast czeskiego języka, który w nich z dawniejszych czasów był prawnie ustanowionym, gminy poczynszy od granicy galicyjskiej. od Bielska aż do Bogumina nad granicą morawską, jedna za drugą zaprowadzały język polski w swych szkołach. Pozostała jednak znaczna liczba gmin od strony morawskiej przy czeszczyźnie, a przyczyna później się objaśni. — W urzędach politycznych i sądowych w r. 1850. nowo urządzonych nie polepszył się stan rzeczy co do języka. Wprawdzie po odłączeniu Śląska od gubernii morawskiej namiestnik śląski Kalchberg. chociaż Niemiec, miał wzgląd na narodowości krajowe; wybadawszy zdania różnych stron, zaprowadził dziennik praw krajowych w trzech językach: niemieckim, polskim i czeskim; a objeżdżając kraj, przemawiał do wójtów, aby o szkoły dbali, żeby się dzieci w ojczystym języku uczyły pożytecznych wiadomości, również obiecywał, że książki szkolne i cyrkularze będą im w tej sprawie przysyłane, w jakiej żądać będą. Niektórzy urzędnicy starali się też zadośćuczynić życzeniom

ludu. Tak c. k. starostwa przyjęły napisy polskie obok niemieckich, lecz sądowe i inne zaprowadziły znowu czeskie. Już przy uroczystości zaprowadzenia tych nowych urzędów powstało niezadowolenie, iż wobec zgromadzonych wójtów mowy były tylko niemieckie, których ci nie rozumieli. Większe niezadowolenie powstało skutkiem wydawania pism urzędowych w języku niemieckim. W Skoczowie zdarzyło się w kancelarii sądowej, iż wójci, otrzymawszy wiele rozporządzeń i zarządzeń, a wszystkie po niemiecku, rzucili te papiery na stół, oświadczając, iż za wykonanie tego, czego nie rozumią, odpowiedzialnymi być nie chcą, a tłumacza nie mają ani pieniędzy dla niego. Podobne niezadowolenie było też indziej. Z tego powodu zaś gminy powiatu Cieszyńskiego wystosowały petycję do ministerstwa: żeby urzędy sądowe w Cieszyńskim do strzeżenia praw krajowej mowy naszej jakoteż do przyjmowania skarg, prośb i wszelkich pism w tejże mowie upomnionemi były. — Przeciwno tym życzeniom ludu zaczęli niektórzy urzędnicy zaprzeczać, że mowa śląska nie jest polską; inni zaś chcieli prowincjonalizm piśmienną mową dla Księstwa Cieszyńskiego uczynić. Taką próbę zrobił prezydent Cieszyńskiego sądu obwodowego Lipka, Cieszyńszanin, nazywający się zawsze Słowianinem i zaczął wydawać okólniki niby w języku śląskim, ale wcale nie w takim, jakim lud Księstwa Cieszyńskiego mówi.

Różnica religijna w Cieszyńskim zawsze też szkodziła i szkodzi potężniejszemu

rozwojowi narodowości, bo tworzy niejedność w dążnościach, stronnicze wyściganie się w osobnych celach a pomijanie wspólnych i stąd częste niesnaski. Od początku reformacji protestantyzm, jako strona wydobywająca się, miał charakter zaczepny i nie inaczej mogło być na Śląsku. Jest też to cechą protestantyzmu, że musi wiecznie walczyć przeciw katolicyzmowi, i w tem posuwa się dziś nawet aż do negacyi chrześcijaństwa. Nie dziw, że taka zaczepność, razem z odpornością przeciw myśli narodowej, pojawiła się u ewangelików w Cieszyńskim zaraz po uzyskaniu swobód 1848. r. Profesor przy ewangelickim gimnazjum Kajzar, po zaprzestaniu „Nowin“, zaczął wydawać „Krótką historję kościoła wiary ewangelickiej w Księstwie Cieszyńskim“. Wydanie to zbyt obrażające katolików, a razem podżegające ewangelików, wywołało naturalnie wielkie zaniepokojenie tak u jednej jak u drugiej strony religijnej. W uśmierzeniu tego niepokoju wyręczył mnie Andrzej Kotula swojemi artykułami w „Tygodniku“ umieszczonemi, kiedy mnie osobiste stosunki z pastorami i profesorami ewangelickimi więcej krępowały. Kotula zbił należycie wyzywającą szermierkę Kajzara, tak, iż tenże musiał poprzestać na ogłoszeniu jednego rozdziału, a dalszego zaniechać. Profesor Kajzar w odpowiedzi chciał się usprawiedliwić tem, że na Śląsku katolicy i ewangelicy żyją zgodliwie; aleć właśnie dla tej zgody nie miał on zarzuconą mu słusznie zaczepnością szukać i tworzyć nieprzyjaciela; za co Kotula zręcznie

dał mu jeszcze dosadniejszą odprawę. Wyszła przeciw książeczce Kajzarowej także od katolickich księży „Odezwa do katolików“, która celowała chwalebnem umiarkowaniem, za co i u ewangelików znalazła uznanie. Przecież „Tygodnik“ głównie przyczynił się, że prof. Kajzar i z nim znać niejedyn inny umilknął i rzecz uciszyła się. — Różnica religijna i pojawiająca się stąd niesforność uwidocznia przyczynę, dla której oba wyznania w Cieszyńskim we wspólnej sprawie, jaką jest narodowa, nie postępowały jednomyślnie. Poprzednio wykazałem występowanie pastorów przeciwko tendencji narodowej „Tygodnika“, i ten duch pozostał u nich trwale. Skutkiem tego było, że nawet pastor Winkler, gorliwy narodowiec i z początku zwolennik „Tygodnika“, teraz zaczął nań w morawskich czasopismach wymyślać, chociaż pod innemi pozorami, za co dał mu znów Alojzy Eisenberg (później dr. praw i adwokat) odprawę, iż musiał też umilknąć, zwłaszcza, gdy inne czechosłowiańskie pisma podnosiły, jako „Tygodnik Cieszyński“ pod redakcją P. Stalmacha odznaczał się własnościami obok innych dzienników polskich osobliwie rzadkimi: słowiańskim duchem i wolnem od przesądów myśleniem.“ — Z owego czasu znajdują się dość liczne korespondencje ze Śląska przezemnie pisane do dzienników polskich, a także i do czeskich i chorwackich, na które nawet powołują się późniejsi pisarze. W czasopismach poznańskich, zwłaszcza z powodu pewnego podobieństwa stosunków, przed-

stawilem już w r. 1849. stan rzeczy co do wyznań religijnych na Śląsku i dziś mogę powiedzieć, że go scharakteryzowałem jak na ów czas prawdziwie w ten sposób. Ludność ewangelicka w Cieszyńskim jest więcej oświecona i skłonniejsza do czytania, ponieważ już z dawniejsza w szkołach ewangelickich uczona także po polsku, zaczęła też wbrew usiłowaniom swoich pastorów i nauczycieli sprzyja narodowemu postępowi i najgorliwiej żąda zaprowadzenia mowy ojczystej do szkół i urzędów. Ludność zaś katolicka, że dotąd miała czeską naukę w swych szkołach jako mniej uzdolniona do czytania i również do pojmo-
wania sprawy narodowej, aczkolwiek duchowieństwo katolickie gorliwie popiera rzecz narodową. Jeszcze inne pochwały udzielałem ewangelikom, bo mi chodziło o zjednanie dla nich zaufania w katolickich ziemiach polskich. Dodać winieniem jednak, że jako wyznaniem złączony i po temu sposobność mający mogłem i musiałem osobiście ewangelików, nawet dotąd jako narodowców wychwalanych, przekonywać o pożyteczności i korzyści dla nich z uzyskania praw narodowych: kiedy katolicy włościanie więcej sami z siebie przychodzili do tego przekonania z naturalnego poczucia, a jako takich gorliwców wymieniam, choć niektórych z pamięci, jako to: Franciszek Mira i Franciszek Szkrła z Karwinej, Józef Benda z Zawady, Jerzy Juzof z Niem. Lutyni, Moroń z Piotrowic i t. d.

Osoby ze wzmiankowanej już kliki, jak Fr. Michejda, lubią powtarzać udzielane przezemnie wówczas ewangelikom pochwały, choć jako przeżyte już frazesy, bo nie lepszego nie wiedzą. W dziennikach polskich nawet często rozgłaszały, jakoby cały ruch narodowy w Cieszyńskim pochodził od ewangelików i jakby mu pastorem przewodniczyli. Ale historia świadczy inaczej. Jak powyżej przytoczone fakta dowodzą, już od r. 1848. pojawiają się ze strony ewangelickiej zaczepki na drugie, katolickie wyznanie, a również okazuje się tam przeciwieństwo dążeń narodowej przez pastorów rozpoczęte. Stosunek ten nie zmienił się dotąd i owszem pogorszył się. Ogół ewangelików trzyma z partją niemiecką; niewielu jest ewangelików szczerze i bezwzględnie narodowych; a reszta, też bardzo mała garstka chętnych narodowców ewangelickich, jest o tyle narodową, o ile widzi jakieś osobiste korzyści dla siebie, zwłaszcza zaś o ile może wyzyskać katolickie stronnictwo narodowe, ponieważ wśród ewangelickiego ludu nie ma za sobą stronników. Skoro jednak katolicy tym osobom nie dają się wyzyskiwać, wygląszaniem to bywa za prześladowanie ewangelików. Tak przed kilku laty krakowskie dzienniki, najtę przez pewną osobistość w Krakowie, szukającą z temi niby narodowcami wyzysku na Śląsku, zhańbiły się wymysleniem strasznego prześladowania ewangelików przez katolików, że każdy Polak pozaśląski myślał, iż tu okropności się dzieją i dziś jeszcze niejedyn w Galicyi i Królestwie nie wygoił się z tego mniemania. Owa garstka a raczej klika ewangelickich narodowców szkodliwszą jest, niż jawnie z Niemcami idąca partja ewangelicka, i więcej uszkodziła postępowi sprawy narodowej, aniżeli sami Niemcy. Czytelnik z dalszego opowiadania przekona się o tak smutnej rzeczywistości.

Na pruskim Śląsku Górnym pracownicy narodowi mieli łatwiejsze w tym względzie zadanie, że tam ludność prawie cała jest katolicka i to milion dusz licząca, bo ewangelików, chociaż pod rządem protestantckim, jest tam stosunkowo mało. Oprócz innych pracowali tam piśmiennie już przed r. 1848. osobiście nauczyciel Józef Lompa w Lubczy i

ks. Ficek w Piekarach. Rok 1848. wyprowadził na widowinę publiczną liczniejszy zastęp pracowników i opiekunów narodowości polskiej, jako to: Ks. Szafranek, ks. Stabik, ks. Stepanek, ks. kanonik Janeczko, ks. biskup sufragan Bernard Bogedain, nauczyciel Smółka w Bytomiu, Karol Kosicki, dziedzic z Wielkich Wilkowic i nawet hr. Renard z Wielkich Strzelec. Głównym organem narodowym był „Dziennik Górnoszląski” w Bytomiu, redagowany przez Józefa Łepkowskiego, Krakowianina, którego jednak rząd pruski w końcu 1849. roku kazał wydalić. Nadto poczęło tam wychodzić jeszcze kilka innych miejscowych pisemek. Tworzyły się także Czytelnie po miastach. Ks. Szafranek, wybrany 1848. r. za posła do sejmu w Berlinie, domagał się kilkakrotnie i gorąco, aby język polski był zaprowadzony we wszystkich urzędach, szkołach, gdzie jest narodowość polska i aby Polakom śląskim zapewniono prawa ich narodowości. Lecz sejm pruski był głuchy na to i wskutek reakcyi ustał ruch narodowy na pruskim Śląsku. W następnych czasach lepiej zdolało się opierać uciskowi niemieckiemu austriackie Śląsko, z powodu, że w Austrii więcej Słowian, niż pod rządem pruskim. — Prawdą też jest, co podniosłem w jednym z pism poznańskich w roku 1849., że początki ożycia narodowości polskiej na Śląsku austriackim przypisać należy myśli wszechsłowiańskiej, jaka przed rokiem 1848. ożywiła i kojarzyła ludy słowiańskie w Austrii do braterskiej jedności, a dopiero wskutek

tego najbliżsi Śląskowi austriackiemu Polacy w Galicyi zaczęli nim zajmować się.

Gdy rząd austriacki w celu pokonania gwałtownych wstrząśnień zaprowadził stan oblężenia nie tylko w Węgrzech, ale i w niektórych krajach i głównych miastach austriackich, nastały trudniejsze czasy, zwłaszcza dla redaktorów. Wskutek ogłoszonego stanu oblężenia we Lwowie został między innymi redaktor Jan Dobrzański skazany na fortecę w Jozefstacie, znany mi już z kongresu słowiańskiego w Pradze. Wspominał on później kilkakrotnie o małej przysłudze, którą za drobnostkę uważałem, aczkolwiek on ją sobie cenił. Przewożono go w okowach przez Cieszyn z innymi więźniami. Poznałem go przed mieszkaniem transport-komendanta, w którego domu miałem znajomość; przez córkę i syna udałem się do matki, a matka do ojca. Pan transport-komendant dobrocisko pomruczał, ale za odebraniem słowa honoru uwolnił Dobrzańskiego z więzów i pozwolił mu w Cieszynie na czas wypoczynku użyć swobody. Wzmianki godnem też jest, że wielki pożar Krakowa dnia 18. lipca 1850. wzbudził w cieszyńskim mieszczaństwie żywe współczucie i wskutek odezwy w „Tygodniku“ zebrałem stokilkadziesiąt zlr. m. k.

Miejscowe stosunki kształtują się zwykle według wielkiej polityki i wypada tu z dziejów politycznych przytoczyć co najważniejsze. W szczególności o wojnie węgierskiej wspomnieć należy, że w r. 1849. przybrała groźne rozmiary, stała się prawie wojną euro-

pejską. gdy z różnych krajów żywiły rewolucyjne i republikańskie zbiegły się tu pod pozorem pomagania Madziarom, a zdolni jenerałowie polscy: Dębiński, Bem, Wysocki objęli komendy w armii powstańczej. Austria, zatrudniona równocześnie wojną we Włoszech, nie miała zadosyć wojska dla pokonania Węgrów. Rosya przyszła jej na pomoc i jej wojska pod dowództwem Paszkiewicza z początkiem maja wkroczyły na węgierską ziemię. Jeden mniejszy oddział konnicy rosyjskiej przechodził też przez Cieszyn i mieszczenie cieszyńscy dziwowali się, że z pomocą języka polskiego mogą się z Rosyanami domówić i chwalić ich grzecznie i dobre obejście się. Wojna ta ukończyła się, gdy naczelny wódz węgierski Görgej poddał się Rosyanom d. 13. sierpnia 1849. pod Vilagosz, zaczęły też wszystkie wojska węgierskie jakby za jakimś znakiem poddawały się tylko Rosyanom, a część z Koszutom i niektórymi dowódcami przeszła do Turcji. Rosya przyniosła tę pomoc Austrii po części ze względu na własne bezpieczeństwo, bo wojnę węgierską uważała za początek do wojny polskiej, której się obawiała, — Równocześnie Radecki pokonał też powstanie włoskie i d. 6. sierpnia 1849. zawarty został traktat pokojowy w Medjolanie między Austrią i Sardynią. — Jeszcze w Niemczech tylko trwały niepokoje. Parlament frankfurcki rozchwiał się skutkiem nieporadności swojej, ale na swym schyłku wywołał bunt w różnych stronach, które jednak przez rządy niemieckie zostały uciszone.

Z początkiem r. 1850. rząd austriacki postanowił przyłączyć całą Austryę (z Węgrami i Galicyą) do Związku niemieckiego, co między Słowianami austriackimi wywołało wielkie niezadowolenie, a i Rosya odezwała się przeciwko wcieleniu wszystkich krajów austriackich do Niemiec. Tak samo Prusy ogłosiły przyłączenie swych prowincyj polskich do Niemiec. Tymczasem utworzył się związek północno-niemieckich krajów z Prusami i Związek południowo-niemieckich państw z Austryą na czele. Z tego zaś powstało współzawodnictwo między Austryą i Prusami o pierwszeństwo w Niemczech i groziło wojną, którą zażegnały konferencye w Ołomuńcu w listopadzie 1850. odbyte i następne układy, mocą których Austrya uzyskała przodownictwo w bundestagu.

Lata od 1850. do 1860. nazywają powszechnie czasem reakcyi i reakcyja ta ogarnęła całą Europę. Po każdym natężeniu następuje przesilenie. Ludy przesiliły się we swoich wymogach i rząd pochwycił je znowu w dyby swoje. Dobrze też było poskromić skrajne i wyuzdane zamysły onego czasu; ale bolesnym był zawód w oczekiwaniach ludów, które tylko potrzeb żywotnych się domagały. A taką żywotną potrzebą dla Śląska było, jak i dotąd jest: Uwzględnienie jego narodowości, udzielanie równouprawnienia językowi polskiemu w szkołach i urzędach. Zgodzić się należało na pokonanie Madziarów, usiłujących rozzerwać Austryę i ujarzmić większość słowiańską;

również pochwalić trzeba przyciszenie zamiarów frankfurckiego parlamentu utworzenia Wielkich Niemiec, które chciały pochłonać kraje słowiańskie Austryi i Prus i stałyby się nawet dalszej Słowiańszczyźnie groźnemi. Lecz dla Słowian, szczególnie austriackich Czechów, Słowiańców i Chorwatów smutnem to było, że najwięcej dołożyli się do zachowania austriackiego państwa, a teraz wcale za to nie byli uwzględnieni. Austrya powróciwszy na dawne tory, chciała być niemiecką i po niemiecku zaczęła znowu rządzić wszystkimi swojemi ziemiami.

Narodowość polska naszego Śląska, kojąca się uprawnionemi nadziejami, rychło doznała też rozczarowania. Tak dr. Klucki, opierając się na przyrzeczeniu w nadanej konstytucyi równouprawnienia narodowego, zaczął w sprawie stron po polsku mówiących podawać skargi i podobne pisma do sądów Cieszyńskich w języku polskim. Sąd obwodowy Cieszyński zwrócił mu te pisma pod pozorem, iż nie są w krajowym języku pisane. Dr. Klucki apelował do wyższych sądów, ale nadaremnie. Z sądu obwodowego Cieszyńskiego otrzymał swe dokumenta na powrót, razem z orzeczeniem, w którym istnienie języka polskiego jako krajowego w Cieszyńskim wprost zaprzeczono i nadto osobę dra Kluckiego jako niebezpieczną przedstawiono. Dr. Klucki za oczernienie swej osoby musiał jeszcze na najwyższem miejscu szukać zadośćuczynienia. Działo się to z początkiem 1851. roku. Prezydentem sądu ob-

wodowego w Cieszynie był Lipka, sam Cieszynianin, który usilnie występował przeciw polskiemu językowi i próbował utworzyć dzwaczny język za piśmienny śląski. — Podobnie zaczęto działać przeciw nauczaniu języka polskiego w szkołach. Pewien urzędnik zaproszony na egzamin zażądał stanowczo, aby tam nic polskiego nie było, iż na Śląsku nie są Polacy ale Ślązacy. I nauczyciel musiał się do tego zastosować. — Wyszło także rozporządzenie ministeryalne z d. 3. listopada 1851., nr. 13.470, mocą którego języki polski i czeski wyłączono z urzędowania, pozwalając załatwiać wszelkie sprawy jedynie w niemieckim języku. Nastąpił większy ucisk narodowości w Cieszyńskim niż przed rokiem 1848., bo za dawniejszych czasów przecie jeszcze sąd ziemiański i zarząd kameralny wydawał dokumenta choć w czeskim języku, jako wówczas urzędowym, z którym lud przecie jako tako sobie radził, kiedy teraz niemieckiego nie mógł wcale rozumieć. Mimo niektórych szlachetnych mężów na urzędach inni mało okazywali względów. Nie jeden urzędniczek pocztowy cofał listy i gazety z adresami polskimi, pozwalając sobie na dodawanie obraźliwych dopisków. Nastął w biurokracji rodzaj teroryzmu; wiadomo powszechnie, że za to, iż się ktoś narodził Polakiem lub Czechem, już go podglądano jako niebezpiecznego dla państwa, skoro się nie wyrzekał swego pochodzenia i takowemu utrudniano awans w służbie państwowej. Wogóle z niemieckiej strony coraz częściej dawało się słyszeć lekceważenie polskiej ludności.

Przykład niemieckiego występowania zwłaszcza wobec ludu śląskiego, mamy także z Prus i to ze sejmu w Berlinie, skąd właśnie zaczęto w Austrii przyjmować wzory. W sejmie pruskim d. 6. maja 1851. słyszano słowa, które do głębi serca musiały obruszyć nie tylko każdego Ślązaka, ale każdego Polaka i wogóle każdego Słowianina. Z powodu straszliwego głodu i tyfusu w latach 1847.—8. pozostało na pruskim Śląsku Górnym przeszło 10.000 sierot nieszczęśliwych i rząd przeznaczył na wsparcie ich 600.000 talarów. Komisya sejmowa zamierzyła projekt rządowy zamienić na środek polityczny, chcąc, aby dzieci te do 18. roku były chowane pod opieką rządową w niemieckich stronach a potem powrócone w strony rodzinne dla rozszerzenia niemieckiej kultury. Przy tem komisya wystawiła polską ludność Górnego Śląska w najgorszym świetle, upatrując w niej same wady cielesne i moralne; zarzucała jej brak szlachetniejszych przymiotów, brak popędu do zarobku, do mądrego upożytkowania swego mienia, lenistwo, pijaństwo, zapijanie się wódką, życie w nędznych chatkach, bez chleba, na ziemniakach i kapuście i t. p. mimo niemogących się zaprzeczyć wrodzonych zdolności. Tak omalowawszy lud śląski jak najgorzej, dowodziła komisya, że niemczyzna będzie dla niego uszlachetniającym żywiołem; nie wahała się nawet powołać na wyrzeczenie znanego nieprzyjaciela Słowian, jako niby znawcę stosunków górnośląskich (Wuttke), który porównywał Górnoślązaków z pędra-

kami, które karmią się tylko ziemniakiem, a kiedy roślina ta niszczeje, to i przywiązana do niej istota przeznaczona na zagładę. Przeciwno takim wywodom komisji z oburzeniem powstał poseł górnośląski Gorzałka. I nawet poczcizy Niemiec Reichensperger potępił zamiar taki rozszerzania niemczyzny przez zniszczenie innej narodowości, iż czyni to hańbę narodowi niemieckiemu. Najdobitniej poseł poznański Stablewski zganiał, że to, co obowiązek rządu, co religia chrześcijańska i co uczucie ludzkości nakazuje, komisja chce użyć za środek polityczny przeciw słowiańskiemu narodowi. Kiedy komisja sama przypomina ponowne nieurodzaje, a nadto wyraźnie przytacza, że brakuje 470 szkół i 580 nauczycieli, zaczem lud pozostaje bez wykształcenia, chociaż mu i komisja przyznaje wrodzone zdolności, ale jednak zwala winę jego nieszcześliwego stanu na niego, dlatego, że to lud słowiański, otóż nie trudno wykazać rzeczywistych sprawców jego nędzy i zwalić na nich wszystkie czynione mu zarzuty, zwłaszcza przebiegając historię, odkąd rząd pruski w tym kraju gospodaruje. Istotnie administracja kraju odpowie za to przed Bogiem i historią. Smutne to wspomnienie, a podobnych uszczerbków na czci narodowej doznawał też i lud Śląska austriackiego od różnych przeciwników narodowości polskiej.

Jednakowoż wśród takich stosunków w Cieszyńskim język polski ustalał się w szkołach, mianowicie ludowych, mimo stawiania mu przeszkód z różnych stron. Najgorliwiej ducho-

wieństwo katolickie rozszerzało polszczyznę w szkołach zamiast używanej dotąd czeszczyzny, boć polski język ułatwiał koniecznie naukę ludowi po polsku mówiącemu. Również i ewangeliccy pastores mimo sympatyj niemieckich zgadzali się na wyrugowanie resztek czeszczyzny na korzyść języka polskiego w szkołach ewangelickich. Lud, widząc większy pożytek z nauki w macierzyńskim języku polskim, nabierał więcej upodobania i zamiłowania w nim i przez to budziło się powoli poczucie narodowe. Że jednak znaczna część gmin pottrzymała czeszczyznę w swych szkołach, przyczyny tego później się wyjaśnia. — W gimnazjach cieszyńskich jednak wykładano język polski, jako też czeski, tylko jako przedmioty nadobowiązkowe dla uczniów słowiańskich lub chcących się uczyć tych języków. W katolickim gimnazjum wówczas nauczycielem polskiego języka był ks. dr. Eugeniusz Janota ze Żywca rodem i dokładnością nauczania zaszczytnie nie tylko głębsze poznanie, ale też zamiłowanie ojczystej mowy w ówczesnej młodzieży. Nauczycielem czeskiego języka był dr. Józef Fischer; starał się on jak najwięcej uczniów pozyskać dla czeskiego języka i czyniąc to przez wielką pobłaźliwość swoim uczniom, robił konkurencyę polskiemu językowi; polscy bowiem uczniowie mniej zdolni lub mniej ochotni do nauki (jacy wszędzie się znajdują), z powodu tej pobłaźliwości nauczyciela raczej się zapisywali do czeskiego języka. Zdarzało się i to, że uczniowie pochodzenia

polskiego, zwłaszcza mieszczańscy, zapisywali się za Niemców, aby się uwolnić od nadobowiązkowej nauki. To jest też jedną z przyczyn, że liczba uczniów polskich na tutejszych gimnazjach coraz mniejszą się stawała. W ewangelickiem gimnazjum wykładali Ślązacy polski język, a Czesi czeski.

Postępowanie dra Fischera wytknąłem w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ 1851. r., za to stał się na zawsze mojej osobie nieprzyjaczny, aczkolwiek na jego nieprzyjaźń nie zważając zawsze dobrze jemu życzyłem. W późniejszych latach dr. Fischer dla braku polskich profesorów objął nawet naukę języka polskiego, co było wielką szkodą, bo uczniowie nie nauczyli się nawet dobrze wymawiać po po'sku.

Marzyłem już podczas nauk we Wiedniu o uzyskaniu profesury przy ówczesnem gimnazjum ewangelickiem w Cieszynie. Kiedy mi ta nadzieja po pierwszy raz w r. 1848. speliła z powodu odmowy pastorów, jako eforów tegoż gimnazjum, przygotowywałem się do egzaminu rządowego, spodziewając się w ten sposób dopiąć celu, gdy to gimnazjum stało się rządowem. Czując się dość przygotowanym, skorzystałem z przybycia inspektora szkół Wilhelma do Cieszyna i zgłosiłem się do niego. Otrzymałem odpowiedź, której koniec brzmiał: jeżeli polityczne zapatrywanie moje jest odpowiednie. — Ks. dr. Janota wytłumaczył mi to, że mógłbym choć jak najlepiej zdać egzamin, a jednak posady nie uzyskać, skoro panują polityczne względy, bo wielu takich, co dobrze zdali egzamin, z tej przyczyny nie dostali posady, a moją czynność redaktorską dla sprawy narodowej podobno inspektor szkół poczytuje

za nieodpowiednie zachowanie się polityczne. — Porzuciłem rojone nadzieje i jak w gimnazyalnych latach dziwnym przypadkiem naprowadzony zostałem na drogę narodową, tak w nowych okolicznościach widziałem jakby przeznaczenie swoje do pracowania wyłącznie dla ludu, dla jego oświaty przez pracę piśmienną.

Zastrzegam się tu znów, że pastor Fr. Michejda lub kto inny podobny, z powodu przytoczonych słów inspektora szkół Wilhelma, dotąd nikomu niewiadomych, nie śmie jakim kręctwem swoim wystawiać mnie za buntownika. Praca narodowa w sposób legalny, praca dla oświaty narodowej nie jest buntownictwem. Wszakże i pastor Fr. Michejda ułaje dziś wielkiego narodowca.

W wydawaniu „Tygodnika Cieszyńskiego“ i „Przeglądu politycznego“ oczekiwały mnie tymczasem niespodziewane przeszkody. W Galicyi, gdzie był stan oblężenia, zarówno jak tamtejsze niektóre dzienniki został też „Tygodnik Cieszyński“ zakazany i ostatni numer pod tą nazwą wyszedł d. 8. lutego 1851. Zmieniłem nazwę i zacząłem wydawać „Gwiazdkę Cieszyńską“ jako pismo naukowe i zabawne od dnia 1. marca 1851. Widocznie jednak we Lwowie pomyłono się, bo „Tygodnik“ nie był pismem politycznem; zakazano tedy następnie „Przegląd polityczny“, który jako pismo miesięczne zakończył swój byt d. 28. czerwca 1851. Zmieniłem znowu nazwę i wydawałem „Miesięcznik“ począwszy od d. 26. lipca 1851. „Gwiazdkę Cieszyńską“ od nowego roku 1852. powiększyłem na żądanie czytelników, zamiast półarkusza wydawając cały arkusz, zaczęm też i przedpłatę podwyższyłem. —

Tu niespodzianie spadło na „Gwiazdkę Cieszyńską“ ostrzeżenie c. k. namiestnictwa śląskiego w Opawie z d. 5. marca 1852., którego treść opiewała: Ponieważ „Gwiazdka Cieszyńska“ do narodowego separatyzmu dążąca, a zatem z utrzymaniem publicznego pokoju i porządku niezgodny kierunek stale zachowuje i częścią historycznymi wspomnieniami, częścią artykułami pansławistycznej treści, jak to w nr. 2. „Jeden słowiański język“, w nr. 6. „Jan Kolar“ i innemi jawnie dąży do wywołania nienawiści i poróżnień między ludnością rozmaitego narzecza, jak też ogólnie rozmowianiami swemi, jak je w artykułach „o poznaniu siebie samego“ podaje, do wprowadzenia w błąd usposobienia nieoświeconych; daje się redakcyi ostrzeżenie, by dotychczasową tendencję opuściła, inaczej postąpionoby według surowości prawa. — Lubo nie przyznawałem się do zarzuconych tu redakcyi zasad, jednakowoż czytelnicy uważali to ostrzeżenie za zakaz „Gwiazdki Cieszyńskiej“, a że ogłoszenie tegoż nastąpiło z początkiem kwartału, wstrzymali się z przedpłatą. W połowie kwietnia musiałem przerwać wydawnictwo „Gwiazdki Cieszyńskiej“ i tak samo „Miesięcznika“ z d. 29. maja 1852. Brak głębszego poczucia narodowego i brak chęci do oświaty u ludu śląskiego, które dopiero trzeba było wzniecać, przyczyniły się do tego. Atoli to właśnie popychało mnie do dalszego trwania w przedsięwzięciu; rozpisywałem znowu listy i uzyskałem poparcie od przyjaciół sprawy narodowej. Oprócz innych, którzy

zebraniem nowej przedpłaty dopomogli, z wdzięcznością wymieniam także księcia Jerzego Lubomirskiego, który dwa razy ofiarował mi po 50 złr. Przerwa trwała jednak 9 miesięcy, bo z powodu wysłanego pod ten czas nowego prawa drukowego musiałem zażądać pozwolenia jak na nowe pismo. Dopiero więc 5. marca 1853. wyszedł nowy numer „Gwiazdki Cieszyńskiej“ jako pierwszy tegoż roku. Odtąd wychodziła już bez przerwy aż do dzisiejszego czasu.

Mimo takich trudności doznawałem przykrości, skąd najmniej powinny były wychodzić. Tak n. p. Andrzej Cinciała, który podczas nauk w Krakowie znajdował u mnie przytulisko we wagacyach, po ukończeniu nauk osiadłszy w Cieszynie, zaczął mnie: Jakim prawem śmiałem sam podjąć się redakcyi. Może dziś pojmie niedorzeczność swojej zaczepki. Kiedy pierwotny wydawca „Tygodnika“, dr. Klucki, odstąpił i odmówił czynnego współnictwa, prawo przysługiwało temu, kto czuł w sobie siłę i ochotę. Tak bywa i dzisiaj u wydawców dzienników. Gdyż dr. Andrzej Cinciała ani pierwaj ani potem nigdy nie napisał żadnego artykułu w początku do „Tygodnika“ i następnie do „Gwiazdki“, chyba zazdrościł mi mozołów i myślał bez pracy być jakim figurantem przy redakcyi jak w r. 1848. Dalej zaczął, że redakcyę prowadzę bez okazalności, że powinienem utworzyć osobną kancelaryę redakcyjną, wywieścił szyld i t. p. Chociaż miałem dość wygodne pomieszkanko i pierwotnie ani dr. Klucki też nie miał osobnej kancelaryi redakcyjnej, a mnie też nie było potrzeba takiego zbytku, dr. Cinciała jednak przelał mnie, żebym na podobne urządzenie zaciągnął pożyczkę, jeżeli nie mam pieniędzy. Powiedziałem to lepszemu przyjacielowi i ten mię objaśnił, że Cinciała już jako student zbijał pieniądze i zapewne chciał je u mnie ulokować. — Przypomnę tu jeszcze, że tak początkowy „Tygodnik“ jak następna „Gwiazdka Cieszyńska“ stanowi rzeczywiście jedno pismo, od samego początku przezemnie redagowane, bo choć na pierwszych numerach 1848 roku nie byłem podpisywany

podczas kończenia nauk we Wiedniu, jednak i wtenczas zapatrywałem je swojemi artykułami.

Przez cały ów czas „Czytelnia Polska“ i „Biblioteka dla ludu kraju Cieszyńskiego“ mieściła się przy redakcyi i pozostawały pod moją opieką. Cbie te instytucye dobrze zasługiwały się ludowi. Znajdywali się, chociaż jeszcze nie bardzo liczni, ale gorliwi czytelnicy. Niespodzianie jednak z końcem 1854. r. przyszedł zakaz „Czytelni“ i „Biblioteki“, bez wszelkiej przyczyny i winy, bo winą obu tych instytucyi było chyba to, że przez czytanie budziła się u czytających myśl narodowa. Pewnego dnia przyszedł urzędnik c. k. starostwa z dwoma żandarmami i oznajmił mi zakaz „Czytelni Polskiej“ wraz z nakazem zabrania „Biblioteki dla ludu kraju Cieszyńskiego“. Biblioteka ta została oddana do biblioteki zakładu Szersznika.

W czasie dłuższej przerwy w wydawaniu „Gwiazdki Ciesz.“ (1852.) zajmowałem się urządzeniem teatrów amatorskich, wiedząc, jak wielki wpływ wywiera teatr pod względem oświaty i usposobienia narodowego. Pierwsze przedstawienie amatorskie odbyło się d. 20. grudnia 1852. i odegrano utwór Anczyca „Chłopi arystokraci“. Na wiadomość, że będzie polski teatr, poprzyjeżdżali nawet włościanie z okolic o parę mil odległych i sala była jak napchana, a amatorowie odbierali oklaski niesłychane. Odegrano także niemiecką sztukę, ale ta nie wzbudzała podobnego zapалу. Na życzenie dra Kluckiego, aby zacho-

wywać jedność między Niemcami i Polakami, grywano na tych przedstawieniach zawsze też niemiecką obok polskiej sztuki. „Chłopi arystokraci“ tak się podobali, że przedstawienie ich musiano powtórzyć d. 2. stycznia 1853. i udało się z równem powodzeniem. Tak samo gra polskich amatorów zyskiwała zadowolenie na następnych przedstawieniach; mianowicie odegrane były sztuki: „Szkoda wásów“, Dmuszewskiego, d. 19. marca; „Fabrykant“, Józefa Korzeniowskiego, d. 3. kwietnia; „Stacya pocztowa w Hulczy“, Korzeniowskiego, d. 4. grudnia; „Talizman niewidzialności“, d. 21. marca 1854.; „Kominiarz i młynarz“, Kamińskiego, d. 17. kwietnia i powtórnie „Talizman niewidzialności“, d. 24. kwietnia. Odbyło się więc w onym czasie ośm polskich przedstawień amatorskich, wszystkie w sali redutowej miejskiej. A mieliśmy też doskonałych amatorów, których nazwiska godne są wzmianki, jako to: Edward Świerkiewicz, malarz, Aurel Pawłowski, dzierżawca, Szarmański, urzędnik kameralny, Jan Raszka, komisarz policyi, Nitribit, prowizor apteki, Dulęba, praktykant sądowy, panie Świerkiewiczowa i Finkowa i panna Kamila Folwarczna. Dochód z przedstawień przeznaczony był na założony wówczas Dom sierot.

W tym teatrze amatorskim mnie przypadła rola suflera, przyczem zastępowałem i reżysera. Ponieważ polscy amatorowie więcej zyskiwali oklasków, niemieccy zazdrościli im i przypisywali to mojemu suflerstwu, zaczęli nie chcieli grać, jak pod warunkiem, że im także zastąpię suflera. Przyjąłem ten obowiązek i spełniałem go rzetelnie, ale nie wiele im to pomogło. Przyczyną większego powodzenia amatorów pol-

skich było to, co wogóle przynajmniej się Polakom, porównując ich z Francuzami, to jest, że u nich większa gładkość i układność w obejściu. Co więc u polskich amatorów było łatwem, trudniej było dokazać u niemieckich. Szkoda wielka, że te przedstawienia amatorskie, tyle pożyteczne dla sprawy narodowej, skończyły się, a nie było przyczyny politycznej. Przyczyną było, że dr. Klucki podejmował zawsze u siebie amatorów niemieckich; aby zaś polscy amatorowie nie mieli żalu, czyniłem, co mogłem i po przedstawieniach lub próbach zapraszałem ich do hotelu, gdzie przy zabawie radosnej z powodu powodzenia rosła ciągle nowa ochota. Lecz, gdy moja uboga kasa wyczerpała się nadmiarę, ustała też owa ochota. Niemcy dali potem jeszcze jakieś przedstawienie, ale nie znajdując pożądanego poklasku, zaprzestali także.

Myśl powziętą i pracę rozpoczętą już na teologii w Wiedniu w celu ułożenia polskiego kancynału dla ewangelików śląskich udało mi się teraz do urzeczywistnienia doprowadzić. Księgarz Jan Milikowski we Lwowie, dowiedziawszy się o moim zamiarze, posłał mi swój prywatny zbiór polskich kancynałów ewangelickich do użytku. Pastorowie też już uznali konieczność wydania polskiego śpiewnika z dwóch przyczyn: najprzód, że w szkołach przestano uczyć po czesku, potem, że używany dotąd na Śląsku czeski kancynał Trzanowskiego przestano drukować, ponieważ Słowacy i Morawcy nowe kancynały przyjęli. Utworzył się dlatego komitet, do którego z pastorów należeli: Andrzej Żlik z Cieszyna, Wilhelm Raschke z Bystrzycy, Jan Winkler z Nawsia i Andrzej Drost z Drogomyśla. Wybieraliśmy z kancynału Trzanowskiego najwięcej używane i ulubione pieśni i rozdzielali do przetłumaczenia przy pomocy otrzymanych

polskich kancynałów. Odbyło się kilka posiedzeń; co mnie zadano, wypracowałem zawsze, ale pastrowie mniej spełniali przyjęte zadania i praca postępowała zbyt opieszale, a nawet ustała po śmierci pastora Raszki 1855. Przybył jednak potem Jerzy Heczko, kolega mój szkolny, który już we Wiedniu ze mną podzielał to przedsięwzięcie, lecz bawiąc niejaki czas na pastorstwie w Galicyi, zanim powołany został za pastora w Ligotce, dopiero zajął się sam gorliwie całą pracą, odebrawszy przygotowane przez nas materiały. W ten sposób przyszedł do skutku polski kancynał ewangelicki, wydany drukiem 1865. r. Wcześniej wyszedł katolicki kancynał polski p. n. „Praca codzienna, coroczna i całowitowa każdego chrześcijanina katolickiego, albo książka modlitewna i kancynał dla katolików“. Duchowieństwo katolickie, jak najżywiej pojmowało potrzebę takiej książki po zaprowadzeniu nauki polskiej w szkołach i starało się o zadośćuczynienie ludności. Ks. Antoni Janusz, proboszcz w Zebrzydowicach, który już przed rokiem 1845. w seminaryum łomunieckim zajmował się piśmiennictwem polskim, ułożył to dzieło z różnych książek modlitewnych i śpiewników, zwłaszcza też ze znanych na Śląsku pieśni polskich i czeskich. Wyszło ono w Cieszynie w roku 1857. za zezwoleniem biskupa wrocławskiego. Drukowany ten kancynał czcionkami łacińskimi, kiedy późniejszy ewangelicki drukowany jeszcze szwabachem.

Pomimo niejakiego postępu w sprawie języka polskiego, germanizacja postępowała

swoją drogą, zwłaszcza za pomocą szkół niemieckich w miastach; gdy zaś i konstytucja oktrojowana zawieszoną została, co formalnie nastąpiło z dniem nowego roku 1852., musiały roszczenia narodowe umilkać. Najwięcej rozlewała się niemieczyna przez oba gimnazya cieszyńskie, jakoteż przez szkołę normalną, którą tymczasem zamieniono na niższą realną i przez preperandę. Powoływano za profesorów najczęściej, jak i dotąd się dzieje, Niemców, nie znających słowiańskiego języka, co miało złe skutki. Dawniej profesorowie, choć jako tako mówiący po polsku lub czesku, tłumaczeniem ułatwiali uczniom zrozumienie niemieckiej nauki. — Odtąd zaś niemieccy profesorowie nie mogli tego czynić i polskich uczniów często uposledzali. Młodzież polska zniechęcała się i nie ukończyła całej szkoły zarówno z niemiecką młodzieżą i nawet dla upodobania się nauczycielom zapisywała się za Niemców. Dlatego w rzeczonych szkołach od roku do roku okazywał się coraz większy ubytek młodzieży polskiej, a przyrost niemieckiej.

Niezwykłą też zarozumiałością odznaczał się obcy profesorowie. Posłuży tu choć jeden przykład. Na ewangelickie gimnazjum powołany został dr. Burkhardt, rodem Bawarczyk, a będący nauczycielem domowym w Petersburgu. Przed przybyciem jego do Cieszyna rozgłosiło się, że zna wszystkie języki europejskie; spodziewano się więc ujrzeć w nim nowego Mezzofantego i on po temu dumnie się pokazywał. Lecz z francuszczyzną zaraz na wstępie lichy się popisał przed tutejszymi znawcami tego języka, jakich nie brakowało; jeszcze gorzej powiodło mu się z angielszczyzną i tak samo z włoskim językiem, nie mówiąc już o innych romańskich i germańskich językach. Przedemną chwalił się, że w Cie-

szynie pomaga sobie u osób służących rosyjskim językiem; przyjąłem to bez wszelkiej wątpliwości, kiedy przybył z Petersburga. Lecz raz w gronie kilku profesorów zaczął też popisywać się znajomością rosyjskiego języka, wymieniając przewrotnie kilka wyrazów: masło == milch i t. p. Poprawiałem mu i on oburzył się: „Czy znam po rosyjsku?“ Odpowiadałem: „Nie, ale czytałem kilku rosyjskich autorów.“ „Jak mogłem czytać rosyjskich autorów, kiedy nie umiem po rosyjsku?“ pyta. „Znam kilka języków słowiańskich i w ten sposób pomagałem sobie,“ była odpowiedź. „Ale Rosyanie mają inne pismo,“ zarzucił. „Niemcy też mają inne pismo, a mogą je także czytać,“ odrzekłem. — Zaczęliśmy potem społem uczyć się sanskrytu; ledwo przerobiliśmy początki, t. j. abecadło, gdy powracałem z wycieczki do Krakowa pocztą z jakimś żydem z Białej; i ten podnosił, jak znakomity nabytek uzyskało ewangelickie gimnazjum w profesorze Burkhardt, mniemając, że zna wszystkie języki europejskie i nawet sanskryt. Pomyślałem sobie, że tej znakomitości daleko jeszcze do znajomości sanskrytu, a skąd taki żyd może i o tem wiedzieć. Atoli dr. Burkhardt umiejac nadrabiać samochwalbą, uzyskał w ten sposób znacniejszą posadę w Wiedniu. — A taką napuszoność u niemieckich uczonych natrafia się często.

Że Niemcom w owych czasach reakcyi do tamowania rozwoju narodowości polskiej na Śląsku naszym dopomagali Polacy z Galicyi, niestety, trzeba potwierdzić. Jak ongi we Wiedniu podczas nauk musiałem od polskich studentów słyszeć: Ślązacy to nie Polacy, — tak znowu w czasie rozpoczętej już pracy redaktorskiej w Cieszynie często od przejeżdżających Polaków boleśnie dotykały mnie podobne niezdrowe i oburzające zdania. W czasie reakcyi germanizatorowie, chcąc ugnębić ruch narodowy na Śląsku, używali różnych sposobów i ze znaną swą zarozumiałością i zuchwałością

dowodzili, że mowa śląska nie jest polską, ale jakąś... i podobne przemówienia obcych Polaków były wodą na ich młyn. Wprawdzie „Gwiazdka Cieszyńska“ znajdowała już sporą liczbę czytelników w Galicyi, którzy oceniali jej dążność i cieszyli się z przebudzenia się Śląska, a byli to w wielkiej części ludzie doświadczeni z 1831. roku, lecz były to jednostki, a ogół zaciętrzewiony został w dawnych przesądach. Nie było jeszcze kolei żelaznej, więc szosa prowadziła z Polski wszystkich przez Cieszyn i tu główną stacją był hotel „pod jeleniem“. Raz w tym hotelu politykowało się przy piwie i Niemcy, jak zwykle po swojemu, utrzymywali, że lud śląski nie mówi po polsku. Dowodziłem przeciwnie, że dyalekt śląski jest najlepszym dyalektem polskim, dodając, że i w Niemczech lud nigdzie nie mówi czystym, książkowym językiem niemieckim; a na to pewien obecny szlachcic od Nowego Sącza odezwie się: na Śląsku nie są Polacy. Rozumie się przez takiego Polaka byłem wobec Niemców formalnie zbity. Niemcy potrafili z tego wypadku i jeszcze w późniejszych czasach korzystać. Smutnie mi się zrobiło, gdy widziałem, jak Niemcy troszczą się o swych spółnarodowców w najodleglejszych krajach, nawet w Ameryce i Azji, a Ślązacy pograniczni musieli się u Polaków dobijać o uznanie ich także za Polaków. Taka obojętność i niewyrozumiałość u większości Polaków była przyczyną, że język polski w swym pochodzie w Księstwie Cieszyńskim powstrzymał się i

znaczna liczba gmin polskich od strony morawskiej pozostała przy czeskim języku, jak się następnie okaże.

Gdy konstytucya zawieszoną została, przestano myśleć o polityce, a za to bawiono się tem ochotniej. Już to Cieszyn z dawna słynął, że w nim dobrze bawią się i cieszą i daleko nie było pod tym względem równego mu miasta. Tak n. p. w karnawale odbywały się regularnie tygodniowo tak zwane kasynowe bale, niby arystokratyczne, chociaż już dawniejszej arystokracji czyli szlachty nie było i bale cechowe, bo każdy cech chciał się pokazać; oprócz tych bywały pikniki, bale oficerskie i maskowe; przypadało więc po 2, 3 i więcej publicznych balów na każdy tydzień, a na każdym znajdowało się zwykle po kilka set osób. Do tego dodać jeszcze trzeba domowe bale i zabawy. Jakaż dziś pod tym względem różnica w Cieszynie, chociaż ludności jego raz tyle przybyło. Ledwo zdarzają się 3—4 bale porządniejsze i na nich znajdzie się po kilkadziesiąt osób; młodzież wcześniej żyć zaczyna jak starcy przygląda się ospale a panny nudzą się. Przyczyną tego zapewne jest zbytek; ojciec chcąc wyprowadzić jedną lub dwie córki z matką na bal, który można nazwać targiem na panny, musi ofiarować ćwierćroczną lub półroczną pensję, aby się wykwinętnie ubrały i to każdym razem w innej szacie, kiedy dawniej panienka w jednej sukience muszlinowej, na cały czas karnawałowy sprawionej, zawsze przystojna była. Ludzie pragną za-

bawy, nie dziwota, a z powodu zbytku nie mogą jej używać. Może też przyczyną tej zmiany jest, że wówczas Cieszyn był jeszcze przeważnie polski, a polska natura jak wogóle słowiańska skłonniejszą i ochotniejszą jest do zabawy.

W czasach ucisku politycznego i przygnębienia umysłów wpada ludzkość często na manowce. Tworzą się n. p. sekty religijne i podobne pomysły. Takim objawem onego czasu było zajęcie się korespondowaniem z duchami, które wzięło wprawdzie początek w Ameryce, ale rozszerzyło się na całą Europę, zwłaszcza w r. 1853. Była to najprzód gra ze stołami, tak zwane skakanie, wirowanie i pukanie stołów. Kilka osób, szczególnie młodych, stanąwszy i kładąc nań wkoło dłonie tak, że się tylko końcami skrajnych palców stykały, wprawiały go w ruch, że się podnosił, skakał, tańczył, pociągając za sobą owe osoby i nawet na zapytania dawał odpowiedzi przez stukanie, n. p. na zapytanie, ile jest osób w pokoju. Począwszy od próby w sali gimnazjalnej, czyniono podobne doświadczenia w domach i działo się to wszędzie, gdziekolwiek o tem zasłyszano. Uznawano tu jakąś siłę nadzwyczajną, ale nie wytłumaczoną. Używano potem lżejszych przedmiotów, nawet ołówków, które na zapytanie pisały całe odpowiedzi i wnet uznano tu związek z duchami. Znalazły się wreszcie osoby jako pośredniki, zdolne niby do styczności z duchami, duchowidze, które przez szczególne przysposobienie się

miały odbierać wiadomości od duchów, ale zgoła o zwyczajnych rzeczach. Wytworzyła się też cała literatura w tym przedmiocie, który nazwano duchownictwem (spirytyzm). I w naszym Śląsku istniały spółki, zajmujące się nauką duchowniczą. Dziś już rzadko, ale jeszcze gdzieś bawią się w spirytyzm, choć często mniemani spirytyści wykrywają się jako prości szarlatani, dla zarobku wykonujący złudne sztuki. Nakoniec pokazało się, że spirytyzm, począwszy od poruszania stołów aż do wyzywania duchów, nie jest wcale nowym wynalazkiem; znano go bowiem już za czasów rzymskich jak świadczą kroniki; lecz wtedy był prześladowany i ustał. Niewybadana ta rzecz nie przyniosła szkody, owszem może niejaką korzyść, bo wielu znalazło utwierdzenie swe w wierze w nieśmiertelność duszy i razem popęd do dobrego.

W roku 1854. znowu wojna krymska poruszyła trochę rozumu polityczne. Francya, Anglia i Turcyja wysłały swe wojska i floty przeciwko Rosyi, i Austria, zachowując dwuznaczną neutralność, postawiła swą armię u granic rosyjskich we wschodniej Galicyi i Mołdawii. Jak ogólnie w ziemiach austriackich tak samo na Śląsku były stronnice zapatrywania co do tej sprawy. Jedno, niemieckie, stronnictwo życzyło na ślepo i spodziewało się zniszczenia Rosyi; drugie stronnictwo, przeważnie słowiańskie, miało za złe Austrii, że po niedawnej pomocy rosyjskiej w pokonaniu węgierskiego powstania postawiła swe wojsko

w pogotowiu dla niewiadomego celu. Istotnie też z tego powodu powstały niechęci Rosyi ku Austrii, kiedy Prusy zostawszy w spokoju zyskały sobie na nowo przyjaźń Rosyi. Polska tuszyła sobie wtedy jakie ulgi przez Napoleona III., który kierował polityką przeciwrosyjską; ale Francuz zawiódł znowu nadzieje Polaków. I trzy główne mocarstwa europejskie nie osiągnęły znacznego upokorzenia Rosyi.

Inaczej stronnictwa w Cieszyńskim onego czasu okazywały się zgola jako wyznaniowe i w nich mniej więcej ukrywały się dążności polskie lub niemieckie. Sympatye ku Niemcom krzewiły się zwłaszcza u ewangelików za powodem pastorów. W rozmowach, które najczęściej przechodziły na pole narodowe, zwykle dostawałem od pastorów odpowiedzi: „Ewangelicka wiara jest niemiecka, dlatego musimy iść z Niemcami.“ Dowodziłem, że Luter, zaprowadzając wraz z reformacją język niemiecki u Niemców, nie myślał, żeby inne narody, przyjmując jego wyznanie, miały porzucać swą narodowość i Ignąć do Niemiec. Dalej, że słowiański Hus uprzedził Lutra w reformacji, głównie z przyczyn narodowych i wskazał Słowianom, jak mają swoją własną narodowość ważyć. Lecz pastory, chociaż z konieczności używali polskiego języka w nabożeństwie, nie przekonywali się podobnymi wskazówkami i zawsze działali przeciwko wzmocnieniu narodowości polskiej swego ludu, kierując się przytem dziwnymi przesadami o Polsce a widząc zabezpieczenie wyznania ewangelickiego

tylko ze strony Niemiec, lubo już w Austrii była zapewniona wolność wyznania, a nie przez samych Niemców. Jak zaś pracowali ile możliwości dla niemieczyny, objaśni choć jeden przykład. Chodziłem do kościoła na polskie lub niemieckie nabożeństwo, jak czas pozwalał; pastory zaczęli mnie, że gram sobie na Polaka, a też chodzę na niemieckie nabożeństwo. Przestałem więc chodzić na niemieckie kazania, a to gorzej jeszcze mi poczytali. Bywało i dotąd jest u nich zwyczajem, że każdego kabatnika (surdutowego), umiającego choć trochę po niemiecku, lubią pociągać do Niemców i w ten sposób pomnażać zastęp niemiecki. Tacy Niemcy mają też tę korzyść, iż tylko co drugą niedzielę jest dla nich kazanie.

Wśród takich okoliczności „Gwiazdka Cieszyńska“ musiała się opierać coraz więcej na katolickich czytelnikach, zwłaszcza, że pastory dążność narodową tego pisma ogłaszali za katolicką, bo wyznaniowej przyczyny nie znajdowali, iż takowej unikałem. Wydawnictwo „Gwiazdki“ napotykało stąd wiele trudności, iż wyznanie religijne czyniło ewangelików coraz obojętniejszymi dla sprawy narodowej; dalej iż ogół ludności śląskiej pozbawiony został przez wieki świadomości narodowej i ta dopiero powoli się budziła; a wreszcie iż niektórzy narodowcy zazdrościli nawet mojej pracy i mozolności. Wobec takich nie śmiałem nawet wyznać trudności w walce o utrzymanie „Gwiazdki Cieszyńskiej“, bo poskarżenie się szkodziłoby jeszcze więcej; zatajanie zaś tych

trudności i kłopotów moich uważano za dowód dobrego powodzenia, budzącego tem większą zazdrość; ale to widocznie mniej mi szkodziło, bo znajdowali się powoli szersi i wyrozumialszy przyjaciele mego usiłowania. Wśród takich kłopotów zaglądałem do Krakowa, gdzie już miałem niektórych życzliwych czytelników, jako to dra Wróblewskiego i profesora Brodowskiego, ale pukając do innych, dowiadywałem się następnie o ich wymówkach, że „to sprawa luterska“. Na Śląsku tedy luteranie uważali sprawę „Gwiazdki Cieszyńskiej“ za sprawę katolicką, a w Krakowie katolicy za sprawę luterską. Następnie ks. Chelmecki, wielce mi sprzyjający, poradził mi, żebym nie wyjawiał się jako ewangelik. Za jego przyczyną też zyskałem między młodzieżą akademicką znacznych zwolenników, jako to: Antoni Białecki, Mieczysław hr. Dzieduszycki, Wład. hr. Koziebrodzki, Bruno Miczyński i inni, którzy pracami piśmiennymi i zjednywaniem przedpłat „Gwiazdkę“ wspierali, czego nawet pozażdrościł Jan Dobrzański w „Nowinach lwowskich“. Przez ks. Chelmeckiego znalazłem również łaskę u ks. biskupa Łętowskiego. Najwięcej jednak dopomógł tarnowski biskup ks. Józef Pukalski, rodem Cieszynianin, który okólnikiem polecił „Gwiazdkę Cieszyńską“ w swej dyecezyi. Na pruskim Śląsku zaś ks. biskup sufragan Bogedain polecał ją duchowieństwu. I nawet arcybiskup poznański ks. Przyłuski pochwalnie i przyjaźnie wyrażał się o „Gwiazdce Cieszyńskiej“.

W życie ludzkie wchodzi zwyczajnie romans i wywiera nie mały wpływ na jego kierunek. Co do mnie miałem dość znajomości, ale nie miałem czasu wśród zatrudnień moich zajmować się niemi i przypadek sam w tem rzadził. Tak, po ukończeniu drugiego roku teologii, otrzymawszy licentiam concionandi (pozwolenie na wygłaszanie kazań), podczas wagacj miałem pierwsze kazanie w Ligotce. Przybywszy tam w sobotę po południu, tylko chwilkami z wieczora tegoż dnia i potem z rana sam pastor Philipek wdawał się ze mną w rozmowę; bo chociaż byłem należycie przygotowany na wypowiedzenie kazania, myśl o ważności takiego zadania jedynie mię zajmowała; zresztą każdy początkujący kaznodzieja doznaje podobnego uczucia. Po odbytem kazaniu przy obiedzie pastor powiedział mi pochlebstwo, po obiedzie zaś pastor miał jeszcze czynności z ludźmi a pastora posłała do swego gospodarstwa. Wyszedłem więc do ogrodu zajęty jeszcze swemi myślami, za mną przyszła starsza córka z nakazu matki, abym sam nie był; rozmawialiśmy tedy o różnych poważnych rzeczach; pod wieczór nastąpiła przechadzka z całą familią i nazajutrz pożegnałem się. Wkrótce potem otrzymałem pozdrowienia, które podczas dalszych nauk w Wiedniu zamieniły się w korespondencję. Po roku powróciwszy do Cieszyna nie odważyłem się na spieszne odwiedziny, gdy w krótkim czasie i niespodzianie nadeszła smutna wiadomość, że zacna córka pastora umarła. Zebrało się nas kilku młodych ludzi w Cieszynie, aby zmarłą wynieść na cmentarz. Przybywszy tam, koledzy weszli naprzód i pastor zasmucony witał każdego; za nimi wszedłem ostatni, a pastor ujrzawszy mnie, głośno wyrzekł: „Twoje imię było jej ostatnie słowo;“ poczem z lamentem przechylił się tyłem na stół, w środku stojący. Trudno zapomnieć doznanego w takiej chwili wrażenia. Po pogrzebie mężka młodzież z pannami bawiliśmy się w ogrodzie; panny zaczęły mnie, że jednak do tego domu powinienem znowu przychodzić i młodsza pastoraówna dodała: „Pan musisz do nas często przybywać.“ Tak przez jakieś współczucie przeniosły się sentymenta serca do młodszej córki i bywałem często u jej rodziców. Ale mijały lata, pastorstwo snadź rozumieli, że u mnie nie ma widoków i przyjmowali innych konkurentów; zerwałem więc stanowczo odwiedziny. Były inne panny ewangeliczki i byłem u nich dobrze widziany, bo z niektórymi

byłem cztery razy za drużbę na różnych weselach, ale ich niemieckie usposobienie wstrzymywało mnie od nich; stręczono mi i z miasta panny majątne, lecz serce nie lgnęło do nich. Wybór trafił na wdowę z trójgiem dzieci, katoliczkę i ubogą. Wtedy pastor Philipek jeszcze kilka razy przybył do mojego mieszkania, chcąc ze mną mówić, lecz starałem się o to, że mnie nigdy nie zastał. Ożeniłem się więc z wdową w roku 1854. i myśleli ludzie, że bogato; atoli starsze rodzeństwo pokrzywdziło ją i jej dzieci zupełnie w majątku. Miałem tylko radość, że przyjęte dzieci mogą po polsku uczyć i wychowywać i to zadowolenie, że żona w trudnych usiłowaniach narodowych szczere chęci moje podzielała stała się mi wierną towarzyszką w doli i niedoli. Utwierdziło się też we mnie przekonanie, że z żoną ewangeliczką trudniej byłoby mi opierać się prądowi niemieckiemu ze strony ewangelickiej, żądającej tylko usług dla swej wyznaniowości; nie byłbym w stanie pracować wyłącznie dla narodowości bez względu na wyznanie i „Gwiazdka Cieszyńska“ byłaby się stała niemożliwą.

Co do piśmiennictwa onego czasu w Cieszyńskiem należy się jeszcze nieco dodać. O kancyonałach polskich i ich twórcach już była mowa. Zaprorowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych wymagało także polskich książek szkolnych. Katolicy znajdowali takowe w nakładzie rządowym dla Galicyi. Ewangelicy musieli pomyśleć o własnych wydaniach i zabrało się do tego kilku duchem narodowym ożywionych nauczycieli przy pomocy redaktora „Gw. Ciesz.“. Ale ci nauczyciele postępowali zbyt teoretycznie, rozbierali gruntownie przedmiot i praca przeciągała się parę lat. Ubiegł ich przeto Jan Śliwka, chociaż jeszcze do narodowego stronnictwa się nie liczący; wziął się praktycznie do rzeczy, za pomocą podręczników poznańskich ułożył szybko Elementarz i Piosnki dla dzieci i później

wydał jeszcze kilka innych książeczek dla młodzieży. Podobnie pastor Karol Kotschy w Ustroniu, były poseł frankfurcki, piszący wiersze niemieckie na cześć Niemców, wydawał dla ludu polskie książeczki i do „Gwiazdki Cieszyńskiej“ podał kilka swoich poetycznych utworów. Z katolickiej strony tak samo proboszcz ks. Antoni Monczka w Szonowie układał wiersze patryotyczne i okolicznościowe w niemieckim i polskim języku. Młodzi duchowni katolicy już byli czysto narodowi, jak n. p. ks. Jan Żmijka i ks. Paweł Matuszyński. Ci zamierzali założyć stowarzyszenie religijno-narodowo-literackie, które jednak nie rozwinęło się. Potrzebnym okazał się nareszcie kalendarz polski, gdyż morawskie (czeskie) już ludu nie zadowolniały a krakowskie dla niego były za drogie; od roku 1856. wydawałem więc przez kilka lat sam nakładem Prochaski „Kalendarz Cieszyński“, z którym następnie wychodził podobny „Kalendarz Polski“, obrachowany więcej na Galicyę. — Gdy w roku 1859. ogłoszony został we Lwowie konkurs do napisania „Gramatyki polskiej“, podjąłem się także tej pracy, w której znalazła uznanie osobiście część „o słowie“ i „składnia“; nagrodę uzyskał, jak wiadomo, bieglejszy w lingwistyce porównawczej i zasłużony w literaturze dr. Antoni Małecki.

Że oświata w duchu narodowym znajdowała powoli coraz więcej zwolenników w Cieszyńskiem za wpływem „Gwiazdki“, dowodem tego między innemi są zebrane składki

na dom „Towarzystwa Naukowego“ w Krakowie. Równocześnie innego rodzaju składki, dosyć znaczne, za pośrednictwem także „Gwiazdki Cieszyńskiej“ były na pogorzałe miasto Żywiec w r. 1857.

Dla ewangelików, żądających czytania tylko w duchu wyznania kościoła ewangelickiego, a mniej troskających się o rzecz narodową, poleciłem pismo „Prawdziwy Ewangelik Polski“, które w r. 1859. zaczęło wychodzić w Jansborku na Mazurach w Prusach wschodnich i było wydawane przez księgarza Antoniego Gąsiorowskiego (tenże pisał się później Gonschowski). Tak zwane „Mazury“ w Prusach wschodnich, jest to półmilionowa ludność polska ewangelicka przez Niemców umyślnie zaniedbywana w oświacie z przyczyny niechęci ich ku narodowości polskiej. Dowodem tego zaniedbania ewangelickich Mazurów jest to, że Gąsiorowski zebrał u nich ledwo 50 prenumeratorów, kiedy w Cieszyńskim uzyskał ich przeszło 100. Ale ów Gąsiorowski nie miał wcale względu na religijną potrzebę ewangelików i tytuł pisma jego „Prawdziwy Ewangelik Polski“ był tylko maską, pod którą ukrywał wrogie zamiary, siejąc nienawiść przeciw narodowi polskiemu. Wystąpiłem więc w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ przeciw temu pismu, zaczętem wnet utraciło na Śląsku swych czytelników i upadło.

Gdy wskutek odezwy „Gwiazdki Cieszyńskiej“ ewangelicy śląscy tak rychło porzucili owe pismo osławionego Gąsiorowskiego, jest to dowodem, że jeszcze nie byli tak

nieprzyjaźnie usposobieni ku narodowości polskiej, jak dziś są pod wpływem dra Haasego, przyjmując przeciwnarodowe, za jego staraniem wydawane pisma jak n. p. „Nowy Czas“.

Tak samo jak u ewangelickiego byli też wśród katolickiego ludu tacy, którzy chcieli czytać, ale tylko religijne rzeczy. Oto przykład. Od r. 1849. miałem znajomość z gospodarzem z Wielkich Kończyc, a był to kościelny; ten przychodził często do mnie i żądał do czytania książeczek i czasopism, ale tylko religijnych, których zresztą w redakcyi nie brakowało. Zachęcałem go do czytania „Gwiazdki Cieszyńskiej“, ale odmawiał, że to świeckie rzeczy. Wkrótce jednak z tejże wsi zgłosił się prenumerator na „Gwiazdkę“, a był to kowal, Józef Górnioszek, mówiący: musimy też przecie coś o świecie wiedzieć; za jego powodem miała potem „Gwiazdka Cieszyńska“ w tej wsi najwięcej czytelników i ów kościelny też się nakłonił do czytania „świeckich rzeczy“.

Wspomnieć też trzeba o niemieckich czasopismach. Najprzód próbowano w Bielsku, jako w niemieckiem mieście, wydawać „Bielitzer Wochenblatt“ w r. 1857., lecz to po wyjściu kilku numerów znikło. Dopiero w r. 1859. zaczęła wychodzić w Cieszynie „Silesia“. O dziesięć lat wcześniej okazała się potrzeba pisma polskiego na Śląsku; świadczy to o pierwotnej przewadze żywiołu polskiego w Cieszynie i jego okolicy. — Że dziś niemiecka „Silesia“ silniejszą się okazuje od „Gwiazdki Cieszyńskiej“ i innych tutejszych pism polskich, tego przyczyną jawną jest, iż niemczyzna znajduje

przemożną protekcję, a polska narodowość nie może uzyskać równouprawnienia.

Ponieważ w gimnazyach cieszyńskich języki polski i czeski wykładano jako przedmioty nadobowiązkowe, w dwóch lub trzech oddziałach, obejmujących po 2 lub 3 klasy i tylko po 2 godziny tygodniowo (jak to i dotąd się dzieje), a nadto nauczyciele tych języków nie zawsze do ich wykładu byli uzdolnionymi, można sobie wyobrazić, jak mało korzyści wynikało z tej nauki. Z tej przyczyny zwykle uczniowie pilniejsi i dojrzałsi tworzyli kółka dla kształcenia się w języku ojczystym i zwykle działało się to także pod okiem nauczyciela tego języka. Na katolickim gimnazjum pozostawił ks. dr. Janota pod tym względem dobry zasiew. Ówczesny dyrektor tegoż gimnazjum dr. Gabryel był sprawiedliwy i przychylny Słowianom; ale profesorowie byli często zaciekle Niemcami i dokuczali nieraz polskim uczniom. Pamiętnem zostało wyrażenie się takiego profesora: „Das Rosch werde ich kurantschen und esch tschwei Jahre in der Klasse schitschen laschen, weil esch nicht kächörisch teutsch kann.“ Profesor sam źle mówił po niemiecku, nie otrzawszy się ze szwabskiego dyalektu, a mścił się na uczniu, który od niego nie mógł się nauczyć poprawnej mowy. Dyrektor Gabryel musiał nawet hamować przeciwnarodowe zapędy profesorów. Tak profesor S. pozwalał sobie w wykładach częste wycieczki przeciw Polakom; napisałem wtedy do dyrektora, że polityka nie należy do nauki

gimnazjalnej i nadspodziewanie po chwili profesor przybył do mnie z przeproszeniem. Co więcej, ten profesor stał się odtąd przyjacielem Słowian i później nawet członkiem polskich stowarzyszeń. Na ewangelickim gimnazjum wiele się też polepszyło pod względem narodowym, gdy w roku 1858. jego dyrektorem zamianowany został Jan Kalinczak, Słowak, znany w literaturze słowiańskiej. Zadowolniało to śląskich Polaków i szczególnie także ewangelików w Czechach i na Morawie, którzy swych synów do tego gimnazjum wysyłali; lecz dlatego zaczęli się srożyć Niemcy i mianowicie dr. Haase; stąd pojawiały się w protestanckich czasopismach korespondencye przeciwne, domagające się powołania z Niemiec profesorów i dyrektora dla tegoż gimnazjum. Znalazła ta zachcianka należyte odparcie w „Gwiazdce Cieszyńskiej“. Dr. Haase zaczął nawet plany knować, aby ewangelickie gimnazjum przeniesiono z Cieszyna do niemieckiego Bielska.

Jak się mieli nauczyciele wiejscy przy lichej płacy ówczesnej, godne też jest wzmianki. Ubogi lud ubogo płaci, ale stosunkowo hojniej, niż bogaty, bo z uznanością i prawdziwą ofiarnością, jak owa uboga wdowa w ewangelii, jeżeli albo póki nie podlegnie złudom. Był nauczyciel L. w H. bardzo mi przychylny i miał rocznej płacy 80 reńskich szajnow. Gdy poprawiono nauczycielom płacę i otrzymał 200 złr. m. k. wyraziłem mu swoją radość. A on zaczął: Bodajby dawny stosunek powrócił!

Pierwej ten i ów posłali mi po kitce cielőcej albo gęsi, kurę i było mięsiwo; siedlak jeden i drugi dali po zagonie ziemniaków, szewc podszył buty, a nie przyjął nic, mówiąc: wiemy, że pan nauczyciel nie ma; teraz każdy każe sobie dobrze zapłacić i mówi: pan nauczyciel dobrze płacony, niech też płaci jak każdy inny. I w owych czasach niejeden tak skromnie płacony nauczyciel zdołał sobie uciulać jaki mająteczek. Byli też owi nauczyciele przychylniejsi do ludu i jego narodowości, aniżeli wielu późniejszych po zaprowadzeniu inspektorów rządowych.

Za wielką szkodę narodu uważałem zawsze wychodźtwa z ziem polskich do Ameryki, osobliwie ze Śląska pruskiego, z Poznańskiego i Prus, a później Galicyi i Królestwa Polskiego, bo przyczyną nie było przeludnienie i podobnej przyczyny w dzisiejszych czasach tak samo nie uznaję, lubo ją niektórzy słynni pisarze chcą udowodnić. Przyczyną raczej były i są niezdrowe stosunki społeczne. Zapewne wpływowi „Gwiazdki Cieszyńskiej” przypisać można, że emigracja z austriackiego Śląska prawie nieznana była i ograniczała się chyba na jednostki, a wiadomo, że zwłaszcza Księstwo Cieszyńskie należy do najwięcej zaludnionych krajów. Z powodu mniemanego przeludnienia w Cieszyńskim już od roku 1854. otrzymywałem mnóstwo listów z Galicyi i nawet z Królestwa, żądających dostarczenia robotników tutejszych. Zwykle używałem wymówki: że każdy lepszy pozostaje raczej w miejscu rodzinnem, znajdując tu utrzy-

manie, a gorszych nie mogę rekomendować. Właściwie jednak nie chciałem poruszyć wędrówki ludu nawet do sąsiedniej Galicyi, bo przykład taki zdołałby wytworzyć wychodźtwa do Ameryki, a miejsce wychodźców zajęliby Niemcy. Niektórzy żądający robotników śląskich, uważali się na ludność swej okolicy; tym ośmiałem się odpowiedzieć, aby przez wykształcenie starali się swój lud lepiej wychować. Jedynie zgadzałem się na dostarczanie rzemieślników, mianowicie serkarzy i wtedy upowszechniło się w Galicyi serkarstwo na sposób śląski prowadzone. Wielcy właściciele w Galicyi i Królestwie zaczęli zaopatrywać się służbą i robotnikiem z pruskiego Śląska; lecz niebawem w dziennikach polskich pojawiały się z powodu tychże Ślązaków sprowadzonych ostre szkalowania, obrażające lud śląski. Musiałem znowu w „Gwiazdce Cieszyńskiej” odpiierać zarzuty, czynione ludowi polskiemu pruskiego Śląska, przypominając tę prawdę, że lepsza część ludności nie opuszcza chętnie stron rodzinnych, a tylko próżniactwo łatwiej daje się zwieść.

Gdy nie było „Czytelnia Polskiej”, przyjęła się myśl utworzenia innej czytelnia pod nazwą: Kasyno. Powstało ono w r. 1856. i mieściły się w niem obie narodowości. Od redakcyi „Gwiazdki Cieszyńskiej” otrzymywało także niektóre dzienniki. Wyjąwszy nielicznych zapaleńców niemieckich, żyli Niemcy jeszcze zgodniej z Polakami; w towarzystwach mieszanym przeważała jeszcze polska rozmowa i polska piosenka. Wogóle w onym czasie

reakcyi było życie towarzyskie pod względem zabaw przyjemniejsze, aniżeli je dziś widzimy. Wspomniałem już o zabawach zimowych czyli o balach i teatrach; z balowych rozrywek przytoczę choć jeden przykład. Kilkadziesiąt zacniejszych familij mieszczańskich zmówiło się, tworząc kółko wspólne dla zabaw popołudniowych w niedziele i święta. W tym celu wynajmowano łączkę w pobliskim lasku, urządzono huśtawkę dla dzieci i siedzenia dla starszych, obmyślano także gry gimnastyczne. Każda familia powinna była zawiadomić kasyera, czy lub w jakiej liczbie osób przyjdzie, a to dla sprowadzenia odpowiedniej ilości piwa; inny prowiant (zakąski) przynosiła każda familia z sobą i składała na stół jak przy pikniku. Od pojawienia się pory wiosennej do późnej jesieni odbywały się te wycieczki świąteczne z miasta, a gdy ślota przeszkodziła, służył w mieście tak zwany wówczas „ogród pokojowy“. Któżby dziś uwierzył, jak tanie były te zabawy wycieczkowe? Moja familia wyruszała zwykle w ilości 7—9 osób, a przy końcu roku otrzymałem od kasyera rachunek na 4—6 zlr. za całe lato. Do tej taniości przyczyniało się jednak to, że familie odkładały obchód swych imienin na czas latowych tych wycieczek. — Trwało to aż do czasu przywrócenia konstytucyi i rozbudzenia na nowo życia politycznego i ruchu narodowego. Sam będąc potem zajęty głównie sprawą narodową, nie mogłem już zajmować miejsca w tem towarzystwie, rozwiązało się ono i zabawy te ustały. Powstała

za to „Czytelnia Ludowa“ i w niej nastąpiły zabawy narodowe. Wspomniane kasyno powoli zamieniło się w czytelnię niemiecką.

Już od roku 1853. wlekała się myśl założenia Kasy oszczędności w Cieszynie i była często przez „Gw. Ciesz.“ poruszana, ale że pewne osoby domagały się zbyt obszernego zakresu działania tej instytucyi bez odpowiedniej hipoteki, nie mogła przyjść do skutku. Dopiero w r. 1858. zostały ostatecznie jej statuta uchwalone i zatwierdzone i jej otwarcie uroczyste nastąpiło 1. maja 1859. Powstała ona głównie za staraniem ówczesnego burmistrza dra Kluckiego i obecnie ma gmina cieszyńska wielki z niej pożytek. — Kolejno należy wspomnieć następujące uroczystości cieszyńskie. Dnia 24. maja 1859. obchodził zbór ewangelicki w Cieszynie 150-letnią pamiątkę założenia swego kościoła. Uroczystość była podniosła, zgromadzenie ludu wielkie. Wyszły też z powodu tej uroczystości trzy dziełka pamiątkowe: 1. Historia wiary ewangelickiej na Śląsku austriackiem z osobliwem względem na dzieje ewangelickiego kościoła z łaski danego przed Cieszynem przez Bogumiła Biermanna w niemieckim języku; 2. ta sama historia w skróceniu przetłumaczona na polski język przez nauczyciela Jana Śliwkę; 3. Pieśni ludowe o założeniu kościoła ewangelickiego przed Cieszynem, zebrane mojem staraniem.

Głośniejszym był jubileusz 1050-letniego istnienia miasta Cieszyna, obchodzony w roku 1860. Pobudkę dałem przez rozprawki

„Jury i Janka“ w „Gwiazdce Cieszyńskiej“, przypominając, jak w r. 1810. w święto Maryi Magdaleny obchodzono 1000-letnią pamiątkę założenia Cieszyna przez trzech książąt polskich, którzy według podań ludowych po długich wędrówkach w tem miejscu u tak zwanej i historycznie wspominanej „brackiej studni“ się zeszli i tu gród wystawili. Zajął się myślą podobnego obchodu osobiście kupiec i radny miejski Edward Schröder, a najgoręcej poparł ją burmistrz dr. Klucki; zresztą myśl ta znalazła wszędzie dobre przyjęcie. Utworzył się rychło komitet dla urządzenia uroczystości, który też szczególnie postarać się miał o przyozdobienie „brackiej studni“ pomnikiem żelaznym za pomocą składek. Uroczystość odbyła się 7. października. W wilię tegoż dnia urządzono w sali ratuszowej przedstawienie wokarno-muzyczne i deklamacyjne z żywymi obrazami, odnoszącymi się do tradycji o początku miasta, poczem udał się pochód z pochodniami ku „brackiej studni“, przystrojonej zielenią i oświetlonej, gdzie znów po stosownej przemowie śpiewacy z muzyką rozochocali tłumy ludu. W sam dzień uroczystościowy w niedzielę na pobudkę odezwały się dzwony wszystkich kościołów, razem z wystrzałami moździerzy i trzy kapele rozweselały muzyką ulice miasta, ozdobionego chorągwiami. Do uroczystości zastosowane też było następnie nabożeństwo w kościołach wszystkich trzech wyznań. W południe deputacja miejska z burmistrzem drem Kluckim na czele udała się na zamek i złożyła

w ręce kameralnego dyrektora Kasperlika hołd dla J. W. Arcyksięcia Albrechta, który z powodu tej uroczystości kazał 1000 złr. złożyć na dom sierot. O godzinie 1. po południu trzy kapele i towarzystwo śpiewaków zebrały się na rynku, skąd wieloliczny pochód z chorągwiami, śpiewem i muzyką wyruszył do alei, gdzie przygotowaną była zabawa ludowa, składająca się z muzyki z tańcami, śpiewu i różnych gier. Na zakończenie ustanowiony bal rozpoczął się o godzinie 9. wieczór. Lubo w programie nie było oświetlenia miasta, na powszechne życzenie improwizowano je w ostatniej chwili, przy czem pojawiły się i transparenty; dowód to, jak mieszczaństwo cieszyńskie ożywione zostało wspomnieniem dawnej przeszłości swego miasta, w czem również ludność okolicy żywy brała udział. I obcy, którzy w tym dniu przybyli do Cieszyna, podziwiali wspaniałość pamiętnego obchodu. W krótkim czasie potem postawiono też pomnik „brackiej studni“ składkami uskutecznionej. W końcu wspomnieć należy wydany ku tej uroczystości „Pamiętnik z powodu 1050-letniej uroczystości założenia miasta Cieszyna“, którego część polską stanowiły wyjątki z „Gwiazdki Cieszyńskiej“, odnoszące się do historii Cieszyna, a niemiecką głównie opowiadanie wierszem o trzech braciach założycielach miasta, wyjęte z pism Pawła Lamatscha von Warnemünde.

Pamiętną uroczystość kościelną obchodziło miasto Skoczów także w r. 1860. dnia 14. paź-

dziennika na cześć swego rodaka-męczennika, błogosławionego Jana Sarkandra. Liczne duchowieństwo z jeneralnym wikaryuszem ks. Antonim Helmem i mnóstwo ludu uczciło ten obchód swą obecnością i miasto nie szczędziło kosztów na uświetnienie dnia tego.

Do roku 1848. było w Cieszynie zaledwie kilka rodzin żydowskich. Za pomocą uzyskanej wolności religijnej i wolności zarobkowej żydzi wkrótce nad podziw rozmnożyli się w Austrii, najwięcej jednak w ziemiach słowiańskich: niemiecka ludność bowiem większy odpór stawia żydom, chociaż oni z Niemcami sympatyzują, a wobec powolniejszych im Słowian, zwłaszcza też na Śląsku, wogóle wrogo się zachowują. Wzrósłszy licznie w Cieszynie i okolicy szybko, domagali się w roku 1860. usilnie, by targ tygodniowy w Cieszynie z soboty na piątek przeniesiono; atoli natrafili wówczas na dość silną opozycję w mieście jako też ze strony gmin wiejskich, dla których dzień sobotni dogodniejszym jest na targ, aniżeli piątek. Najwięcej jednak poskutkowało udowodnienie, że Cieszyn ma właściwie dwa dni targowe sobotę i środę, więc gdyby żydzi mieli odpowiednie znaczenie handlowe, snadno byliby zdołali główne interesy targowe przenieść z soboty na środę. Tak ubita została ta sprawa.

W r. 1859. znowu wojna włoska zaniepokoiła austriacką monarchię. Król sardyński Wiktor Emanuel z pomocą francuskiego cesarza Napoleona III. doprowadził do zjednoczenia Włoch i Austria utraciła Lombardję. Niepo-

wodzenie broni austriackiej w tej wojnie przyczyniło się, że w r. 1860. cesarz Franciszek Józef zwołał ze wszystkich krajów mężów zaufania na t. zw. powiększoną radę państwa. Większość tego zgromadzenia oświadczyła się za federalizmem, t. j. za formą rządu taką, iżby każdy naród i kraj sam załatwiał swe domowe sprawy a jedno zgromadzenie wspólne kierowało sprawami wspólnymi; przeciwnie część Niemców obstawała za centralizmem, t. j. za zespoleniem wszelkich władz w jednym najwyższym rządzie. Cesarz przyjął radę większości i następstwem tego był dyplom cesarski, zaprowadzający konstytucję, a hr. Agenor Gołuchowski mianowany ministrem stanu otrzymał polecenie ułożenia odnośnych statutów.

Dyplomem cesarskim przywrócona konstytucja podnieciła znowu życie polityczne, a zwłaszcza, że zapowiedzianą została na zasadzie federalizmu, wzbudziła nadzieje Słowian. I w Cieszyńskim znaleźli się Polacy, którzy dotąd trzymali z niemiecką partją, a teraz uznali, że lepiej dla nich będzie przystąpić do stronnictwa narodowego; mianowicie byli tacy między ewangelikami, którym chodziło jedynie o wyznanie, lubo wolność religijna już wprzód była zapewniona, a których osobiście i ustnie trzeba było przekonywać o ważności sprawy narodowej i o konieczności bronięcia jej, gdyż przez samą „Gwiazdkę Cieszyńską“ nie zdołali nabyć podobnego przekonania. Takim był też Jan Śliwka, nauczyciel i pisarz (sekretarz) przy kościele ewangelickim. Długo zadawałem sobie

wiele pracy, by szczególnie jego pozyskać dla stronnictwa narodowego; lecz dopiero po nadaniu dyplomu cesarskiego, raz na przechadzce do dra Kozła w Puńcowie po długiej dyspacie oświadczył się wyraźnie, że jest przemieennie przekonany i moją zasadę uznaje. Był więc nabytek w jego osobie, aczkolwiek nie zbyt pomyślny dla rozwoju narodowości, jak się później okaże.

Ponieważ Jan Sliwka już przedtem wydawał książeczki polskie, stąd dzisiaj chcą niektórzy udowodnić, że już wówczas był narodowcem. Ale i inni pisali także po polsku, bo dla ludu nie mogli inaczej, chociaż się przyznawali lub lgnęli do Niemców, jak n. p. pastor Karol Kotschy z Ustronia. Wszakże i dr. Haase nie wahał się być wydawcą polskiej postyli (Żarnowskiego), a oprócz tego przez wydawanie czasopisma w polskim języku starał się rozkrzewiać zamilowanie niemieczyny przeciw narodowości polskiej. Używanie języka polskiego w mowie lub piśmie nie jest jeszcze dowodem ducha narodowego.

W okresie tym „Gwiazdka Cieszyńska“ doznawała często troskliwości c. k. starostwa, pospolicie z powodu rozprawek „Jury i Jonka“, za które ściągano egzemplarze, znajdujące się w gospodach. Była to jednak zbytnia wówczas przeczność urzędowa, bo indziej nie zabierane egzemplarze nie wywołały żadnego niebezpieczeństwa i nie miała też redakcja wtedy żadnych procesów. Najwięcej prześladowane były owe rozprawki, układane przez kupca Karola Bernacika, dziś już zupełnie zniemczalego. Było wówczas jeszcze więcej sympatyj dla polskości w mieszczaństwie cieszyńskim, a jak zniemczało, wykaza następnie oprócz szkół niemieckich inne ważniejsze przyczyny.

Powoli upowszechniała się „Gwiazdka Cieszyńska“ nie tylko w Cieszyńskim ale też na pruskim Śląsku i w Poznańskim, jak również w Galicyi, a po kilkoletnich zabiegach uzyskała w r. 1859. debity w Królestwie Polskim; oprócz tego pojedyncze egzemplarze rozchodziły się w słowiańskich krajach. Uznawano jej czysto narodowe dążności i usiłowania względem krzewienia oświaty narodowej wśród ludu. I Józef Ignacy Kraszewski wydał o niej w „Gazecie Warszawskiej“ 1859. roku takie świadectwo: „W dalszych od nas ziemiach pocziwa „Gwiazdka Cieszyńska“ świeci i służy na Śląsku bratnim, sama jedna, nie popierana przez nikogo i trwa, pielęgnując tam narodowość, którą kilku biednych ludzi wzięło się podtrzymywać z prawdziwym heroizmem. Z rozczuleniem i lżą w oku poglądać musimy na to pismo ciche, skromne, a tak wielkiego dla kraju znaczenia. Wychodzi numer arkuszowy co tydzień i mieści w sobie dłuższą powiastkę, często rozprawkę jakąś, poezye, gospodarskie wiadomości i przepisy, dobrze dobrane nowiny krajowe i obce, wreszcie różnego rodzaju uwiadomienia. Rozmowy Jury z Jankiem zastosowane do potrzeby ludu wybornie celowi odpowiadają, a całe pismo przy szczupłych swych środkach z zadziwiającą trafnością i troskliwością redagowane.“

Kiedy ostatnimi czasy wspomnana już klika cieszyńska z pomocą krakowską, usiłująca wyzyskiwać narodowość w osobistych celach i sprowadzająca różne kłeski w sprawie narodowej, pracowała na zniszczenie „Gwiazdki Cieszyńskiej“, aby w tem piśmie nie mieć świadka swego błędnego i

szkodliwego działania, stronnicy tejże kliki wymyślali nie-stworzone rzeczy przeciwko „Gwiazdce Cieszyńskiej“. Pomijając tu owe wymysły, wszelako co do wartości „Gwiazdki Cieszyńskiej“ i troskliwości jej redakcyi można wspomnieć, że między innymi (dr.) J. B., chcący uchodzić za bardzo uczonego, w swych korespondencyach i pracach studenckich do pism warszawskich, śmiał przeciwnie pisać, że wartość „Gwiazdki“ była przesadzaną i pismo to redagowane z małą zdolnością dziennikarską, a „Nowy Czas“ (haasowski) jest pismem lepiej redagowanym. Temi słowy J. B., niedojrzały autor, zdradza się jako stronnik kliki, niezdolny sobie wyrobić zdrowego i bezstronnego zdania. Sąd Kraszewskiego zapewne jest wytrawniejszy i ma większe znaczenie, a J. B. daremną usługę czynił swej opiekuńczej klice.

